MAŁE GOSPODARSTWA ROLNE

i CENY ZBOŻA.



I.

Wskrzeszenie za inicyatywą ks. Bismarcka w r. 1878 ceł zbożowych odbiło się w bieżącéj literaturze ekonomicznéj. Pytania, od pół wieku do akt złożone, powróciły na stół na nowo. Pierwszém z nich było pytanie: o skuteczności ceł zbożowych—wyjaśnienie, na ile cła te podnoszą ceny ziarna w kraju. Następnie starano się zbadać: kto cło płaci? czy zagraniczny wytwórca, czy téż miejscowy spożywca? W końcu zajęto się pytaniem: kto z ceł zbożowych korzysta?

Szczegółowe rozpatrywanie téj materyi musiało wywołać zróżniczkowanie pierwotnie ogólnego pytania; — postawienie kwestyi téj w związek z różnemi wielkościami własności ziemskiéj, skierowanie badania specyalnie w kierunku małéj własności ziemskiéj. W ten sposób zjawiło się pytanie: czy mała własność ziemska jest zainteresowaną w istnieniu wysokich cen zboża wogóle? i w utrzymaniu ceł zbożowych tam, gdzie one istnieją?

To pytanie w literaturze, ceł zbożowych dotyczącéj, jest zupełnie nowe: w pierwszéj połowie naszego stulecia, w czasie gorących walk w literaturze i w parlamentach o cła zbożowe we Francyi, a przedewszystkiém w Anglii, nie stawiano go zupełnie. Przyczyna leżała

w ówczesnych stosunkach handlu międzynarodowego zbożem i w stosunkach rolnych angielskich.

W pierwszéj połowie XIX w. tylko Anglia stale potrzebowała obcego ziarna; ustanowiono więc cła zbożowe ruchome, mające na celu zapewnić miejscowemu rolnikowi cenę około 80 sh. za kwarter pszenicy. Mała własność ziemska w Anglii już ostatecznie znikała. Włościanin nikogo nie interesował; jako klasa społeczna nie istniał. Agitacya „Ligi anti-zbożowéj" nie zwracała na niego uwagi; dowodzono, że ciężar ceł zbożowych ponosi cała ludność nie-rolna, że fermer-dzierżawca na niéj nic nie zyskuje, — i że cała korzyść z nich płynie do kieszeni posiadaczy ziemskich, którzy, w Anglii, są prawie bez wyjątku wielkimi posiadaczami. Termin angielski *landlord* (właściciel ziemi) oznacza wyłącznie wielkiego właściciela. Ze względu na stosunki własności ziemskiéj, pytanie o wpływie ceł zbożowych na małą własność ziemską mogło było zjawić się we Francyi, gdyż tutaj nie brakło małéj własności;—nie zjawiło się jednak dlatego, że w rzeczywistosci wpływ ceł zbożowych na ceny zboża był we Francyi żaden. Cła od przywozu zboża zaprowadzono w r. 1816 — 1819; a w r. 1832 wprowadzono za przykładem Anglii skalę ruchomą, mającą zapewnić rolnikowi cenę 20 do 24 fr. za hektolitr pszenicy. Stosunek jednak zbiorów do ludności był taki, że w latach dobrego urodzaju zboże własne starczyło na wyżywienie ludności; a w latach złych — gdy zboże sprowadzać należało z zagranicy, gdy ceny szły w górę — rząd pod naciskiem opinii publicznéj cła czasowo zawieszał. W r. 1853 zawieszono je po raz ostatni, w r. 1860 zniesiono [1]). Pomiędzy r. 1821 a 1870-ym naliczono 26 lat, w których urodzaj pszenicy wystarczał na pokrycie potrzeb miejscowych. Stanowczy niedobór plonów rozpoczął się dopiéro w dziesięcioleciu 1867/1877 [2]). Wobec takich faktów, szkoła wolnego handlu we Francyi nie potrzebowała się uciekać do dowodzenia, że nie wszyscy ale tylko część właścicieli ziemskich z ceł zbożowych korzysta. Dowodzono tylko, że cła zbożowe żadnego pożytku rolnictwu nie przynoszą, żadnego wpływu na ceny zboża nie mają [3]). W trzeciéj ćwierci bieżącego stulecia, od r. 1850 do 1875, położenie rynków zbożowych radykalnéj uległo zmianie. Wzrost ludności w Europie zachodniéj był tak silny, że bez względu na powiększenie się plonów produkcye krajowe (nie wyłączając Niemiec) przestały wystarczać na wyżywienie

---

[1]) Schönberg. *Handbuch der politischen Oekonomie*, t. II, str. 225.

[2]) Juraschek. *Uebersichten der Weltwirtschaft*, str. 122.

[3]) Fréd. Bastiat. *Inanité de la protection de l'agriculture.* Oeuvres, t. II, str. 39 i nast.

ludności. Po r. 1878 wszystkie większe państwa zachodnie, z wyjątkiem Anglii, zaprowadzają cła zbożowe, a walka przeciwko tym cłom prowadzi się teraz nie w imię zasad teoryi wolnego handlu, ale w imię pokrzywdzonych temi cłami różnych warstw ludności. Po pytaniu komu te cła stratę przynoszą, — z kolei przyszło pytanie: kto z nich właściwie korzysta, czy wszyscy właściciele roli są zainteresowani w zaprowadzeniu ceł zbożowych, czy wszyscy z wysokich cen zboża korzyści odnoszą?

Zaznaczyć tu znów musimy, że we Francyi kwestya ta nie jest podnoszona: rolnictwo francuskie związane jest w jedną organiczną całość syndykatami rolnemi z charakterem bardzo demokratycznym, których kierownikami są przedstawiciele arystokracyi ziemskiéj. Cła zbożowe uważane tam są za wprowadzone w interesie całego rolnictwa a utrzymania ich domagają się przedstawiciele zarówno małéj, jak i wielkiéj własności ziemskiéj.

Inaczéj stoją rzeczy w Niemczech, w których wytworzyły się trzy różne typy posiadaczy ziemskich, ściśle od siebie oddzielone: typ junkra, — wielkiego posiadacza, właściciela więcéj niż 100 morgów ziemi, przeważający w północno-wschodniéj części państwa, — typ wielkiego chłopa (*gross Bauer*), posiadającego od 30 do 100 morgów ziemi — przeważający na północo-zachodzie i południo-wschodzie, — i typ małego posiadacza, posiadającego często mniéj niż 3 morgi, przeważający w Niemczech środkowych, a głównie nad Renem. Wobec takiego podziału ziemi kwestya, komu cła zbożowe korzyść przynoszą, kto korzysta z wysokich cen zboża? posiada w Niemczech pierwszorzędne znaczenie, a tém samém wywołuje w dziennikarstwie i w parlamencie zaciętą dyskusyę.

Inaugurując w r. 1878 cła rolne, książę Bismarck utrzymywał, że cła te dają korzyść każdemu, kto posiada najmniejszy kawałek ziemi. Obecny kanclerz ks. Hohenlohe, odpiérając w parlamencie niemieckim (29 marca 1895 r.) wniosek Kanitza [1]), twierdził, że wysokie ceny zboża, a więc i cła zbożowe, są korzystne tylko dla rolników posiadających więcéj niż 6 hektarów (12 morgów) dobréj ziemi. Widocznie ks. Hohenlohe sądzi, że tylko na takiéj przestrzeni ziemi rolnik niemiecki produkuje więcéj ziarna, niż go spożywa z rodziną, że tylko właściciel więcéj niż 6 hektarów występuje na rynku w charakterze sprzedawcy, że tylko dla takiego właściciela ziemi korzystnemi są

[1]) Wnioskiem Kanitza nazywa się w Niemczech projekt zmonopolizowania handlu zbożem zagranicznèm, celem podniesienia cen ziarna do wysokości cen z lat 1870 — 1875.

i wysokie ceny ziarna, i cła zbożowe; przy własności niżéj 6 hektarów rolnik musi ziarna dokupić, a wtedy w interesie jego leży: i obniżenie cen ziarna i zniesienie ceł zbożowych.

Interes, jaki przedstawia kwestya wpływu cen i ceł zbożowych na małą własność rolną polega, jak widzimy, przedewszystkiém na tém że rozwiązanie jéj warunkuje się rozwiązaniem innéj daleko ważniej-, széj i powszechniejszéj kwestyi, — kwestyi, jaki jest minimalny obszar własności ziemskiéj, mogącéj wydawać środki pożywienia wystarczające dla rolnika i jego rodziny? Kwestya to niezaprzeczenie pierwszorzędna co do wagi, ale téż i pierwszorzędna co do nastręczających się przy jéj rozwiązaniu trudności. Nad ważnością jéj zastanawiać się nie będziemy; co do trudności zaś, sądzimy, że najlepszym środkiem ich wyjaśnienia będzie nie teoretyczny ich rozbiór, ale sprawozdanie z dwóch prac wykonanych w ostatnich latach celem jéj rozwiązania: w Niemczech i w Rosyi. W sprawozdaniu tém chodzić nam będzie głównie o zasadniczą różnicę w tych pracach co do metody; ponieważ jednak obie zawiérają dużo cennego i ciekawego materyału objaśniającego stan rolnictwa w odnośnych krajach, — pozwolimy sobie nieraz zanotować niektóre szczegóły, choćby one z głównym celem naszéj pracy w luźnym nawet pozostawały związku.

II.

Pierwszą z tych prac jest książka d-ra Emila Stumpfe p. t. „Mała własność ziemska i ceny zboża” [1]). Książka ta wydana pod kierunkiem prof. wrocławskiego uniwersytetu, Miaskowskiego, znanego badacza stosunków ekonomicznych w rolnictwie, obejmuje 87 stronic tekstu i 43 stronice tablic.

Stumpfe pracę swą zaczyna od pytania: czy w wysokiéj cenie ziarna zainteresowani są tylko rolnicy sprzedający ziarno? t j. produkujący ziarna więcéj niż go spożywają sami i zużywają we własném gospodarstwie na karm inwentarza? czy też w wysokiéj cenie ziarna zainteresowany jest każdy rolnik, którego dochód ze sprzedaży płodów rolnych, na własnym gruncie wyprodukowanych (choćby nie ziarna, ale buraków, ogrodowizn, chmielu, mléka, drobiu etc.) przewyższa wydatki na nabycie takich środków pożywienia i karmu dla inwentarza, których w naszym klimacie zwykle ziemia właścicielowi dostarcza?

---

[1]) *Staats und sozialwissenschaftliche Beiträge* herausgegeben von A. von Miaskowski. Bd III, Heft 2 — Dr. Emil Stumpfe. *Der kleine Grundbesitz und die Getreidepreise.* Lpzg. Duncker et Humboldt, 1897.

Inaczéj mówiąc: czy np. gospodarz rolny produkujący na sprzedaż mléko i dokupujący dla powiększenia téj produkcyi otrąb, słomy i ziarna; albo téż gospodarz zajmujący się produkcyą buraków, ogrodowizn, tytoniu, chmielu i t. p., a dokupujący co roku mąki, słomy, siana — są odnośnie do cen zboża — w tém samém położeniu, co i małorolny gospodarz, który — po ogólném obliczeniu jego sprzedaży i zakupów na rynku—więcéj wydał na kupno produktów rolnictwa, aniżeli otrzymał z ich sprzedaży? Pytanie to nie nowe.

Już A. Smith zauważył, że dochód, renta z ziemi reguluje się dochodem z uprawy ziarna, albo téż wogóle ceną roślinnego produktu pospolicie w kraju na pokarm używanego [1]). Jeśli dochód z uprawy zboża proporcyonalnie do dochodów z innych kultur wzrasta, kultury te zamienią się wkrótce na kultury zboża; jeśli się zmniejsza, kultura zboża zamieniona będzie na kultury inne, dopóty, dopóki konkurencya nie obniży dochodu z tych innych kultur do wysokości dochodu z kultury ziarna. Ruch ten tylko w specyalnych właściwościach klimatu i gruntu znaléść może tamę.

Téj prawdy, staréj, ale trochę zapomnianéj, dowodzi Stumpfe cyframi; — szeregami cen produktów rolnych za ostatnie lata. Jeszcze w roku 1890 ulegaliśmy złudzeniu, że przejście do produkcyi mléka i mięsa może s t a l e podniéść dochód z ziemi. Prawdą jest to tylko, że gdy przejście takie wymaga i kapitału i czasu, — to spadek cen mléka, masła i mięsa odbywa się wolno; następuje jednak koniecznie i trwa dopóty, dopóki renta, że tak powiemy mléczna lub mięsna, nie zrówna się z rentą zbożową. W r. 1888 Soetber obliczał, że ceny produktów zwierzęcych rolnictwa w porównaniu do cen z lat 1847—1850, podniosły się do 129.73%. Już jednak wtedy ceny te spadać zaczynały; wynosiły one, biorąc ceny r. 1847/50 za 100:

1847—50	1871—5	1881—5	1887	1888
100	154.57%	150.65%	130.86%	129.73% [2])

Stumpfe podaje nam dalszy przebieg tego ruchu cen: przytacza ceny londyńskie mięsa w szylingach i pensach za kamień angielski:

	Wołowina		Baranina		Wieprzowina	
	I	II	I	II	I	II
1881/5	4	5/8	4/11	6/8	3/11	4/9
1886/89	2/8	4/9	3/6	5/10	2/5	4/4
1896	1/3 do 1/4	2/6 do 2/10	2/10 do 3	3/8 do 4	1 do 2	2/8 do 3

---

[1]) *Wealth of nations*, ks. I, r. XI, cz. I, str. 133, Ed. Ward, Lock et C.

[2]) J. G. Bloch. „Ziemia i jéj odłużenie“, str. 3.

Konkurencya Argentyny, Nowéj Hollandyi i Nowéj Zelandyi, poparta ulepszeniami w sferze metod transportowania mięsa, obniżyła ceny do tego stopnia, że w Anglii hodowla inwentarza na mięso nie daje większéj renty, aniżeli uprawa zboża (?). W Niemczech ruch zniżkowy trwa jeszcze: weterynaryjne formalności na granicy opóźniają jego tempo — nie są one jednak w stanie zapobiedz wyrównaniu się rent, t. j. spadkowi cen mléka, masła i mięsa do właściwego niedającego „nad-renty" poziomu. Te same 2 gatunki masła, które sprzedawano w Berlinie w r. 1889 po 118.5 i 96.8 marek za 50 klo., — sprzedawano w r. 1896 po 100.5 i 80.7 marek. W r. 1895 ceny masła były jeszcze niższe, wynosiły bowiem 97.1 i 81.8 marek za 50 klo. Taka sama zniżka dotknęła ceny chmielu, jarzyn (cébuli i ogórków), buraków i nasienia buraczanego. Przejście do kultury mało rozpowszechnionéj daje krótkotrwały zysk, prędko znajduje naśladowców,—a zbytnie rozszerzenie uprawy specyalnéj, niesłychanie prędko przechodzi w nadprodukcyę i wywołuje przesilenie. Bardzo dobrze objaśnia Stumpfe łatwość, z jaką wynikają te małe przesilenia rolne w sferze kultur specyalnych, zestawiając cyfry przestrzeni zajętych pod daną uprawę. W Niemczech w 100 hektarach uprawnéj ziemi jest średnio: 54.37 hek. pod zbożem, 6.57 pod roślinami strączkowemi i kukurydzą, 16.15 pod roślinami okopowemi (w tém 1.51 pod burakami), 0.99 pod roślinami przemysłowemi (rzepak, chmiel, tytoń, konopie), 9.60 hek. pod roślinami pastewnemi. Zamiana $^1/_{100}$ części ziemi zajętéj pod uprawę ziarna na uprawę roślin przemysłowych powiększyłaby produkcyę tych roślin w stosunku 99 — 143, t. j. prawie o 50%. Przesilenie cukrownicze wywołane zostało rozszerzeniem uprawy buraków z przestrzeni 0.68% w r. 1879 do 1.28% w roku 1883 i 1.51% w r. 1893, t. j. rozszerzeniem jéj o niecały 1% z ogólnéj przestrzeni ornéj. W pamięci naszéj świéżym jest jeszcze krach w nasieniu buraczaném, który obniżył w jednym roku jego ceny na połowę. Wobec tych cyfr i faktów tylko bardzo krótkowidzący rolnik może przypuszczać, że w dłuższym szeregu lat będzie mógł tanio kupować owies, otręby i siano, a drogo sprzedawać mięso, mléko i masło. Zyski na takiém gospodarstwie z natury rzeczy są krótkotrwałe i dlatego, zdaniem Stumpfego, zarówno ci rolnicy, którzy produkują dla rynku same ziarno, jak i ci, którzy produkują inne prócz ziarna płody roślinne, jak nakoniec ci, którzy produkują na sprzedaż produkta mięsne — wszyscy stanowczo rolnicy, o ile tylko sprzedają płodów rolnych więcéj, niż ich dokupują, są zainteresowani w wysokiéj cenie ziarna, — bo do téj ceny regulują się wszystkie ceny produktów rolnictwa.

Po takiém rozwiązaniu zasadniczego pytania, Stumpfe stara się wyjaśnić, jacy z drobnych rolników niemieckich dokupują corocznie:

1) ziarna i innych produktów zbożowych, 2) produktów rolnictwa wogóle.

Za materyał, z którego buduje Stumpfe swe dowodzenie, służy mu 181 budżetów włościańskich, z różnych okolic państwa Niemieckiego zebranych. Źródłem ich były przedewszystkiém rezultaty wywiadów (ankiet) o stanie rolnictwa, przeprowadzonych przez rządy niemieckie w latach 1884—6: ankieta badeńska dostarczyła mu 60 budżetów z 34 wsi, — heska 44 budżety z 25 wsi,—wirtemberska 12 budżetów z 8 wsi;—sam autor zebrał 62 budżety, z których szląskich 24 z 6 wsi, saskich 28 z 10 wsi, hanowerskich 7 z 4 wsi. Dochody i wydatki z produktów rolnictwa i na produkty rolnicze w budżetach wyliczone grupuje autor w 3 działy: produktów zbożowych, produktów roślinnych nie zbożowych, i produktów zwierzęcych; i tak ugrupowane podaje w skróceniu przy końcu swéj książki z wymienieniem przestrzeni, jaką gospodarstwo obejmuje, z podziałem jéj na rolę, pastwiska, łąki, lasy, winnice i ogrody, i z wskazaniem ilości oddzielnie dorosłych, a osobno dzieci—żyjących z danego gospodarstwa; wydatki nie dotyczące rolnictwa i dochody nie z rolnictwa opuszcza. Następnie grupuje on wszystkie gospodarstwa kategoryami przestrzeni: I) do 2 hektarów, II) od 2-ch do 3-ch hekt., III) od 3 do 4 hekt., IV) od 4 do 6 hekt., V) od 6—8 h., VI) od 8 do 10 hekt., i w każdéj kategoryi oblicza ile gospodarstw ostatecznie sprzedaje albo dokupuje, raz samych produktów zbożowych, powtóre produktów rolnych wogóle. Ostateczny rezultat tego zestawienia podajemy w załączonéj tablicy.

	Przestrzeń ogólna gospodarstwa w hektarach: niżéj 2-ch h.	2—3 h.	3—4 h.	4—6 h.	6—8 h.	8—10 h.
I. W. ks. Badeńskie:						
Ilość ogólna obserowanych gospodarstw	12	11	6	12	10	9
z nich dokupuje { ziarna . . .	11	4	1	3	2	2
z nich dokupuje { płodów rolnych	7	1	1	—	1	—
II. W. ks. Heskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	6	7	2	11	10	8
z nich dokupuje { ziarna	6	4	1	—	1	1
z nich dokupuje { płodów rolnych	6	1	—	—	—	—
III. Król. Wirtemberskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	2	2	2	2	2	2
z nich dokupuje { ziarna	2	1	1	—	—	1
z nich dokupuje { płodów rolnych	1	—	—	—	—	—

IV. Hanower, Bawarya, prow. Saska i Nadreńska:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	1	2	1	8	1	—
z nich dokupuje { ziarna	—	1	—	1	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—	—	—	—
V. Szląsk:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	3	3	6	4	2	6
z nich dokupuje { ziarna	—	—	—	—	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—	—	—	—
VI. Królestwo Saskie:						
Ilość obserwowanych gospodarstw	2	5	5	14	—	1
z nich dokupuje { ziarna	1	—	—	2	—	—
z nich dokupuje { płodów rolnych	—	—	—	—	—	—
Razem obserwowanych gospodarstw	26	30	22	51	25	26
z nich dokupuje { ziarna	20	10	3	6	3	4
z nich dokupuje { płodów rolnych	14	2	1	—	1	—

W zestawieniu budżetów, przez autora przytoczonych, spotykamy gospodarstwa, których głównym dochodem jest np. nabiał. Gospodarstwo N. 141 (Dickholzen w Hanowerze) przy 2 hektarach gruntu sprzedaje mléka za 474 marki rocznie, — gospodarstwa N. 170 i 171 (Erdmannsheim pod Lipskiem, — 5 do 6 hekt.) sprzedają mléka za 1,019 i 2,095 marek co roku. Dla tego typu gospodarstw, dokupujących ziarna, słomy, siana dla produkcyi mlécznéj, decydującą o powodzeniu gospodarczém jest cena mléka, a najkorzystniejszą konjunkturą handlową są wysokie ceny mléka przy niskich cenach produktów roślinnych ziarna, słomy, siana i t. d. Czy możliwą jest jednak taka konjunktura na dłuższy przeciąg czasu? czy możliwemi są wogóle niskie ceny zboża i wysokie ceny produktów zwierzęcych, albo wogóle niskie ceny zboża i wysokie ceny innych produktów ziemi?

Stumpfe sądzi, że w Niemczech już przy 2-ch hektarach (4 morgach) dobrego gruntu dobrze gospodarujący włościanin może po zaspokojeniu potrzeb niezbyt licznéj rodziny remanenta swéj produkcyi na rynku sprzedać. Nie jest to pewnik, ale możliwość, — granicy stałéj nie ma, — a możliwość zaczyna się już przy 2 hekt. gruntu. Z pogorszeniem się gatunku gruntu i klimatu, z powiększeniem się liczby członków rodziny i zmniejszeniem umiejętności i gospodarności rolnika, możliwość czystego dochodu z roli wymaga coraz większéj przestrzeni ziemi.

Tak, w górach Czarnego Lasu, w gospodarstwach leżących na 800 do 1,000 metrów nad poziomem morza położenie już jest inne. Stumpfe przytacza gospodarstwa (N. 40 i 111), mające 5 do 6 hekt. ziemi i dokupujące ziarna. Z dokupywaniem ziarna spotykamy się i w gospodarstwach, mających więcéj niż 10 hekt. gruntów, których kilkanaście budżetów Stumpfe dla przykładu w ostatniéj tablicy w streszczeniu przytacza.

Bardzo ważną téż okolicznością jest zajęcie rodziny. Czasem niektórzy z jéj członków są stale robotnikami fabrycznemi, jeśli wtedy produkcya rolna na wyżywienie rodziny nie wystarcza — to do budżetu powinna być wprowadzona poprawka, powinny być obliczone koszta wyżywienia robotnika (Stumpfe oblicza je na 175 marek rocznie) i takowe z wydatków na zakup pożywienia potrącone.

Ostatecznie Stumpfe sądzi, że już rolnik posiadający 2 hekt. dobrego gruntu jest zainteresowany w wysokich cenach ziarna, że zatém w jego interesie leży utrzymanie ceł zbożowych [1]).

III.

Kwestya wpływu cen zboża na małą własność ziemską podniesioną została także w ostatnich latach w państwie Rosyjskiém i stała się powodem bardzo ożywionéj dyskusyi. Wywołały ją nie względy polityki celnéj, ale względy ogólnéj polityki wewnętrznéj w państwie, a przedewszystkiém zamiar wyjaśnienia wpływu wywozu ziarna na środki wyżywienia ludności.

W roku zeszłym wyszło w Petersburgu olbrzymie dzieło 10 autorów, opracowane pod kierownictwem pp. Czuprowa i Posnikowa, noszące tytuł „Wpływ urodzajów i cen zboża na niektóre strony rosyjskiego gospodarstwa narodowego". Trzynaście monografii w kwestyach szczegółowych i ogólne zestawienie rezultatów tych prac zajęło dwa tomy *in 4-to*, około 1,000 stron druku, a już sam ogromny zapas ma-

---

[1]) Zdanie to podziela prof. dr. Julius Kühn, dyrektor instytutu agronomicznego przy uniwersytecie w Halli, w broszurze p. t. *Die Getreidezölle in ihrer Bedeutung für den kleinen und mittleren Grundbesitz.* Halla, II-gie wyd., 1885 roku. Idzie on daléj nawet niż Stumpfe; sądzi bowiem (str. 17), że cła rolne i wysokie ceny zboża więcéj przynoszą korzyści włościanom, niż większym właścicielom ziemskim,—raz dlatego, że przy stałéj i znacznéj zniżce cen—ceny ziarna sprzedawanego małemi partyami większéj ulegają zniżce, niż ceny ziarna w dużych partyach (str. 15), a powtóre dlatego, że spadek długotrwały środków pożywienia obniża zarobki (str. 16).

teryałów, na którym autorowie swą pracę oparli, czyni to wydawnictwo zasługującém na uwagę.

W rozbiorze tym jednak z 13 monografii pominiemy wszystkie te, które mają charakter przygotowawczy lub też nie są organicznie z kwestyą małéj własności związane. Ograniczymy się, zatém tylko do prac: p. Maress'a: „Produkcya i spożycie zboża w gospodarstwie włościańskiém" (t. I. str. 1—72), Szczerbiny: „Budżety włościańskie" (t. II str. 1—80) i Kabłukowa: „Znaczenie cen zboża dla prywatnéj własności ziemskiéj w Rosyi Europejskiéj" (t. I, str. 97—144).

Najważniejszą dla naszéj kwestyi i najciekawszą co do metody, jest bez wątpienia praca p. Szczerbiny p. t. „Budżety włościańskie i zależność ich od urodzajów i cen zboża". Autor poucza przedewszystkiém, że gospodarstwo włościańskie w Rosyi, jest przeważnie gospodarstwem naturalném, ale chociaż głównie produkuje na własną potrzebę,—to tém niemniéj potrzebuje pieniędzy na podatki, najem ziemi, odzież, obrzędy religijne, sól, żelazo, wódkę, cukier, i t. d., a także i na zakup takich produktów rolnictwa, których albo samo nie produkuje, albo produkuje za mało. Z biegiem czasu, wskutek, powiększania się ludności i pod wpływem cywilizacyi zachodnio-europejskiéj (czytaj kapitalizmu) część naturalna budżetu włościańskiego, coraz się zmniejsza, część pieniężna coraz bardziéj rośnie. Przebiegłszy w krótkości historyę prac statystycznych nad budżetami włościańskimi w Rosyi, autor powiadamia nas, że przy pracy swéj miał zebrane 230 budżetów włościańskich z gub. Woroneskiéj i 63 budżety z pozostałych gubernii. Jestto więc materyał na którego podstawie można badać wpływ cen na gospodarstwa włościańskie gub. Woroneskiéj, ale tylko téj jednéj gubernii. Chcąc jednak koniecznie iść daléj, autor musiał uciec się do materyałów zupełnie innéj natury „do cyfr badań masowych i danych urzędowych, o najważniejszych elementach gospodarstwa wiejskiego i wytwórczości rolnéj, do wiadomości: o zaludnieniu, liczbie robotników, wielkości posiadanéj ziemi, ilości ziemi dzierżawionéj, wydatkach na najem ziemi, przestrzeni ziemi ornéj, przestrzeniach zasianych, wysokości urodzajów, zbóż, ilości bydła, ilości ludzi pracujących nu roli, podatkach i t. d." Wszystko to posłuży p. Szczerbinie do obliczenia budżetu włościanina rosyjskiego.

P. Szczerbina twierdzi, że charakterystyczną cechą budżetów włościan rosyjskich jest to, że średnie przeciętne budżetów z różnych okręgów, są w całéj Rosyi do siebie podobne. Na dowód przytacza on szereg cyfr, z których wypada, że średni budżet włościanina w Rosyi wynosi na głowę ludności rs. 54 kop. 92, a waha się w różnych okrę-

gach od rs. 58 kop. 51 (gub. Chersońska i Jarosławska) do rs. 52 kop. 47 (gub. Tulska).

Zauważyć musimy, że autor z 230 budżetów z gub. Woroneskiéj, zamieszcza tylko rezultaty dotyczące 126 budżetów, a ponieważ nigdzie nie podaje nam nawet wyciągów z tych budżetów, przeto nie jesteśmy w stanie osądzić, czy opuszczone przezeń 104 budżety są téż typowe, „jednorodne" czy téż nie typowe, t. j. odbiegające znacznie od średniéj normy rocznego obrotu rubli 54 kop. 60 na głowę ludności.

Sam autor przyznaje i stwierdza to cyframi (str. 8), że „w rzeczywistości w konkretnych budżetach, zestawionych dla różnych typów gospodarstw różnice wyrażają się w bardzo silnéj formie i w silnych wahaniach". W 11-tu budżetach cyfry rocznego wydatku na głowę, zaczynają się od 14 rs. 89 k., w gospodarstwie ubogiém; w typie średniozamożnym stanowią 46 rs. 75, w typie gospodarstwa zamożnego 161 rs. 83,— „Blizkiemi co do wielkości okazują się ostateczne rezultaty cyfr tylko w tych wypadkach, kiedy pojedyncze budżety odpowiadają charakterystycznym średnim, typowym dla danéj miejscowości gospodarstwom, albo kiedy ilość pojedynczych budżetów wystarcza dla wyprowadzenia z nich średnich wielkości".

W rezultacie tych zestawień autor widzi tylko objaw powszechnéj formy władania ziemią w Rosyi—t. j. gminnéj własności rolnéj— a nie widzi, że na téj drodze powoli sam zaciéra te cechy charakterystyczne budżetów włościańskich, na których praca jego miała być oparta, — niszczy dane, z których miał wniosek wyciągnąć: ile ziarna dostarczają na rynek zbożowy włościanie, władający różnéj wielkości przestrzenią ziemi.

Drugą cechą charakterystyczną gospodarstw włościańskich w Rosyi jest, według p. Szczerbiny, stosunek zachodzący między częścią naturalną a pieniężną budżetów. Zależy on przedewszystkiém od wielkości posiadanéj ziemi. W 126 budżetach gub. Woroneskiéj stosunek ten wyraża się w następujący sposób:

Włościanie dawniéj	Dziesięcin ziemi na głowę	Wydatki w naturze Ruble	%	Wydatki w pieniądzach Ruble	%	Ogólny wydatek na głowę
1) skarbowi	$1._{57}$	$35._{4}$	6[illegible]%	$20._{55}$	37.%	$55._{59}$
2) prywatni:						
a. którzy ziemię przy uwłaszczeniu kupowali	1_{02}	$30._{38}$	$59._{5}$	$20._{67}$	$40._{5}$	$51._{5}$
b. obdarowani	$0._{30}$	13_{34}	$26._{0}$	$36._{93}$	$73._{4}$	50_{27}
średnio	$1._{44}$	$33._{58}$	61_{5}	21_{2}	$38._{5}$	$54._{60}$

Cyfry te według autora dowodzą, że gospodarstwo włościańskie tém silniéj ulega wpływom gospodarstwa pieniężnego, im mniéj posiada ziemi.

Podług niego—wzrost części pieniężnéj proporcyonalnie do zmniejszania się przestrzeni gospodarstwa jeszcze wyraźniéj występuje przy podziale wydatków na różne kategorye potrzeb.

Biorąc ogół wydatków na pożywienie włościanina za 100, wydają:

włościanie dawniéj:	na pokarm z produktów roślin: w naturze	pieniędz.	na potrawy mięsne w naturze	pieniędz.	na pokarm kupny (napoje, ryby, herbatę i t. d.) pieniędzmi
skarbowi	50.8	6.9	29.8	1.7	10.8
prywatni:					
a. nabywcy	43.5	10.6	29.6	4.4	11.9
b. obdarowani	28.7	17.1	22.5	10.2	21.5

Ten sam stosunek istnieje w dochodach: im mniéj ziemi, tém większy jest udział dochodów pieniężnych. Z porównania 126 budżetów guberni Woroneskiéj, otrzymuje autor następujące rezultaty:

Dochód na głowę obojéj płci włościanie dawniéj:	w naturze rubli	%	pieniędzmi rubli	%
skarbowi	32.65	57.3%	24.3	42.7
prywatni: nabywcy	26.25	51.3	24.84	48.7
prywatni: obdarowani	13.10	23.2	43.38	76.8
średnio	30.94	55.4	24.90	44.6

Dane te dowodzą, według p. Szczerbiny, że nadmiar lub brak ziarna, jego wysokie i niskie ceny oddziaływają najprzód na stronę spożywczą budżetów: włościanin środki swe pieniężne czerpie przeważnie nie ze sprzedaży ziarna, ile raczéj z zajęć przemysłowych i drugorzędnych pozycyi gospodarstwa rolnego.

Takie tylko teoretyczne czysto wnioski wyprowadza p. Szczerbina z posiadanych przezeń budżetów. Nim pójdziemy daléj, pozwolimy sobie zrobić parę uwag nad dotychczasowym przebiegiem jego badania.

Kwestyi, która u Stumpfe'go gra rolę zasadniczą—kwestyi związku cen ziarna z cenami innych płodów rolnictwa, Szczerbina nie porusza wcale. Chodzi mu o ziarno — tylko o ziarno. Zapewne w Rosyi ziarno stosunkowo gra w gospodarstwie wiejskiém rolę ważniejszą, niż w Niemczech—ale nie jest, ani jednym środkiem pożywienia, ani jednym spieniężanym produktem rolnictwa; sam autor mówi o dochodach pieniężnych z „drugorzędnych pozycyi" gospodarstwa rolnego.

Zwęziwszy z jednéj strony w porównaniu z pracą p. Stumpfe'go cel badania, z drugiéj p. Szczerbina rozszerza przedmiot badany. W pracy

swéj chce objąć całość budżetu włościańskiego ze wszystkiemi jego dochodowemi i rozchodowemi pozycyami naturalnemi i pieniężnemi. W ten sposób kwestya wpływu cen zboża wyrosła w jego rękach na studyum nad ekonomicznym stanem włościanina rosyjskiego, studyum zaiste bardzo ważne i ciekawe, ale odwracające uwagę od głównego zadania.

To, co uważa za główną cechę budżetu włościańskiego, jego jednorodność, właściwie dla kwestyi nie ma żadnego znaczenia. Kwestya czy geograficznie, gospodarstwa rolne „typowe"—(średnio przeciętne, abstrakcyjne)—są w całéj Rosyi do siebie podobne czy nie,—mogłaby miéć wartość, gdyby p. Szczerbina na zasadzie budżetów gub. Woroneskiéj rozwiązał kwestyę naprzód specyalnie dla téj gubernii, a następnie usiłował dowieść, że te wnioski można na całość państwa rozszerzyć. W tym jednak biegu badania, jaki on sobie nakreślił, kwestya teoretycznéj „jednorodności" budżetów „typowych", opiérająca się jakoby na teoretycznéj równości władania ziemią w gminie, zasłania tylko istotne „wysoce gwałtowne różnice" „budżetów konkretnych," idące od od 14.89 r do 161.33 r lub od 15.52 r do 227.78 r. na głowę. Rozbiérając przyczyny tych różnic, badając warunki przestrzenne gogospodarstw, wykazujących te różnice, mógłby autor trafić na drogę prowadzącą do rozwiązania kwestyi gruntownego, ale dla ograniczonéj przestrzeni państwa. Dążąc koniecznie do wniosków odnoszących się do całego państwa, chcąc objąć jednym sądem ogół gospodarstw włościańskich, rozrzuconych na przestrzeni 5 milionów wiorst kwadratowych, od Archangielska do Sewastopola, i od Brześcia do Ufy musiał autor pożegnać się z rzeczywistością a przenieść na grunt masowéj statystyki i „typów teoretycznych".

W końcu i tak zwana „jednorodność budżetów" typowego włościanina, jest tylko pozorną w obec faktu niewątpliwego i dobrze znanego autorowi, że północ Rosyi zawsze ziarna dokupuje, — południe zwykle ziarno sprzedaje. Różnica południa od północy, strefy czarnoziemnéj od nieczarnoziemnéj, jest ważniejsza, głębsza i w skutki donioślejsza, niż p. Szczerbina i jego towarzysze sądzą. Wiara w jednorodność typu każe im przejść obok tego, pierwszorzędnéj wagi, faktu ekonomicznego bez zwrócenia nań należytéj uwagi.

IV.

Dalszy ciąg pracy p. Szczerbiny poświęcony jest usiłowaniom nakreślenia „typowego budżetu" dla pojedynczych okręgów państwa na zasadzie danych statystycznych. Nie przychodzi mu nigdy na myśl, że

budżet teoretyczny nie posiada żadnéj wartości naukowéj—jest ćwiczeniem umysłowém i niczém więcéj. Podaje więc nam najprzód cyfry ludności na wiorstę kwadratową, daléj stosunek ludności włościańskiéj do niewłościańskiéj w różnych okręgach, stosunek ziemi będącéj w posiadaniu włościan, osób prywatnych i rządu; przestrzenie ziemi dzierżawionéj przez chłopów w różnych okręgach państwa—na zasadzie pracy Karyszewa — ilości bydła rogatego na 100 głów ludności i % ludności włościańskiéj, zajmującéj się w okręgu pracą przemysłową; podział ziemi na różne gatunki użytkowania (rola, łąki, ogrody, lasy, pastwiska i t. d.) w końcu ilość zboża zbieranego średnio na głowę ludności w różnych okręgach. Wszystko to zilustrowane jest ślicznie wykonanemi diagramami. Podług tych danych, teoretyczny włościanin rosyjski zbiera średnio na głowę ludności 17.84 pudów zboża sześciu głównych gatunków. Spożywa zaś – (nie licząc inwentarza) —18 pudów. Dla czego 18? To objaśnia praca p. Maressa, którą musimy się zająć na chwilę nim daléj za p. Szczerbiną pójdziemy.

Rozprawa p. Maressa „Produkcya i spożycie zboża w gospodarstwie włościańskiém" ma na celu przedewszystkiém ustalić cyfrę spożycia ziarna na głowę ludności w państwie. Zwykle obliczenia takie polegają na określeniu ogólnéj ilości spożycia w całym kraju, już to na zasadzie danych o produkcyi, (np. cukru) — już to na zasadzie danych o przywozie towaru z zagranicy, (np. co do kawy, herbaty etc.) — już też na podstawie obu tych źródeł—(żelazo, bawełna etc.). Z ilości ogólnéj potrącają się ilości z kraju wywiezione, a reszta podzielona przez liczbę głów w państwie daje ilość spożycia na głowę ludności. Podstawą więc takiego obliczenia—co do ziarna—może być tylko obliczenie ogólnéj produkcyi ziarna w państwie.

Autor rozbiéra krytycznie źródła statystyki zbiorów w Rosyi i sądzi, że nieufność, jaką żywi nauka do urzędowych cyfr o urodzajach, jest silnie przesadzona, że statystyka ta co do urodzajów ziarna z gruntów włościańskich, jest dokładniejsza. niż takaż statystyka co do gruntów właścicieli prywatnych; że wogóle dane, zbierane przez Komitet centralny statystyczny i Departament, (a późniéj ministeryum) rolnictwa, są dość bliskie siebie. Co się tyczy statystyki ziemstw, to ta, w porównaniu z danemi Komitetu centralnego, wykazuje różnice urodzajów, dochodzące na gruntach włościańskich do 32.4 %, a na gruntach prywatnych nawet do 39.8 %. Średnio wszystkie urodzaje w statystyce ziemstw są wyższe, niż w dwóch pierwszych źródłach: na gruntach włościańskich o 13.1 %, na gruntach dworskich o 22.7 %. Zdaniem autora, dane Komitetu centralnego są za niskie i powinny być zwięk-

szone dla urodzajów włościańskich o 10, dla urodzajów dworskich o 20%.

Dla oznaczenia spożycia ziarna na głowę ludności p. Maress nie ucieka się jednak do zwykłego sposobu, wspomnianego wyżéj; stara się on obliczyć nie to, co ludność włościańska w Rosyi spożywa istotnie, ale to, co ta ludność spożywać powinna teoretycznie, aby się utrzymać w należytym stanie sił i zdrowia. Na zasadzie opinii hygienistów i fizyologów, oblicza on, że włościanin rosyjski powinien spożywać rocznie 18 pudów ziarna.

Według danych zebranych przez ministeryum Rolnictwa, w gospodarstwach folwarcznych w Rosyi liczy się na rok na robotnika, czy to na ordynaryi (w produktach dawanych do domu), czy to na stole dworskim od 18 (gub. Mohilewska) do 36 (Orenburska) pudów mąki żytniéj lub pszennéj i $4^1/_2$ do 12 pudów kaszy i prosa, nie licząc mięsa, ryb, słoniny, kartofli i t. d.

W armii na żołnierza liczy się 2 czetwierti, 6 czetwerików i $6^1/_2$ garnca mąki żytniéj i $24^1/_2$ garnca kaszy gryczanéj, co razem stanowi do 29 pudów ziarna. Biorąc na uwagę średni skład ludności co do płci i wieku—autor sądzi, że istotnie włościanin rosyjski spożywa rocznie 20,7 pudów ziarna i że istotne *minimum*, konieczne dla utrzymania się przy życiu, wynosi 18 pudów rocznie na głowę, sądzi tylko, że normę tę ze względu na koszta mielenia należy podnieść o 1 pud, t. j. do 19 pudów rocznie.

Spożycie ziarna w gospodarstwie włościańskiém nie ogranicza się jednak do wyżywienia ludzi, — podług obliczeń autora, na utrzymanie i chów inwentarza wychodzi średnio w każdém gospodarstwie włościańskiém 45 pudów, t. j. około $7^1/_2$ puda na głowę ludności. Razem zaś ogół potrzeb gospodarstwa wymaga $19 + 7^1/_2$—26.5 puda ziarna na głowę ludności.

Wracamy teraz do pracy p. Szczerbiny nad teoretycznym budżetem włościańskim, a raczéj nad budżetem „teoretycznego rosyjskiego włościanina".

Przytoczone wyżéj obliczenie p. Maress'a—a raczéj hypotezę p. Maress'a—co do rocznego na głowę spożycia ziarna w Rossyi— p. Szczerbina bierze za pewnik,—z czego wynika, że teoretyczny włościanin rosyjski nie zbiera tyle zboża z własnéj ziemi, ile mu potrzeba na wyżywienie rodziny; inwentarz karmi słomą, sianem, sieczką i kupném ziarnem; jeśli zaś porównamy zbiory ziarna i spożycie w pojedynczych okręgach, to wypadnie—że tylko w czterech okręgach: południowym, środkowym czarnoziemnym, południowo-wschodnim i wschodnim—włościanin zbiera więcéj ziarna, niż potrzebuje na wyżywienie rodziny

licząc już tylko 18 pudów na głowę. W pozostałych okręgach to, co zbiéra, nie wystarcza mu na wyżywienie rodziny. Wprawdzie autor przypuszcza, że dane statystyczne, na których oparł ten rachunek, są niższe od ilości rzeczywistych (wspomnieliśmy wyżéj opinię w téj mierze p. Maressa); sądzi jednak, że twierdzenie jego o niedostateczności produkcyi własnéj u ludności włościańskiéj na zaspokojenie potrzeb téj ludności, jest w zasadzie i wogóle prawdziwe, gdyż w 18 pudach ziarna nie mieści się ziarno potrzebne na wyżywienie inwentarza żywego, na magazyny gminne i pożywienie drobiu. „Brak ziarna z własnéj ziemi dla potrzeb własnych i gospodarskich, chyba nie może ulegać wątpliwości, przynajmniéj co do niektórych okręgów."

Zapewniwszy następnie, „że ustanowienie budżetu na zasadzie tylko konkretnych danych, przez zestawienie pojedyńczych budżetów jest stanowczo niemożliwe", przystępuje autor do obliczenia takiego budżetu na zasadzie danych statystycznych i zaczyna od podziału budżetu na różne kategorye wydatków i przychodów. Pracę taką na zasadzie realnych danych uważałby tylko za możliwą dla gub. Woroneskiéj, dla któréj posiada 126 budżetów (104 stanowczo zgubił po drodze), ale wątpi, czy wogóle można za podstawę brać typy realne, które nie obejmują ogółu gospodarstw, témbardziéj, że prawdopodobnie budżety były zbiérane od najrozumniejszych i najenergiczniejszych włościan, dobrych gospodarzy, — a więc nie są typowe. Dlatego też autor sądzi, że gdyby nawet miał odpowiednie drukowane materyały — realne budżety — to mimo to wnioski na nich oparte nie byłyby prawdziwe dla ogółu gospodarstw i zawierałyby zarówno za wysokie dochody, jak i za wysokie wydatki. Uważa zatém autor za właściwsze (str. 30) ustanowić ten podział na podstawie masowych obserwacyi i dopełnić je średniemi przeciętnemi z posiadanych budżetów.

Biorąc następne średnie ilości urodzajów 6 głównych gatunków zboża wyżéj wskazane, mnoży je przez średnie ceny tych zbóż w latach 1883/7, i tak dochodzi do cyfry średniego dochodu w zbożu na głowę ludności. Dochód ten wynosi średnio 10 rs. 80 kop. i waha się w różnych okręgach od 8 rs. 75 k. (w gub. połud.-zachodnich) do 14 rs. 64 k. na głowę (w okręgu południowym). Następnie oblicza p. Szczerbina zasiewy i zbiory roślin nieobjętych 6 wyżéj wym. gatunkami w różnych okręgach, mnoży je przez odpowiednie średnie ceny i dodaje do budżetów. Daléj dodaje jeszcze 12.9% dochodu, jako dochód od ziemi przez włościan dzierżawionéj. Na zasadzie teoretycznego twierdzenia, że $1^1/_2$ puda słomy odpowiada w zbiorach 1 pudowi ziarna i na podstawie ogólnych danych o zbiorach ziarna, oblicza dochód ze słomy po cenach średnich dla różnych okręgów. Dochód z ogrodów oblicza w % do

ziemi pod ogrody zajętéj. Daléj ponieważ w gub. Woroneskiéj według budżetów i opisów gospodarstw, — włościanin ma 11 rs. 47 kop. dochodu z głowy inwentarza, a w gub. Wiackiéj dochód ten stanowi 17 rs. 82 kop., w Nowogrodzkiéj 16.30, a w Tambowskiéj 12.20, — to autor bierze za średnią cyfrę 15 rs. i na zasadzie danych o ilości bydła w różnych okręgach oblicza dochód z inwentarza dla każdego okręgu i dla całego państwa. Średnio na całą Rosyę wypada na głowę ludności 9 r. 99 k. (nie 10!!). Co do dochodów z zarobków i drobnego przemysłu, to oblicza je autor biorąc dane statystyczne o ilości stosunkowéj mężczyzn, zajmujących się zarobkiem przemysłowym w okręgach i mnożąc je stosownie do średnich w okręgu zarobków przez: 55, 60, 65, 70 lub 80 rubli. Ścisłość jego jednak na tém się nie kończy.

„Pozostaje jeszcze, mówi on, w gospodarstwie włościańskiém cały szereg dochodów przypadkowych, do których określenia nawet w najbardziéj przybliżony sposób nie mamy stanowczo żadnych danych, ani w źródłach masowéj statystyki, ani nawet w budżetach. Tu należą premie za spalone budynki, lub zabite bydło, emerytury żołnierskie i wsparcia od rządu, pensye za służbę gminną i piéniądze, z któremi żołnierze wracają do domu; podarki i gratyfikacye, dopłaty przy zamianie bydła i innych przedmiotów, dochody ze sprzedaży budynków, używanych ruchomości, odzieży i t. p., dochód z wynajmowanych mieszkań i domów, procent od wypożyczanych pieniędzy i t. p. Chociaż dochody te mają po większéj części charakter przypadkowy, jednak w ogólnéj masie dochodów, szczególniéj pieniężnych, grają one nie ostatnią rolę" i dlatego autor dodaje do dochodu 15%.

W ten sposób ustanawia autor dochód „średniéj głowy włościańskiéj na całą Rosyę w sumie 55 rs. 63 kop. W okręgach suma ta waha się od *minimum* (w okręgu średnim-czarnoziemu) 50 rs. 90 kop. do *maximum* (w południowym) 65 rs. 65 kop. Porównywując część Rosyi południową z północną w dochodzie tym stanowią w %:

	Południe	Północ
Ziarno z ziemi własnéj	28.8	29.7
„ „ dzierżawionéj . .	4.8	1.7
Słoma, siano, odpadki roślinne .	13.3	16.3
Ogrody i sady	6.2	3.1
Bydło	19.8	15.8
Zarobki i przemysł	14.1	20.4
Pozostałe dochody	13.0	13.0
	100%	100%

Przechodząc do obliczenia wydatków średniéj głowy włościańskiéj, p. Szczerbina uprzedza nas, że to jest jeszcze trudniejsze, niż określenie dochodów. Danemi statystycznemi można określić tylko wydatki na wysiew, podatki i po części dzierżawę ziemi, t. j. około 14.5% wydatków. Co do reszty wydatków, autor kierował się średniemi danemi, wyprowadzonemi z posiadanych przezeń budżetów.

Główny wydatek w gospodarstwie włościańskiém stanowi spożycie ziarna: na własną potrzebę, na pokarm dla bydła i zasiew. Za podstawę autor bierze, iż na utrzymanie głowy potrzeba jest 18 pudów zboża rocznie. Norma ta jest bardzo bliska danych, otrzymanych z budżetów woroneskich. Na ich zasadzie téż określa p. S. koszt utrzymania głowy bydła na 17 rubli (dochód był 15 rs.). Rozchód na owoce i inne pokarmy roślinne ocenia autor na 12%, wydatki na pokarmy zwierzęce na 36% wydatków na ziarno. Wydatki na podatki skarbowe i gminne oblicza według danych urzędowych, dodaje 20% na podatki ziemskie, ubezpieczenia, powinności, osep do magazynów żywnościowych i t. d. Danych do obliczenia opłat za dzierżawę ziemi w 9 okręgach dostarczyła mu praca specyalna p. Karyszewa; dla pozostałych okręgów określa je w przybliżeniu przez analogię z okręgami najbliższemi (dla baltyckiego według danych z gubernii zachodnich, dla północno zachodniego—według danych z dwóch okręgów wschodniego i przemysłowego). Co się zaś tyczy pozostałych wszystkich wydatków: sól, herbata, oświetlenie, odzież, kościół, utrzymanie budynków, żelazo, tytoń i t. d., to ponieważ takowe stanowią w budżetach woroneskich 14 rs. 87 kop. na duszę, to autor wziął tę cyfrę za podstawę, ale podniósł ją dla niektórych okręgów o 10%, dla innych o 40%, według swego wyobrażenia o stosunkowéj ogólnéj zamożności włościan w tym okręgu. W końcu na t. zw. nadzwyczajne wydatki dla wszystkich okręgów dodał 8%.

Na takiéj kłopotliwéj drodze dobija w końcu autor do brzegu, zdobywa szereg cyfr, do których brak mu, jak sam mówi, danych i które uważa za „budżety normalne" teoretycznego, „typowego" włościanina w pojedyńczych okręgach i w całém państwie. Pomijamy cyfry okręgowe. Dla całego państwa budżet ten wygląda w następujący sposób:

Przychód		Rozchód	
Zboże z ziemi własnéj	rs. 16.20	Ziarno	rs. 18.10
„ „ dzierżawionéj	„ 1.92	Słoma, siano dla bydła	„ 8.47
Słoma, siano etc.	„ 8.16	Owoce	„ 1.30
Ogród i sad	„ 2.63	Pokarm zwierzęcy	„ 3.90

Bydło	rs.	9.99	Podatki	rs.	2.65
Przemysł i zarobki	„	9.47	Dzierżawa ziemi	„	1.02
Różne	„	7.26	Pozostałe wydatki	„	20.10
Razem		55.63	Razem		55.54
			Oszczędności roczne kop.		9

Saldo rachunku — różnica między dochodami i przychodami waha się od +1.95 kop. w gub. południowych do —95 kop. w gub. północnych. Wogóle zaś tylko 4 okręgi: południowy (+ 1.98), środkowy (+ 93), południowo-wschodni (+ 94) i wschodni (+ 1.17) dają w budżecie remanent, wszystkie pozostałe kończą się deficytami od 34 kop. do 2 rs. 35 kop. (okrąg nadbaltycki). Autor oblicza, że przy cyfrze ludności wiejskiéj 67,664,301 głów i remanencie średnim 9 kop., oszczędności włościańskie w całém państwie stanowią 6,089,787 rubli, z czego właściwie na strefę południową wypada oszczędności 27,701,574 rs., a na strefę północną deficyt 21,231,115 rubli.

P. Szczerbina sądzi jednak, że rzeczywistość jest smutniejsza. Według danych centralnego komitetu statystycznego, niedobór w podatkach stałych (skarbowych i gminnych) wynosił za r. 1891 rs. 1 kop. 20 na głowę, — zatém był o 79% wyższy, niż obliczony deficyt w północnéj części Rosyi.

Ażeby ocenić, jak na ten budżet działają zmiany w urodzajach i cenach, potrzeba teraz budżet ten teoretyczny podzielić na naturalny i pieniężny. Dla przeprowadzenia tego podziału p. Szczerbina oblicza najpierw, ile w dochodzie i w wydatkach stanowi ziarno: okazuje się przytém, że typowe dla całéj Rosyi gospodarstwo włościańskie dokupuje ziarna za 2 kopiejki; w okręgu południowym włościanin ma z ziarna dochód czysty 3 rs. 2 kop., w północnym okręgu dokupuje go za 4 rs. 72 kop., w nadbaltyckim za rs. 2 k. 36, a w gub. południowo-zachodnich za 3 rs. 7 kop. Pozostałych cyfr nie przytaczamy; podkreślimy tylko, że według obliczeń autora przeciętny włościanin w gub. Wołyńskiéj, Kijowskiéj, Podolskiéj i Czernichowskiéj dokupuje ziarna rocznie za 3 rs. 7 kop. na głowę ludności.

W ten sposób p. Szczerbina dochodzi w końcu do podziału budżetów włościańskich na część naturalną i część pieniężną w cyfrach, których ostateczny rezultat — dla teoretycznego włościanina wszechrosyjskiego—wyraża się w następujący sposób:

Przychód:	w naturze . . .	35 rs. 63 kop.	
	w gotówce . . .	20 „ 14 „	55 rs. 63 kop.
Rozchód:	w naturze . . .	35 rs. 49 kop.	
	w gotówce . . .	20 „ 05 „	55 „ 54 „
	Remanent w gotówce		— rs. 09 kop.

Cyfry budżetów naturalnych równoważą się ze sobą zupełnie; różnice istnieją tylko w budżetach pieniężnych, z czego się okazuje, że obliczenia tych ostatnich wystarczają do obliczenia remanentu lub braku. Tłómaczy to nam zupełnie metodę Stumpfe'go, który wnioski swe oparł wyłącznie na budżecie pieniężnym.

P. Szczerbina wziął jednak do obrachunku obie części, naturalną i pieniężną, bo potrzebował na obu przeprowadzić szereg kombinacyi arytmetycznych, mających wyjaśnić jakoby wpływ cen i urodzajów na budżety włościańskie.

Manipulacya jego polega na wprowadzeniu do tych budżetów zmian cyfrowych przy 8-iu przypuszczeniach, 8-iu kombinacyach wynikających z wahania się cen i urodzajów na 10% — w obu kierunkach. Rezultaty tych wyliczeń dla budżetu włościanina typowego: w całem państwie, w strefie południowej i w strefie północnej wyrażają się w następujących cyfrach. Okazuje się remanent (+), lub deficyt (—) w budżecie:

	Ogólnym	Strefy południowe	Strefy północne
	w rublach		
przy cenach i urodzajach normalnych	+ 0.09	+ 0.77	— 0.67
1. „ zwiększeniu urodzajów o 10% .	+ 1.90	+ 2.64	+ 1.07
2. „ zmniejszeniu urodzajów o 10% .	— 1.72	— 1.10	— 2.41
3. „ zwiększeniu się cen o 10% . .	+ 0.09	+ 0.90	— 0.82
4. „ zmniejszeniu się cen o 10% . .	+ 0.09	+ 0.64	— 0.52
5. „ zwiększeniu się i cen i urodzajów o 10%	+ 2.08	+ 2.96	+ 1.10
6. „ zmniejszeniu się i cen i urodzajów o 10%	— 1.54	— 1.04	— 2.09
7. „ zwiększeniu się urodzajów o 10% i zmniejszeniu cen o 10% . .	+ 1.72	+ 2.32	+ 1.04
8. „ zmniejszeniu się urodzajów o 10% i podwyższeniu cen o 10% .	— 1.90	— 1.16	— 2.74

Cyfry te podług p. Szczerbiny dowodzą:

1) Że dobre urodzaje są dla włościanina bezwarunkowo korzystne, a nieurodzaje bezwarunkowo niekorzytne.

2) Że zmiany w cenach, przy stałości plonów, mają na ostateczny rezultat budżetu wpływ znacznie słabszy, niż zmiany w urodzajach; podniesienie się cen wpływa dodatnio na budżety z remanentem zboża; ujemnie na budżety z deficytem zboża i odwrotnie zniżka cen działa na budżety z remanentem ujemnie, na budżety z deficytem dodatnio.

Dobre zatem urodzaje, mówi p. Szczerbina, są bezwarunkowo błogosławieństwem dla wszystkich okolic. Wysokie ceny dają niejaką korzyść, ale tym tylko gospodarstwom, które mają stale co rok re-

manent ziarna, a dają ją o tyle, o ile łączą się z dużym urodzajem. Liche urodzaje są bezwarunkowo niekorzystne. Niskie ceny są zawsze korzystne, ale w niejednakowym stopniu. Najkorzystniejszą zaś dla włościanina kombinacyą są wysokie urodzaje i niskie ceny na ziarno. Takie lata słusznie noszą w Rosyi nazwę „lat chłopskich" (str. 74).

Dla należytego ocenienia tych wniosków musimy dodać, że ani p. Szczerbina, ani żaden z jego kolegów nie postarali się o wyjaśnienie, ani tego, co uważają za dobre, średnie lub złe urodzaje, ani tego co uważają za wysokie, średnie i niskie ceny ziarna.

V.

Powracamy teraz do pracy p. Maressa „O produkcyi i spożyciu ziarna w Rosyi", w której stara się on inną metodą obliczyć, dla jakiéj ilości włościan rosyjskich wysokie ceny zboża mogą być pożądane.

Ustaliwszy normę spożycia ziarna na 18 do 19 pudów na głowę ludności i $7^1/_2$ pud. na wyżywienie inwentarza, p. Maress oblicza, że na wyżywienie ludności w 50 gubern. państwa potrzeba corocznie $1,285^1/_2$ milionów pudów, a na wyżywienie inwentarza $476^1/_2$ milionów pudów ziarna. Gdyby włościanie mieli tylko zbiory z ziemi nadanéj im przy oswobodzeniu w r. 1864, to tylko w 3 guberniach (Okrąg Wojska Dońskiego, gub. Orenburska i Taurycka) zbiory wystarczyłyby na pokrycie potrzeb ludności i inwentarza. W gub. Besarabskiéj i Ekaterynosławskiéj, Wołyńskiéj, Tambowskiéj i Kurlandzkiéj wystarczyłoby ziarna na wyżywienie ludności i pozostałaby pewna ilość na karm dla inwentarza; w Woroneskiéj i Wiackiéj byłoby tylko tyle, ile potrzebuje ludność, a we wszystkich pozostałych 40 zbiory byłyby niewystarczające na samo wyżywienie ludności; a mianowicie brakowałoby: w 7 guberniach po mniéj niż 3 miliony pudów (w téj liczbie Kowieńska i Chersońska), w 12 guberniach po 3 do 5 milionów pudów (w ich liczbie Symbirska, Saratowska, Penzeńska, Ufimska), w 19 guberniach po 5 do 10 mil. pudów (między niemi Samarska, Kijowska, Podolska), a w 2 guberniach Połtawskiéj i Czernichowskiéj brakowałoby więcéj niż po 10 milionów pudów rocznie.

Braki te jednak zmniejszają się o ilość ziarna zebranego z ziemi przez włościan nabytéj po r. 1864 i ziemi dzierżawionéj od właścicieli prywatnych.

Ziemia nabyta przez włościan po r. 1864 nie wiele zmienia stan rzeczy. Plon z niéj podług p. Maressa wynosi w strefie czarnoziemnéj 5.6%, w nieczarnoziemnéj 9.1% plonów z ziemi nadanéj. Nabywcami

są zamożniejsi włościanie; plony więc te właściwie zwiększają raczéj ilość ziarna, jaką włościanie sprzedają niż zmniejszają te ilości, jakiéj włościanom brak do normy spożycia. Co do ziemi dzierżawionéj od większych właścicieli, to wiadomości o niéj zebrane przez centralny komitet statystyczny (1881 r.) uważa p. Marres za niekompletne i przestarzałe. W każdym razie zbiór z téj ziemi stanowi w stosunku do zbioru z ziemi nadanéj:

mniéj niż 5%	w 10	guberniach	(w têm Podolska),
od 5 do 10%	w 14	„	(Wołyńska),
od 10 do 15%	w 9	„	(Woroneska, Dońska, Kijowska, Taurycka, Ufimska i Charkowska),
od 15 do 20%	w 5	„	(Besarabska, Tambowska, Orłowska, Riazańska i Tulska),
od 20 do 25%	w 6	„	(Ekaterynosławska, Penzeńska, Połtawska, Samarska, Symbirska, Czernichowska),
więcéj niż 25%	w 3	1	(Kurska, Saratowska i Chersońska).

Tylko w guberniach czarnoziemnych dzierżawa włościańska ma istotne znaczenie, a znaczenie to jest jeszcze większe według danych najnowszych, zebranych przez Karyszewa. Według jego danych ziemia dzierżawiona wynosi:

w gub. Samarskiéj	103%	ziemi	nadanéj
Ekaterynosławskiéj	100%	„	„
Połtawskiéj	66%	„	„
Tambowskiéj	65%	„	„
Saratowskiéj	61%	„	„
Chersońskiéj	39%	„	„
Kurskiéj	13%	„	„

Uwzględniając te dane, autor twierdzi, że gospodarstwa włościańskie w gub. Tambowskiéj, Besarabskiéj, Ekaterynosławskiéj, Taurykiéj, Orenburskiéj i Ziemi Wojska Dońskiego nietylko dają ziarno wystarczające na wyżywienie włościan i inwentarza, ale i nadmiar około 46 mil. pud. Pokrywają własném ziarnem potrzeby domu i inwentarza włościanie w gub.: Chersońskiéj, Saratowskiéj, Samarskiéj, Symbirskiéj i Wołyńskiéj. W 4-ch gub.: Kurskiéj, Penzeńskiéj, Woroneskiéj i Jarosławskiéj własne ziarno wystarcza na wyżywienie rodziny, ale na inwentarz brakuje. W 9 guberniach: Orłowskiéj, Riazańskiéj, Połtawskiéj, Charkowskiéj, Kazańskiéj, Niżegrodzkiéj, Kowieńskiéj, Pskowskiéj i Petersburskiéj na wyżywienie inwentarza pozostaje około 38 milionów pudów, t. j. 18% ogólnéj potrzebnéj ilości. W pozostałych zaś 17 guberniach nie ma nawet ilości dostatecznéj na wyżywienie włościanina z jego rodziną. Brak ten wynosi 67,896,000 pudów, a mianowicie:

w gub. Ołoneckiéj, Nowogrodzkiéj, Permskiéj, Witebskiéj, Mohylewskiéj, Grodzieńskiéj i Włodzimierskiéj—po 3 mil. pud.; w gub. Podolskiéj, Mińskiéj, Archangielskiéj, Astrachańskiéj, Kałuskiéj, Twerskiéj i Wileńskiéj — od 3 do 5 mil. pud.; w Moskiewskiéj i Wołogodzkiéj około 6 mil. pud.; w Czernichowskiéj około $11^1/_2$ miliona pudów. Co do téj ostatniéj, autor zastrzega się, że w gubernii téj około $^3/_4$ ziemi prywatnéj dzierżawią włościanie systemem połowniczym, czego w rachunku nie uwzględnił.

Że wyżywienie włościanina rosyjskiego nie jest należycie zapewnione, dowodzi, podług zdania autora, i ta jeszcze okoliczność, że podług danych oficyalnych w d. 1 września 1891 r. t. zw. kapitał żywnościowy powinien był wynosić 83,319,739 rs. gotówką, a w magazynach zbożowych powinno się było znajdować 30,153,001 czetw. zboża. Tymczasem w rzeczywistości w dniu tym było 36,720,708 rubli kapitału i 9,244,319 czetwerti zboża: reszta zalegała u włościan (Centr. komitet statystyczny).

Powiększenie zbiorów włościańskich przez rozszerzenie uprawy uważa autor za niemożliwe. W większéj części gubernii przestrzeń rolna już rozszerzoną została do możliwego *maximum*. Co do zwiększenia plonów z roli, to autor widzi raczéj zmniejszanie się ich stopniowe, niż wzrost. Studyami nad wydajnością ziemi zajmowali się pp. Fortunatow i Grass. Pierwszy z nich stwierdził, że urodzaje żyta na ziemiach włościańskich obniżyły się we wschodniéj, a głównie południowo-wschodniéj Rosyi; że zmniejszyły się téż w peryodzie 1880—1890 roku i na ziemiach folwarcznych w porównaniu z latami 1870—1880. Grass, porównywując cyfry urodzajów za lata 1870/9 i 1880/9, wykazał, że urodzaje: gryki w obu strefach północnéj i południowéj; żyta w strefie nieczarnoziemnéj i jaréj pszenicy w strefie czarnoziemu obniżyły się. Statystycy ziemscy wszędzie notują skargi włościan na obniżenie się urodzajów.

Na zasadzie danych statystycznych — o ilości ziemi nadanéj gminie, ilości głów w gminie i stosunku ziemi ornéj do ogólnéj przestrzeni, a także na podstawie: średnich danych o urodzajach i spożyciu w danym okręgu, — stara się p. Maress obliczyć ile gmin, a tém samém jaka ludność włościańska w Rosyi ma ziarna: I) mniéj niż 19 pudów, II) od 19 do $27^1/_2$ puda, III) więcéj niż $27^1/_2$ puda na głowę ludności.

W ostatecznym rezultacie tego bardzo pracowitego i kłopotliwego rachunku wypada:

główludności	w strefie czarnoziemnéj		w strefie nieczarnoziemnéj		w 50 guberniach Rosyi europ.	
I kategoryi—do 19 pudów ziarna na głowę . .	26,002,495	64 3%	19,355,583	81.7%	45,358,078	70.7%
II kategoryi — od 18 do 26½ puda	9,927,280	24.5%	3,156,121	13.3%	13,083,401	20.4%
III kategoryi—wyżéj 26½ p.	4,519,156	11.2%	1,196,357	5%	5,715,513	8.9%

Sam autor uważa ten rachunek za przybliżony tylko; dane, na których się oparł za niekompletne i nieścisłe. Wadą też jego jest to, że gminę każdą uważa za całość jednorodną, a nie uwzględnia różnic w gminie między pojedyńczemi gospodarstwami. Wada ta wprawdzie, jak sądzi autor, wielką nie jest, bo gospodarstw wyróżniających się za możnością jest mało,—ogół od średniego typu oddala się nie wiele, ale różnice w gminach co do zamożności są znaczne. Nakoniec—a to naszém zdaniem jest najważniejsze — w obrachunku tym nie uwzględnił plonów ani z ziemi nabytéj po r. 1864-ym, ani z ziemi dzierżawionéj przez włościan, — chociaż, jak to podał poprzednio sam na podstawie pracy Karyszewa, ziemia dzierżawiona wynosi w niektórych guberniach więcéj, niż ziemia nadana (gub. Ekaterynosławska), a ziemia uprawiana sposobem połowniczym w gub. np. Czernichowskiéj obejmuje ¾ przestrzeni całéj własności prywatnéj w gubernii. Wobec tego nie wiem, czy rachunek taki nawet przybliżonym nazwać można.

P. Maress sądzi, że dane zebrane przez statystyków ziemskich potwierdzają zrobiony przez niego obrachunek ogólny. W 67 powiatach 12-tu gubernii statystyka ziemska znalazła 24.5% gospodarstw bez koni, 60.1% z 1 lub 2 końmi, 15.4% z większą liczbą koni niż 2 ch; tak że ledwie $^1/_{10}$ lub $^1/_7$ gospodarstw za zamożne uważać można. W każdéj też gminie są gospodarstwa bezrolne, których ilość 7.1% gospodarstw i 5.1% ludności włościańskiéj wynosi (dane z 123 powiatów w 22 guberniach). Liczbę rodzin włościańskich, które mają sobie wydzieloną ziemię w gminie, ale jéj nie uprawiają i albo zupełne zostawiają odłogiem, albo wydzierżawiają oszacować można na 10% gospodarstw (dane z 140 powiatów). W końcu 13.1% włościan (w 12 gub.) nie posiada własnego inwentarza i obrabia ziemię najmem.

W gub. Taurychiéj włościanin jest zamożny, gdy ma 16 — 18 dz. ziemi; zbiory z 6 — 8 dz. idą na pokrycie wydatków pieniężnych. Gospodarstwa mające 1 — 5 dz., a takich jest 32.5%, w żadnym razie nie opędzają potrzeb własném ziarnem, — gospodarstwa mające od 5—10 dz. (18.6%) ledwie je pokrywają, ale w latach nieurodzajnych są na głód wystawione; tylko włościanie obsiewający więcéj niż 10 dz., a jest ich 48.9%, mają pewien dostatek. Tak rzeczy się mają w najurodzajniejszéj gubernii.

W gub. Chersońskiéj statystyka ziemska wykazuje następujący rozdział włościan co do obszaru posiadanéj ziemi:

Bezrolni	20	— 23%
posiadający do 1 dz. zasiewu	1.5	— 3%
od 1 „ 5 „ „	10	— 17%
„ 3 „ 5 „ „	16	— 18%
„ 5 „ 10 „ „	20	— 29%
„ 10 „ 15 „ „	8.5	— 10%
posiadający wyżéj 15 dziesięcin zasiewu	6.7	— 8.6%

Średni urodzaj wynosi na dziesięcinie 28 pud. żyta, 28 pud. pszenicy ozimėj, 22 pud. jaréj, 31 pud. owsa (?). Urodzaje włościańskie skutkiem wyjałowienia ziemi są niższe od folwarcznych o 40%; średnio — wszystkich gatunków ziarna — dwór zbiéra 45 pudów, a włościanin 27 pudów z dziesięciny. Miejscowi włościanie są zdania, że ten z nich własnym ziarnem opędzi potrzeby rodziny, inwentarza i podatki, kto zasiewa 10 dzies.

Przytoczywszy rezultaty badań statystycznych ziemstw w wielu guberniach, które tu opuszczamy, autor sądzi, że nietylko zbiory z ziemi nadanéj przy oswobodzeniu, ale i cała uprawa włościańska, nie wystarcza ani na południu, ani na północy na potrzeby włościan. Zaledwie $^1/_6$ włościan ma ziarna więcéj, niż sama potrzebuje.

To, że wielu i bardzo wielu na jesieni sprzedaje ziarno, to nie dowodzi jeszcze, aby mieli z obrotu rocznego remanenta; ta sprzedaż to tylko operacya kredytowa z zastawem ziarna na $^1/_2$ roku; na wiosnę odkupują go po znacznie wyższéj cenie. Lichwa, jaką przy téj operacyi kredytowéj rolnik opłaca, jest olbrzymia. Różnica ceny jesiennéj, po któréj rolnik zboże sprzedaje — od ceny wiosennéj, po któréj go odkupuje, ma wynosić: w lata urodzajne dla żyta 4 do 9%, dla owsa 16%, w lata nieurodzajne: dla żyta 41%, dla owsa 31%.

VI.

W poprzednich ustępach przytoczyliśmy wszystko, co praca pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp. zawiéra ważnego w kwestyi wpływu cen ziarna na gospodarstwa włościańskie w Rosyi. Nie zrozumielibyśmy jednak ani krytyki tego dzieła, ani goryczy, z jaką opinia w Rosyi pracę tę przyjęła, gdybyśmy pominęli zupełnem milczeniem to, co zawiéra rozbiérana przez nas praca w kwestyi większéj własności ziemskiéj, a specyalnie monografia profesora Kabłukowa: „O wpływie cen ziarna na prywatną własność ziemską". W pracy téj, jak autor sam zazna-

cza, nie mając bezpośrednich danych faktycznych, starał się wyjaśnić, jak „mogą" wysokie lub niskie ceny oddziaływać na prywatną własność ziemską.

Własność ziemska prywatna w Rosyi obejmuje 91,320,915 dziesięcin ziemi, będącéj we władaniu 487,692 osób; stanowi to 23% przestrzeni i 0.7% ludności wiejskiéj. Dzieląc tę ziemię na kategorye: do 50 dziesięcin, od 50 do 200, od 200 do 500, od 500 do 1,000 i powyżéj 1,000 dz., — autor podaje nam następujące obliczenie stosunkowéj przestrzeni majątków każdéj kategoryi, z podaniem stosunkowéj ilości właścicieli, do jakiéj ona należy i stosunkowéj przestrzeni, jaką rola w każdéj kategoryi własności ziemskiéj zajmuje:

	do 50 dziesięcin	od 50 do 200 dzies.	od 200 do 500 dz.	od 500 do 1,000	wyżéj 1,000 dzies.	średnio w całéj grupie
Strefa czarnoziemna:						
% właścicieli	75.1	11.9	5.9	3.2	3.9	100
% ziemi	3.6	6.2	9.6	11.4	69.2	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	69.4	62.5	58.2	52.6	33.4	41.2
Strefa nieczarnoziemna:						
% właścicieli	79.8	11.1	4.4	2.2	2.5	100
% ziemi	5.2	6.3	8.0	8.7	71.8	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	27.4	21.2	16.6	14.1	6.9	10.6
W całém państwie:						
% właścicieli	77.6	11.5	5	2.7	3.2	100
% ziemi	4.5	6.2	8.7	10.1	70.4	100
% roli do ogólnéj przestrzeni majątków	44.4	41.6	39.3	35.8	19.8	25.6

Pierwszą kategoryę własności ziemskiéj do 50 dzies. dzieli autor na trzy grupy: do 1 dziesięciny, od 1 do 10 dziesięcin i od 10 do 50 dziesięcin. Pierwsza zawiéra 61,214 osób, t. j. 12.5% ogólnéj liczby właścicieli,—druga 183,883 osób, t. j. 37.7%, — trzecia 133,305 osób, t. j. 27.4% ogólnéj ilości właścicieli. Razem 77.6%, do których należy 4.5% ogólnéj przestrzeni własności prywatnéj. Wszyscy ci właściciele, podług p. Kabłukowa, nie mają zboża na sprzedaż, ceny ziarna więcéj ich obchodzą przy kupnie, niż przy sprzedaży. Pierwsza grupa, właścicieli do 1 dziesięciny, zawiéra nie rolników, ale tylko spożywców ziarna. Druga grupa od 1 do 10 dz., zdaniem autora, ma ledwie dość ziarna na wyżywienie rodziny; średnia wielkość tych gospodarstw wynosi $2^1/_2$ do 5 dziesięcin; — są to przeważnie gospodarstwa włościańskie. Trzecia grupa—jeśli ma ziarno na sprzedaż, to „chyba w rzadkich wy-

padkach i nie wiele". Majątki od 10—50 dziesięcin są przeważne wydzierżawione włościanom, często nie mają ani inwentarza, ani budynków, czasami zaś są zupełnie porzucone i stanowią tak zwane „majątki nie pamiętające właściciela". Ziemia téj kategoryi przyczynia się zatém do zmniejszenia deficytu ziarna w ogólnéj sumie gospodarstw włościańskich, ale na rynku zbożowym nie wiele waży. Wniosek ostateczny autora: dla całéj grupy właścicieli ziemskich poniżéj 50 dziesięcin, stanowiących 77.6% właścicieli — niskie ceny zboża są korzystemi (str. 143).

Z następną kategoryą własności prywatnéj załatwia się p. Kabłuków w sposób jeszcze dziwniejszy. Dla właścicieli ziemskich, posiadających 50 do 200 dziesięcin ziemi i mających w tém w strefie czarnoziemnéj 62.5% roli, dochód w gotówce stanowi kwestyę drugorzędną. Majątek tego obszaru daje właścicielowi największy dochód w naturze: w mieszkaniu, opale, pożywieniu: mące, kaszy, drobiu, mléku i t. d., — słowem, w produktach spożywanych w naturze, na miejscu. Dzięki tym dochodom właściciel majątku żyje na wsi wygodniéj, niżby żył w mieście z odpowiedniego kapitału. Jest to więc typ gospodarstwa całkiem niehandlowy, przeważnie naturalny, dla którego więcéj waży obfitość w dochodach naturalnych (choćby przy niskich cenach), aniżeli wysokie ceny (przy nieurodzaju). „Na pomyślność lub upadek tych gospodarstw więcéj wpływa obfitość ziarna, niż jego cena. To tak jasne, że dalszego dowodzenia nie wymaga" (t. I, str. 119). A że rozumuje daléj autor, w majątkach strefy nieczarnoziemnéj rola zajmuje przestrzeń stosunkowo trzy razy mniejszą, niż w strefie czarnoziemnéj (21.2% i 62%), — zatém, to co w strefie nieczarnoziemnéj odnosi się do majątków od 50 do 200 dziesięcin, to daje się zastosować i do majątków strefy nieczarnoziemnéj od 200 do 500 dziesięcin (str. 124). W ten sposób zainteresowanemi w wysokiéj cenie ziarna mogą być tylko właściciele ziemscy w Rosyi, posiadający: na południu więcéj niż 200, na północy więcéj niż 500 dziesięcin ziemi. Wynosi to średnio na południu 13%, na północy 19.1% właścicieli. Ale i z téj liczby nie dla wszystkich wysokie ceny ziarna są pożądane.

Dla właścicieli strefy północnéj obojętnemi są ceny pszenicy i kukurydzy; owszem, w interesie ich leżą ceny niskie, tych gatunków ziarna, bo mąkę pszenną i kukurydzę tylko kupują. Dla wielu właścicieli prowadzących gorzelnię i dokupujących żyta, niska cena żyta jest korzystną tak samo, jak dla tych właścicieli, którzy produkują rośliny przemysłowe, nabiał lub wełnę. Zwraca uwagę autor też na to, że przy długoletnich dzierżawach, nizka cena ziarna, staje się dla właściciela tylko „pośrednio" niekorzystną, a w dzierżawach krótkich, rocznych, włościańskich po-

szukiwanie dzierżaw jest silniejsze po każdym dobrym urodzaju, wskutek wzrostu zamożności włościan. Przy połowniczéj obróbce ziemi (*ispolno*,—franc. „*metayage*") nizkie ceny ziarna są téż dla właściciela mniéj dotkliwe. Obliczyć tych wszystkich wpływów nie można—tylko co do jednéj dzierżawy włościańskiéj Karyszew zebrał niejakie dane. — Co wynoszą przestrzenie dzierżawione w stosunku do ziemi włościańskiéj, nadanéj w r. 1864, o tém mówiliśmy poprzednio; ważnym jest jeszcze stosunek w jakim pozostaje przestrzeń dzierżawiona przez włościan do ogólnéj przestrzeni własności prywatnéj.

W 1881 r. było w dzierżawie włościańskiéj: w strefie nieczarnoziemnéj 999,668 dzies. t. j. 23.1% roli własności prywatnéj wyżéj 50 dz.; w czarnoziemnéj 5.033.154 dz. roli t. j. 29.2% roli tejże kategoryi. Uwzględniając konieczność ugoru, autor wnosi, że $^1/_3$ własności prywatnéj jest w dzierżawie włościańskiéj, i że sami właściciele zatrzymują dla siebie w nieczarnoziemnéj strefie tylko 2.428.072 dz., w czarnoziemnéj 9.210.159 dz. z czego na właścicieli majątków wyżéj 50 dz. wypada 2.021.584 i 8.344.404 dz., a po potrąceniu $^1/_3$ na ugor, otrzymuje pod zasiewami: w strefie północnéj 1.347.323 dz. i w strefie południowéj 5.562.936 dzies., a razem w 50 gub. Rosyi Europejskiéj 6.910.259 dziesięcin.

Według p. Karyszewa, opiérającego się na statystyce ziemstw, dzierżawa włościańska zajmuje z ziemi ornéj prywatnéj: w strefie nieczarnoziemnéj na północo-wschodzie 45.6%, na północo-zachodzie 30.5—33.6%; w środkowéj 38.3%; w strefie czarnoziemnéj: na południo-wschodzie 43.7%, na południu 56.9%, na południo zachodzie 50.6% ziemi ornéj. Daje to średnio dla strefy nieczarnoziemnéj 30%, dla czarnoziemnéj 50%.

W strefie nieczarnoziemnéj, więcéj, niż 40% majątków (wyżéj 50 dz.) nie ma żadnego gospodarstwa. Pozostałe 60%, obejmuje 70% ziemi;—z nich 10% są w dzierżawie. Co do strefy czarnoziemnéj, to np. w gub. Niżegorodzkiéj (pwt. Gorbatowski) właściciele obrabiają sami 12.8% ogólnéj przestrzeni roli—sposobem połowniczym 8.8%, w dzierżawie 64.1%, bez żadnego gospodarstwa 14.3%. Gospodarstwo własne zajmuje w pcie Makarjewskim 23.1, w Kniagininskim 17.7% roli. W g. Kazańskiéj (pwt Kazański) — 70% właścicieli oddaje ziemię w dzierżawę; w gub. Tambowskiéj (p. Borysoglebski)—własne gospodarstwa stanowią 51.2% majątków; — 27.9% są w długoletniéj dzierżawie, — 20.9% w rocznéj. W pow. Kirsanowskim 44.6% roli są w dzierżawie włościańskiéj; w pow. Tambowskim 41% roli w dzierżawie. W gub. Charkowskiéj 42.5% roli w dzierżawie (pwt Bogoduchowski). Na podstawie tych danych oka-

zuje się, że właściciele ziemscy rozporządzają corocznie sprzedażą ziarna zebranego z $1^1/_2$ miliona dziesięcin ziemi w strefie nieczarnoziemnéj i $5^1/_2$ miliona dzies. ziemi w strefie czarnoziemnéj.

Według najświéższych danych, dotyczących gub. centralnych, własne gospodarstwa folwarczne stanowią tam mniéj, niż 40% majątków i mniéj niż 50% roli. Co do dzierżawców, to nimi są przeważnie włościanie, ci zaś, którzy wydzierżawiają większe przestrzenie, dzierżawią je przeważnie dla odzierżawienia włościanom.

Dane te potwierdza statystyka Banku szlacheckiego obejmująca 12.000 majątków. Z 9.446 majątków strefy czarnoziemnéj tylko 4.040 t. j. 42.5 % ma folwarki; na rachunek właściciela gospodarstwo prowadzi się w 39.9 % majątków; — 28.9% obrabia się sposobem połowniczym a 29.7% jest w dzierżawie. W trzech g. nadwołżańskich: Symbirskiéj, Saratowskiéj i Samarskiéj: ogół majątków prywatnych wynosi 989; w nich gospodarstw folwarcznych 433, t. j. 43.7 %. Majątki nie mające całkiem żywego inwentarza, stanowią w strefie czarnoziemnéj 48.1 %; procent waha się od 14.3% w gub. Orenburgskiéj do 64.2 % w Woroneskiéj. W strefie nieczarnoziemnéj majątków bez inwentarza 23.8 %. Budynków niéma żadnych w strefie czarnoziemnéj w 36.7 % majątków, w nieczarnoziemnéj na 18.8 %. Ostatecznie, tylko mniéj, niż 10%, — około 7.5 % właścicieli ziemskich są zaintesesowani w wysokich cenach ziarna. Wymienione 7.5 % z 487.692 osób stanowią około 35.000 osób.

VII.

Wstępu do dzieła, napisanego przez prof. Czuprowa, rozbiérać nie będziemy. Powtarza on w streszczeniu wywody i wnioski ostateczne swoich kolegów— pomijając zastrzeżenia o niedokładności danych i wątpliwości co do wniosków zrobionych przez samych autorów. To też wstęp ten stał się głównym celem pocisków krytyki—która przyznać trzeba, nie była ani wyrozumiała, ani bezstronna. Przypomniano najprzód autorowi, że na zjeździe rolników w Moskwie orzekł, iż większa własność ziemska jest wymiérającą formą posiadania ziemi; zarzucono mu daléj, że zupełnie nie zwrócił uwagi na interesy Rosyi, jako całości, która przy niskich cenach zboża traci na wywozie ziarna setki milionów rubli; że ostateczny wywód z téj pracy jest wprost niemożliwy, gdyż niepodobieństwem jest, aby na 6.910.000 dzies. ziemi, które jakoby większa własność ziemska co roku obsiewa i z których plon na rynek dostarcza, mogło co roku urodzić się około 1.000.000.000 pudów ziarna, z których około

700.000.000 wywozi się co roku za granicę, i niemniéj chyba, niż 300 mil. p. idzie na wyżywienie miast i potrzeby przemysłu [1]).

Dyskusya nad pracą pp. Czuprowa, Posnikowa i S-ki zajęła dwa posiedzenia Ces. wolno ekonomicznego Towarzystwa (1 i 2 Marca 1897 r.). Zarzucono autorom, że nie rozróżnili skutków urodzajów i nieurodzajów od skutków nizkich i wysokich cen (Tuhan-Baranowski); że niedość zwrócili uwagi na na to, że nizkie ceny ziarna prowadzą do rozszerzania się dzierżaw „połowniczych" i „na odróbki", które są cofaniem się kultury i powrotem do stosunków pańszczyznianych (Struve); zarzucono im wogóle fałszywą metodę, nieprawidłowości logiczne, i nie naukowe traktowanie kwestyi.

Najgorzéj jednak z autorami obszedł się prof. Uniwersytetu kijowskiego Pichno, w broszurze p. t. „Znaczenie cen ziarna dla Rosyi". „Praca pp. Czuprowa i Posnikowa — mówi on w streszczeniu téj książki—jest zupełną negacyą nauki — smutnym pomnikiem lekkomyślności i naukowego nadużycia. Pracę tę można tylko przytaczać jako rażący przykład, czego nie może i nie powinien robić uczony bez względu na warunki i cele pracy; jako na wyjątkowy wypadek, w którym zapomniano i o elementarnych wymaganiach metody naukowéj i nadużyto manipulacyi cyframi" (str. 144). Zdaniem prof. Pichno — „typowy budżet" p. Szczerbiny kwalifikuje się do wodewilu (str. 84)—w całéj pracy brak zupełny jakichkolwiek dowodów (str. 17)—śmiecie (str. 90), fantastyczne cyfry (str. 81), a całość dowodzi nierozumnéj odwagi autorów (str. 102) [2]).

Prof. Pichno zwraca uwagę na jedną zasadniczą kwestyę, o któréj dotąd nie mieliśmy sposobności pomówić. Główny błąd teoretyczny pp. Czuprowa, Posnikowa i S-ki, leży podług niego w tym „nierozsądnym pomyśle" jakoby wysokość cen ziarna miała znaczenie tylko dla téj jego ilości, która dostaje się na rynek, a byłazupełnie bez wpływu na ilości spożywane przez samego producenta. Wartość pracy wszystkich 70 do 80 milionów włościan rosyjskich zależy—zdaniem p. Pichno — od wartości produktu téj pracy, od ceny zboża. Jeśli w produkcyi własnéj włościaninowi dzienny zarobek oblicza się na 15—25kop., to zarobek jego u właściciela folwarku nie będzie téż wart więcéj, i właściciel nie będzie mógł nawet dać mu więcéj. Nędznym cenom zboża, zdaniem p. Pichno, zawsze towarzyszą nędzne zarobki rolne;—a nędzne zarobki rolne, w kraju przeważnie rolniczym, decydują o zarobkach w całym kraju

---

1) T. Romer w N. N. 143 i 144 „*St. Pet. Wiedomosti*" r. 1897.

2) Na uwagę zasługuje téż i krytyka prof. L. W. Chodskiego p. t. „Z powodu książki: wpływ urodzajów i cen ziarna, etc."

i dla całéj ludności. Te „nędzne zarobki" decydują o cenie ziarnia eksportowanego za granicę decydują o cenie wszystkich płodów rolnictwa, o zarobkach we wszystkich gałęziach przemysłu. Gdyby—mówi p. Pichno—pp. Czuprow, Posnikow i Sp. twierdzili np., że dla Anglii nizkie ceny węgla kamiennego, żelaza i tanie frachty morskie, są korzystne, każdy spostrzegł by, że twierdzenie to jest absurdem, że jest ono równoznaczne z twierdzeniem, iż korzystnem jest dla Anglii obniżenie wartości angielskiéj pracy i kapitałów angielskich. To zaś znaczenie, jakie dla Anglii mają kopalnie, fabryki i flota handlowa—dla Rosyi ma jéj rolnictwo, i dla tego obniżenie się ceny zboża dla Rosyi jest przedewszystkiém klęską ogólną. Szkodliwość nizkich cen ziarna dla ekonomicznego stanu państwa jest pewnikiem matematycznym, na który przewaga t. z. naturalnego gospodarstwa pozostaje bez wpływu.

Tę samą myśl rozwija na gruncie bardziéj konkretnym p. T. Woropopow w kwietniowym zeszycie „Wiestnika Jewropy" 1897 r. w art. p. t. „Kryzys i chłop" (*Krizis* i *mużyk*) (str. 813). Nie sądzi on, aby nawet dla włościanina każda niska cena ziarna była korzystną. Aby zapłacić 10 rs. podatku, rolnik musiał sprzedać w 1879 r. 12.80 pudów żyta (gub. Chersońska), a w 1888 r. 26.30 puda; odać zatém plon: w 1879 r. z 0.21 a w 1888 z 0.44 dzies. Przy wzrastającéj stale ludności i słabym stosunkowo rozwoju przemysłu cena ziarna stanowi baryerę, która powstrzymuje spadek zarobków. Czasowe obniżenie ceny ziarna inne ma skutki, niż obniżenie téj ceny stałe, długie lata trwające. Kryzys ostatni niezawodnie obniżył ceny zarobków w Rossyi. Spadki cen ziarna następowały skokami: w 188²/₃, w 1887 i w 189²/₃. Pierwsze dwie zniżki cen ziarna już obniżyły zarobki; skutki spadku 189³/₄ jeszcze się rozwijają. Autor sądzi, że jakkolwiek „taniość" ziarna może mieć „wpływ dobroczynny dla większości włościan małorolnych w nieczarnoziemnych guberniach, to jednak wpływ ten jest krótkotrwały,—a tymczasem są jeszcze inne warunki—(raczéj skutki)—ekonomiczne, które paraliżują wpływ niskich cen ziarna. Jeśli taniość zboża prowadzi do zmniejszenia ceny pracy, jeśli małorolność włościan i brak ziemi na wsi rosną — to w końcowym rezultacie dobroczynny wpływ nizkiéj ceny ziarna będzie krótkotrwały — i ten wpływ ich spotka się z wpływami innemi, niekorzystnemi, tak silnemi, że nietylko go sparaliżują, ale nawet przewyższą" [1]).

---

[1]) Zmniejszenie się przestrzeni zasiewu w Rosyi, jest urzędowo stwierdzonym faktem. Patrz „Ateneum" za grudzień 1897 r. Art. p. t. „Stanowisko Kr. Polsk. w Państwie Ros. co do produkcyi ziarna".

Pp. Czuprow, Posnikow i Sp. nie zwrócili téż uwagi na jedną okoliczność, która, naszém zdaniem, przy ich systemie dowodzenia nie powinna być pominięta. Jeśli jest minimalna przestrzeń, poniżéj któréj rolnik nie jest w stanie wyżywić pracą rąk swoich rodziny, — to jest także i granica maksymalna przestrzeni dla jego pracy — po nad którą nie jest on w stanie roli należycie obrobić. Zwyczaj granicę tę ustalił w Europie od wieków. Fakt, że pierwotne średniowieczne gospodarstwa włościańskie mają zwykle po 30 morgów i 15 dziesięcin—a to zarówno w Polsce i w Niemczczech; okoliczność, że polskie: łan i włóka i niemieckie „*hufe*" są sobie równe, — ma to źródło i podstawę, że 30 morgów ziemi, jest granicą pracy rolnika, *maximum* przestrzeni, jaką rolnik przy średniowieczném gospodarstwie trójpolowém obrobić jest w stanie. W epoce, w któréj nowoczesne społeczeństwa osiadały na roli, w któréj ziemi było więcéj, niż ludzi, i w któréj starano się i miano możność zająć pod kulturę jak największą ilość gruntu, w téj epoce— dawano rolnikowi nie więcéj nad 30 morgów, 15 dziesięcin, z których on nietylko siebie z rodziną żywił, ale także powinności i wszelkie inne ciężary ponosił. Jeśli zatém rola 30 morgowa dziś starannemu rolnikowi nie wystarcza—dowodzi to, że grunt ten wogóle d o r o l n i c t w a nawet przy trójpolówce odpowiednim nie jest

Dziś wobec koniecznego, nawet dla włościanina, przejścia od gospodarstwa trójpolowego do płodozmianu,—sądzimy, że rolnik z rodziną nie jest w stanie dobrze uprawić więcéj, niż 20 morgów — 10 dziesięcin i 10 hektarów gruntu — i dla tego uważamy, że wszelkie dochodzenia: jak cena ziarna wpływa na własność ziemską powyżéj 20 morgów, są pozbawione logicznego motywu. Jeśli 20 morgów ziemi uprawianéj nie wystarczają na wyżywienie rolnika, to przyczyna musi leżyć albo w jego krańcowém lenistwie, albo w średniowiecznych warunkach kultury, — albo nakoniec w nieodpowiedniości gruntu do kultury rolnéj.

Wszelkie badanie wpływu cen na małą własność rolną musi zatém ograniczyć się między 2 h-a — 2 dziesięcinami lub 4 morgami— a 10 dziesięcinami, 10 hektarami i 20 morgami gruntu, a celem jego musi być wskazanie téj przeciętnéj ilości średnio dobrego gruntu, z którego, przy zwykłéj w kraju kulturze, rolnik może otrzymać zasób plonów, wystarczający dla wyżywienia jego rodziny.

Badania pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp., nie wskazały nam té średniéj ilości, raz dla tego, że szły zupełnie fałszywą drogą, powtóre, dla tego, że nawet z materyału, który był pod ręką skorzystać nie umiano, czy téż nie chciano (dla gub. Woroneskiéj). Co do gubernij czarnoziemnych istnieje silne podejrzenie, że ilość minimalna ziemi wynosi średnio od $3\frac{1}{2}$ do $4\frac{1}{2}$ dzies. na gospodarstwo. Przy oswobodzeniu

włościan w 1864 roku uznane było za konieczne, dać im po 3.5 dziesięciny „na rewizką duszę", t. j. na głowę dojrzałego robotnika męskiego. Działo się to jednak w czasie, w którym już ziemia wartość mieć zaczynała, w którym więc ze strony właścicieli ziemskich mogła zrodzić się tendencya jaknajwiększego ograniczenia gruntów oddawanych włościanom; — za czasów jednak poprzedzających tę epokę, za czasów kiedy w Rosyi europejskiéj gruntów nie brakowało, istniał w „Zbiorze Praw" artykuł usunięty dopiéro w r. 1857 — i noszący w tomie IX numer 1107. Opiewał on, że jeśli „pomieszczyk" nie jest w stanie dać na każdego włościanina dorosłego po $4^1/_2$ dziesięciny roli, — to nadmiar jego włościan ma być na skarb zabrany. Tę więc ilość gruntu uważano w pierwszéj połowie bieżącego stulecia — w epoce, w któréj gruntu włościaninowi nie skąpiono — za dostateczną i ta ilość prawdopodobnie i dziś w strefie czarnoziemnéj jest zdolna wyżywić rolnika z jego rodziną.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Obliczenia p. Maressa oparte są na ilościach urodzajów i ilości ludności w danym okręgu. Ilość urodzajów podana w źródłach statystycznych jest zaledwie przybliżoną, — ilość ludności także ścisłą nie jest. Świéżo w miesięczniku „*Russkoje Bogactwo*" (listopad, 1897 r.) p. Pieszechonow starał się obliczyć, ile potrzeba ziarna na wyżywienie włościan powiatu kozieleckiego gub. Kałuskiéj. Statystyka urzędowa powiatu wykazuje 10,670 dusz włościańskich, — w rzeczywistości jest w powiecie tylko 8,792 ludzi „jedzących ziarno", t. j. około 80% ludności do ksiąg zapisanéj. Ten fakt dowodzi ostatecznie, że wszelkie obliczenia, dotyczące ilości normalnego spożycia ziarna w okręgu oparte na „masowych danych statystycznych" nawet za przybliżone uważanemi być nie mogą i nie powinny służyć za podstawę dla jakich bądź wniosków.

VIII.

Rozbiór pracy pp. Czuprowa, Posnikowa i Sp. przekonywa ostatecznie, że jedyną metodą, prowadzącą do oznaczenia minimalnéj ilości gruntu potrzebnéj do wyżywienia rodziny włościańskiéj, może być tylko metoda użyta w Niemczech przez Kühna i Stumpfe'go — badanie pojedyńczych, konkretnych gospodarstw włościańskich i sprawdzenie: o ile średnie plony z nich zebrane mogą istotnie zaspokoić potrzebę ziarna, w rodzinie samego wytwórcy. Wartość rezultatu zależy od ilości obserwacyi, ścisłości i wiarogodności danych.

Żadną jednak metodą nie można tu dojść do jakiéjś stale oznaczonéj dla całego kraju cyfry morgów; można tylko określić pewną ich ilość, która przy średnim gruncie, przy zwykłych warunkach uprawy i w latach średniego urodzaju daje zbiór wystarczający zwykle do wyżywienia rodziny rolnika, wedle norm ustalonych zwyczajem. Nie należy téż rozbiérać, o ile ta zwyczajem ustalona norma odpowiada warunkom racyonalnéj hygieny, albo im nie odpowiada; — z góry nawet jesteśmy przekonani, że np. u nas w kraju skala życia włościańskiego, „*standard of life*", jeśli nie co do ilości, to co do jakości pożywienia jest za niska.

Pracę naszą uważalibyśmy jednak za niezupełną, gdybyśmy nie próbowali w jéj zakończeniu zastanowić się nad pytaniem: jaka ilość ziemi potrzebna jest u nas w Królestwie Polskiém do wyżywienia rodziny włościańskiéj? Rozwiązać jéj jednak, nie jesteśmy w stanie; brak nam do tego oppowiednich danych; materyał, jakiśmy w tym celu nagromadzić mogli, ogranicza się do kilku cyfr, mogących służyć za wskazówkę co do kierunku dalszéj pracy i do szeregu faktów konkretnych, zbyt nielicznych, aby na nich odpowiedź na pytanie nasze oprzéć było można. Co się tyczy wskazówek, to przedewszystkiém z tego, cośmy poprzednio przytoczyli, wolno nam wnioskować: 1) że *minimum* ziemi potrzebne do wyżywienia rodziny włościańskiéj musi być wyższe od 2 hektarów, 2 dziesięcin — i czterech morgów średniéj dobroci ziemi; 2) że *minimum* to w żadnym razie nie dochodzi do 30 morgów. Wobec rezultatów prac pp. Czuprowa i Sp. i ten punkt 2 gi nie wydaje się nam bez znaczenia.

Za drugą z kolei wskazówkę służyć nam może rozporządzenie Komitetu urządzającego w Królestwie Polskiém, ustanawiające niepodzielność osady włościańskiéj poniżéj 6 morgów gruntu. Jakkolwiek nieznanemi nam są szczegóły i dane, na których oparto motywy tego rozporządzenia, cel jego jest jasny: chodziło o niedopuszczenie do tworzenia się osad niewystarczającycb na wyżywienie rodzin włościańskich. Sądzono więc w sferach miarodajnych, że 6 morgów ziemi jest tym minimalnym obszarem, poniżéj którego ziemia rolnika z rodziną wyżywić nie może. Czy i jak rozporządzenia te wykonywane są w rzeczywistości, to kwestyi bynajmniéj nie zmienia; — sądzimy jednak, że ilość 6 morgów gruntu była oznaczona na podstawie pewnych danych, czy to teoretycznych, czy téż praktycznych, w kraju zebranych.

Trzecią wskazówką może być dla nas ilość gruntu i ordynaryi, dawanych u nas w kraju we dworach stałemu, rocznemu, żonatemu i dzietnemu parobkowi. Zwykle dwór—prócz mieszkania, opału i pen-

syi w gotówce — daje: 1) $^1/_2$ korca pszenicy, 6 korcy żyta, 4 jęczmienia i 1 korzec grochu; 2) $^1/_2$ morgi gruntu pod kartofle i 30 prętów pod len i kapustę; 3) utrzymanie krowy w oborze dworskiéj. Ilości te, o ile wiemy, są dostateczne dla wyżywienia rodziny parobka i dokupywanie przezeń ziarna wogóle nie ma miejsca,—resztkami i odpadkami wykarmia się trzodę, która na rynek idzie. Przywiedzione ilości ziarna odpowiadają przestrzeniom ziemi, potrzebnym do ich wyprodukowania przy średnich plonach i na średnich gruntach:

$^1/_2$ korca pszenicy	— m. 25 prętom ziemi	
6 korcy żyta	1 „ 150 „ „	
4 korce jęczmienia	— „ 200 „ „	
1 korzec grochu	— „ 100 „ „	
Razem ordynarya w twardém zbożu odpowiada		2 m. 175 pr.
grunt pod kartofle, len i kapustę		— „ 180 „
Razem ziemi ornéj pod coroczną uprawę		3 m. 65 pr.
Ugór		1 „ 185 „
Łąka na utrzymanie krowy		1 „ — „
Razem		5 m. 150 prętów.

Tą drogą zatém dochodzimy do wniosku, że około 6 morgów ziemi powinnoby wystarczać na utrzymanie rodziny włościańskiéj.

Wszystko to jednak ma tylko znaczenie wskazówek, mogących wytknąć kierunek, w którym poszukiwania powinny być robione. Dowodzą one, że *minimum* znajduje się nie w okolicy 4, ale 6 morgów gruntu.

Daleko większą wagę mają następne, zebrane przez nas z wiarogodnych źródeł, dane konkretne, odnoszące się do dwóch wsi: w gub. Warszawskiéj (powiat płoński) i w gub. Łomżyńskiéj (pow. ostrołęcki). Są to skrócone budżety włościańskie—co do obrotu ziarna.

Wieś A. leży w okolicy cukrowni, stąd gospodarstwa nawet włościańskie cechują się pewnym postępem, i ze sprzedaży buraków czerpią gotówkę.

Gospodarstwo N. 1. Przestrzeń ogólna 37 m., w tém roli 35 łąk 2 m. W rodzinie 6 głów, przytém 2 służby. Inwentarz 5 krów, 1 jałowizny, 2 koni. Zbiór pszenicy korcy 50, żyta 50, jęczmienia 10, owsa 18, grochu $^1/_2$ k., tatarki $^1/_2$ k., kartofli 100 korcy. Pod burakami 4 morgi. Spożycie domowe 15 korcy twardego zboża, prócz kartofli. Spożycie inwentarza — nie oznaczone. Corocznie sprzedaje się: około 45 korcy zboża, 150 korcy buraków. Dochód z inwentarza około rubli 100.

Jestto więc gospodarstwo pół włościańskie i pół folwarczne, a wobec tego danych, dotyczących dwóch innych gospodarstw téj saméj prawie wielkości (34 i 32 morgi) i wykazujących prawie te same ilości zbiorów i dochodów ze sprzedaży, nie podajemy.

Gospodarstwo N. 2. Przestrzeń 18 m., roli 14, łąki 4. Zbiór pszenicy 15 k., żyta 25, jęczmienia 5, owsa 1, grochu 1, tatarki 1, kartofli 40 k.; pod burakami $^1/_2$ morgi. W domu 8 głów rodziny i 1 służby. Inwentarz: 2 krowy, 1 jałowizny, 1 koń. Spożycie 14 korcy i wszystkie kartofle. Sprzedaż roczna około 23 k. ziarna i 15 korcy buraków. Z inwentarza około 75 rs. dochodu.

Gospodarstwo N. 3. Przestrzeń (cała pod rolą) 18 mórg. Zbiór pszenicy 28 k., żyta 15, jęczmienia 8, owsa 15, grochu 1, tatarki $1^1/_2$, kartofli 50 k.; pod burakami $1^1/_2$ m. Głów w domu 6. Inwentarz: 2 krowy, 3 jałowizny, 2 konie. Spożycie 13 korcy ziarna i kartofle. Sprzedaż: ziarna 30 korcy i 60 korcy buraków. Z inwentarza do 100 rubli.

Gospodarstwo N. 4. Przestrzeń 18 m., cała pod rolą. Zbiór: pszenicy 24 k., żyta 25, jęczmienia 14, owsa 15, grochu 1, tatarki $1^1/_2$, kartofli 50 k.; pod burakami $1^1/_2$ m. Głów w domu 4. Inwentarza sztuk 7. Spożycie ziarna 10 korcy + kartofle. Sprzedaż 10 korcy ziarna, 50 k. buraków. Dochód z inwentarza do 100 rs.

Wszystkie 3 gospodarstwa widocznie zamożne — dalekie od typu minimalnego.

Gospodarstwa N. 5 i 6. Przestrzeń 9 m.—pod rolą 7, łąki 2 m. Zbiór: pszenicy 10 k., żyta 15, jęczmienia 5, kartofli 30, pod burakami $^1/_2$ m. Głów w domu N. 5—6, w N. 6—7. Inwentarza sztuk 4. Spożycie: 8 korcy i kartofle. Na sprzedaż 15 korcy ziarna, buraków 20 i 22 korce. Z inwentarza 25 r. I tu jeszcze zboża więcéj, niż go potrzeba, na wyżywienie rodziny.

Dopiéro co do 2-ch następnych gospodarstw zachodzi wątpliwość, czy zbiory ich wystarczają na wyżywienie rodziny:

N. 7. Przestrzeń 6 m., cała pod rolą. Zbiór: pszenicy 4 k., żyta 10 k., jęczmienia 1 k., kartofli 20 k. W wysiewie 16 garncy wyki. Głów w domu 4, inwentarz 2 krowy.

N. 8. Przestrzeń 6 m., pod rolą; zbiór: pszenicy 4 k., żyta 4 k., jęczmienia 2 k., kartofli 40 korcy, wyki zasiano 16 garncy. Głów w domu 5. Inwentarz 1 krowa.

Obaj gospodarze zboża nie sprzedają.

Na zapytanie, czy go dokupują? oświadczają, że nie, bo nie mają za co. Wysiew wyki dowodzi pewnego postępu w gospodarstwie.

Wieś B znajduje w bardziéj typowych warunkach, z uprawą buraków już się tu nie spotykamy.

Gospodarstwo N. 9. Przestrzeń 30 m., roli $26^1/_2$, łąk 2 morgi. Zbiór: pszenicy 4 k., żyta 30, jęczmienia 8, owsa 18, tatarki 5, kartofli 80 korcy. Głów w rodzinie 5, prócz tego 2 służby. Inwentarz: bydła rogatego 8, koni 2, świń 3, owiec 10. Siew, inwentarz i ludzie spożywają całą produkcyę. Z inwentarza 75 rs. dochodu. Na sprzedaż ziarna nic nie pozostaje. W to trudno nam uwierzyć, choćby ze względu na następne gospodarstwa z téjże wsi.

N. 10. Przestrzeń $22^1/_2$ m., ornéj $20^1/_2$, łąk $1^1/_2$. Zbiór: pszenicy 3 k., żyta 50, jęczmienia 6, owsa 18, tatarki 3, kartofli 90 korcy. Głów 8. Inwentarz: bydła rogatego 8, koni 3, świń 3, owiec 8. Spożycie na dom nie podane, — inwentarzem spasają żyta 16 korcy, owsa 8 k. i kartofli 40 k. Sprzedaż: żyta 5 korcy, owsa 2, tatarki 1. Z inwentarza 30 rs. dochodu.

N. 11. Przestrzeń 15 m., w tém ornéj 8, łąk 1—reszta? Głów 4; inwentarz: bydła 3, koń 1, świń 2, owiec 3. Sprzedaje co roku $^1/_2$ korca pszenicy i $^1/_2$ k. żyta. Z inwentarza 31 rs. dochodu.

Fakt wystarczania własnemi plonami na wyżywienie rodziny do téj pory niewątpliwy,—w gospodarstwach mających 8 morgów roli staje się wątpliwym.

N. 12. Przestrzeń 9 m., roli 8 m., łąki $^1/_2$ m. Zbiór: pszenicy 0, żyta 4 k., jęczmienia $^1/_4$, owsa 4, tatarki $1^3/_4$, kartofli 20. (Ogólna ta ilość zbiorów jest podejrzanéj wiarogodności; jako wysiew podano: 6 garncy pszenicy, $2^1/_2$ k. żyta, $^1/_4$ jęczmienia, $1^3/_4$ k. owsa, $^1/_4$ k. tatarki, 10 k. kartofli). Głów 4; inwentarz: koń 1, krowa 1, świń 2, owiec 3. Dokupuje 2 korce żyta i 5 korcy kartofli.

N. 13. Przestrzeń 8 m.; roli 7, łąki $^1/_2$ m. Zbiór: pszenicy 2 k., żyta 10 k., jęczmienia 1 k., owsa 2, tatarki 4 k., kartofli 40 k. Głów w domu 4, inwentarz: bydła 4, koń 1, świnia 1, owiec 3. Sprzedaje $^1/_2$ k. żyta. Z inwentarza 52 rs. dochodu.

N. 14. Przestrzeń $7^1/_2$ m.; ornéj $6^1/_2$, łąk $1^1/_2$. Zbiór: żyta 10 k., jęczmienia 1, owsa $4^1/_2$, tatarki $^3/_4$, kartofli 60 k. Głów w domu 6. Inwentarz: 2 krowy, 1 koń, 1 świnia. Sprzedaje: 3 k. żyta, $^1/_4$ k. jęczmienia, 2 k. owsa i 5 korcy kartofli. Z inwentarza 23 ruble dochodu.

N. 15. Przestrzeń 6 morgów, w tém roli $3^1/_2$, łąk $^1/_2$. Zbiór: $^3/_4$ k. pszenicy, 6 k. żyta, 1 k. jęczmienia, $1^1/_4$ k. tatarki, 50 k. kartofli. Głów w domu 6. Inwentarz: bydła 6, świnia 1, owiec 2.

Na zakończenie jeszcze jeden szereg danych, odnoszących się do gospodarstwa włościańskiego w gub. Kieleckiéj — z okolic Włoszczowy.

N. 16. Przestrzeń 18 m., w tém roli 11, łąk 2, pastwiska 5 m. Zbiór roczny pszenicy k. 10, żyta 6, jęczmienia 10, owsa 14, grochu 6, kartofli 80. Głów w domu 8, w tém 4 dzieci i 1 parobek. Inwentarz: koni 2, bydła 7 sztuk, 4 świnie, 6 owiec, gęsi 20—30 sztuk. Sprzedaje 4 k. pszenicy, 4 k. jęczmienia, 20 k. kartofli, 2 k. tatarki. Dokupuje 6 korcy owsa i słomy za 10 rs. Dochody, prócz ziarna: z furmanek 60 rs., z jaj 7 rs., z gęsi 12 rs., z inwentarza 60 rs.

Jak widzimy i w téj okolicy kraju 18 m. gruntu daje widoczną zamożność, daleką od *minimum* wyżywienia.

Z wszystkich tych danych wysnuć możemy tę wskazówkę, że w naszym kraju *minimum* ziemi potrzebnéj na wyżywienie rolnika z rodziną znajduje się między 6 a 10 morgami, t. j. 3 a 5 dziesięcinami średniego gruntu,—i że dla włościanina, mającego tę ilość ziemi, wysokie ceny zboża przynoszą niezawodną, bezpośrednią korzyść.

IX

Przytoczone powyżéj dane nie są dostateczne do rozstrzygnięcia pytania, sądzimy jednak, że podniesiona przez nas kwestya jest dość ważna, aby zachęcić do usiłowań w celu jéj rozwiązania. Poruszając ją na tém miejscu, zamiarem naszym jest przedewszystkiém wnieść ją na porządek dzienny, a jednocześnie wskazać tym, którzyby się nią zająć chcieli, drogę właściwą do jéj rozwiązania, a tém samém zachęcić do zbiérania danych i albo opracowania ich dla pewnéj specyalnie okolicy, albo przesłania ich do naszéj redakcyi. Mamy nadzieję, że śród inteligentnych sfer naszego rolnictwa, nie zabraknie ludzi gotowych przyłożyć rękę w téj sprawie, która, w naszym kraju, ma znaczenie kwestyi społecznéj pierwszorzędnéj ważności. Spodziewamy się też, że zarówno organy prasy poświęcone interesom większéj własności ziemskiéj, jak i pisma przeznaczone dla sfer włościańskich, choć w skróceniu, powtórzą treść naszéj pracy i zachęcą swych czytelników do czynnego udziału w zbiéraniu materyałów, do wyjaśnienia postawionéj przez nas kwestyi koniecznych. Materyały te obejmować powinny następujące dane:

1. Oznaczenie gubernii, powiatu, gminy i wsi.

2. Ogólną przestrzeń gospodarstwa, przestrzeń pod rolą, łąkami, lasem, ogrodem i t. d. z przybliżonym choćby określeniem stopnia dobroci gruntu.

3. Służebności—czy przysługują osadzie i jakie?

4. Ilość głów w domu: starców, robotników, dzieci i służby z osobna.

5. Inwentarz.

6. Ogólny średni zbiór — z podaniem, jeśli można, ilości spotrzebowanych: na 1) siew, 2) pożywienie dla ludzi, 3) karm dla inwentarza, 4) sprzedaż.

7. Odpowiedź na pytanie: czy gospodarstwo zwykle dokupuje, czy sprzedaje ziarno i ile?

8. Jakie są inne dochody z gospodarstwa w gotówce?

Im bardziéj te dane będą szczegółowe, i im więcéj ich będzie zebranych, tém bardziéj zbliżyć się będzie można do rezultatu, mającego wszystkie cechy przybliżonego prawdopodobieństwa. Nie ulega tylko wątpliwości, że otrzymany rezultat będzie zawsze przybliżony, różny dla różnych okolic, różnych gatunków gruntu i różnych zwyczajów uprawy.

Kończąc rzecz naszą, uważamy za właściwe przytoczyć, że wedle znanego specyalisty w sprawach rolnych Seringa [1]) przeciętny plon pszenicy z hektara ziemi wynosi:

w Rosyi	6.7	hektolitrów
w Stanach Zjednocz. A. Płn.	10.7	"
w Węgrzech	11	"
w Rumunii	12	"
we Francyi	14.9	"
w Niemczech	17	"
w Hollandyi	21.6	"
w Belgii	24.3	"
w W. Brytanii	26.9	"

Cyfry te dowodzą: że wzrostowi cywilizacyi w kraju towarzyszy zawsze wzrost wydajności ziemi; że tém samém wzrost cywilizacyi prowadzi za sobą zmniejszenie przestrzeni ziemi koniecznéj do wyżywienia rodziny rolnika, że zatém przestrzeń, którą dziś za minimalną uważamy przy lepszéj uprawie i lepszém gospodarowaniu z biegiem czasu powin-

---

[1]) Patrz Buchenberger. *Agrarwesen und Agrarpolitik*, t. II, str. 577.

na dać więcéj, niż tego konieczna potrzeba wymaga i że w naturze przemysłu rolnego leży zdolność do coraz większego zaspakajania potrzeb ludzkich z danéj przestrzeni ziemi.

Na zakończenie odwołujemy się raz jeszcze do wszystkich dobréj woli rolników z prośbą o nadsyłanie do redakcyi naszego pisma faktów i danych, mogących poruszoną przez nas kwestyę wyjaśnić, i do wszystkich organów prasy dla rolnictwa przeznaczonych z prośbą o powtórzenie naszego wezwania.

St. Piotrowski.



Z HORACEGO.

Rozmowa z Lidyą.

3. IX. *Donec gratus eram tibi...*

— Dopóki byłem ci miły
I obce ramiona młode
W objęciach cię nie tuliły,
W sercu-m miał rajską pogodę.

— Pókiś nie gorzał ku innéj,
Po Chloi drugą nie byłam,
W pieśni się twojéj dziękczynnéj
Bardziéj od Troi sławiłam.

— Teraz ma władzę nademną
Chloe, Trakijka namiętna,
Za którą w otchłań by ciemną
Ma dusza skoczyła chętna.

— Mnie nęci niemém obliczem
Kalais, syn Turyńczyka,
Za niego śmierć jest mi niczém,
By on żył — chęć mnie przenika.

— Cóż, gdyby miłość wróciła,
Łącząc nas jarzmem ze złota?
Chloe mi będzie niemiła...
Przed Lidyą otwarte wrota.

— Choć słowa jego łaskawsze,
A oczy, jak gwiazdy w niebie,
Lecz ciebie wolę: chcę zawsze
Żyć z tobą i słuchać ciebie.

Przełożył *Edward Maliszewski.*

Życie i filozofia Hobbes'a.

(Hobbes Leben und Lehre von Ferdinand Tönnies. Stuttgart, 1896).

I.

Tomasz Hobbes urodził się 5 kwietnia 1588 r. z ojca, wikaryusza wiejskiego, człowieka niezwykle popędliwego, a wykształconego o tyle, o ile potrzeba było do odczytywania modlitw i homilii, oraz matki włościanki, o któréj nic nie wiemy nad to, że pod wpływem zatrważających wieści o zbliżeniu się potężnéj floty hiszpańskiéj „Armady" do brzegów Anglii przedwcześnie syna powiła. Wcześnie przez ojca osierocony, Tomasz chował się u stryja, burmistrza w sąsiedniém Malmesbury, zamożnego rękawicznika, który, będąc bezdzietnym, dbał bardzo o wychowanie synowca. Jakoż czteroletni chłopiec umiał już czytać, pisać, rachować; w 6-ym roku zaczął naukę łaciny i greckiego, zrazu w szkółce parafialnéj, następnie w prywatnéj, mając zaś lat 14 złożył nauczycielowi wierszowany przekład łaciński „*Medei*" Eurypidesa czém dowiódł dostatecznych kwalifikacyi do słuchania wykładów uniwersyteckich. Przez pięć lat studyował gorliwie w Oksfordzie logikę i fizykę w dawnym duchu, o czém na starość żartobliwie wspominał, mawiając, jak ciężki wstęp do jego głowy miała nauka, którą późniéj z takim mozołem musiał z niéj wygnać. W 1607 r. chwalebnie złożył egzaminy i uzyskał stopień „*Baccalaureus artium*", dający prawo wykładu „każdéj księgi logiki". Już był zaczął wykłady na uniwersytecie,

gdy baron Cavendish z Hardwicke, niebawem hrabia Devonshire, powołał go na nauczyciela swego syna. Równi wiekiem młodzieńcy wkrótce się zaprzyjaźnili, a i ojciec snać uważał za zbawienny wpływ nauczyciela, skoro postanowił wyprawić ich w dłuższą bo trzyletnią podróż do Francyi i Włoch. W téj podróży Hobbes poznaje nową a wyższą kulturę oraz dwa języki, a co ważniejsza — dochodzi do przeświadczenia, że filozofia, którą niegdyś tak gorliwie studyował, cieszy się zagranicą jeszcze mniejszém uznaniem, aniżeli w jego ojczyznie, stając się już przedmiotem szyderstwa prawdziwych uczonych. Postanawia tedy pozbyć się całkiem téj rzekoméj mądrości, a natomiast zagłębiać się w dziełach autorów starożytnych, przedewszystkiém starożytnych historyków, na co, pełniąc po powrocie do domu nową funkcyę sekretarza hrabiego, ma dosyć czasu i sposobności. Następują lata cichego rozwoju i dojrzewania, w ciągu których nasz filozof przebywa często w towarzystwie wybitnych osobistości. Obcuje z nim chętnie Baco i zaprasza do siebie, korzystając z jego pomocy przy tłómaczeniu swych szkiców na język łaciński. Kanclerz zwykł był podczas przechadzek w parku miéć kogoś przy swym boku, ktoby jego myśli zapisywał, a mawiał podobno, że nikt nie ujmował tak szybko i trafnie ich istoty, jak właśnie Hobbes, gdy tymczasem tego, co inni zapisywali, często potém rozumiéć nie mógł, ponieważ sami tego nie rozumieli. Hobbes chętnie później wspominał o swéj znajomości z Baconem, cenił téż niektóre jego rozprawy, zwłaszcza szkic „o mądrości starożytnych", za filozofa atoli, sam filozofem zostawszy, nie uważał go wcale, lecz tylko za naturalistę; a chociaż historyę naturalną uznawał za niezbędny warunek nauki przyrodniczéj, nie przykładał wielkiéj wagi do sztucznych eksperymentów, oddając pierwszeństwo „pospolitym doświadczeniom codziennym"; mawiał téż, szydząc z baconistów, że gdyby eksperymenty istotnie tworzyły naukę o przyrodzie, aptekarze powinniby uchodzić za najlepszych fizyków. Niesłusznie więc historya, na badaniu ścisłém nie oparta, rozprawia o wpływie Bacona na filozofię Hobbes'a; wpływ ten należy rozumiéć tak, że pierwszy utorował w Anglii drogę pewnéj swobodzie ogólnego sposobu myślenia. Pewniejszy jest wpływ innego przyjaciela Hobbes'a, rycerskiego Edwarda Herberta, późniejszego barona Cherbury, który w dziele „*De veritate*" (1624) rozwinął śmiało myśli o religii naturalnéj. Na czas pobytu w domu hrabiego przypada staranny, pod wieloma względami genialny przekład Tucydydesa, do którego Hobbes załączył rozprawę o życiu i dziełach historyka greckiego, wykazujące już dojrzałe poglądy przyszłego filozofa moralnego i społecznego. Celem publikacyi (1629) było unaocznienie

współobywatelom niedorzeczności demokratów ateńskich czyli ostrzeganie przed mówcami.

W życiu filozofa zaszły tymczasem zmiany. Młody Devonshire, który w 1625 r. odziedziczył po ojcu tytuł hrabiowski, zmarł nagle w 3 lata później, a pozostała wdowa, pragnąc naprawić nadwyrężony stan finansów, uwolniła Hobbes'a ze służby. Ten lubo pobiérał wyznaczoną mu przez hrabiego roczną emeryturę w ilości 80 f. szt., przyjął miejsce mentora u niejakiego Cliftona, z którego synem ponownie udał się w podróż do Francyi. W czasie téj właśnie podróży, mając już lat 40, po raz pierwszy i niemal przypadkowo zaznajomił się z „Zasadami" Euklidesa, które natychmiast wzbudziły w nim wielkie zamiłowanie do geometryi i potężny wpływ wywarły na jego matematyczny sposób myślenia. Wszakże w roku 1631 na prośbę hrabiny, aby zajął się wychowaniem jéj najstarszego syna, wrócił do jéj domu. Tu całkowicie poświęcił się rozmyślaniom nad prawem i sprawiedliwością, które pragnął ugruntować na niezachwianych, bo matematyczno-przyrodniczych zasadach, w czém bliscy krewni domu Devonshire, dwaj bracia—hrabia Newcastle i baron Cavendish, żywy brali udział. Po trzech latach pobytu w domu, udał się z swym wychowańcem znowu do Francyi i Włoch. W Paryżu zawiązał bliski stosunek z uczonym minimitą Mersennem, znanym ze swego komentarza do Genezy, ale jeszcze więcéj ze studyów matematycznych i fizycznych, u którego zbiérali się Gassendi i Descartes oraz liczni uczeni zagraniczni, nader pilnie studyował „Dyalogi" Galileusza, ale, jak widać z jego korespondencyi, nie tyle go obchodziły zasady przyrodoznawstwa same w sobie, ile ich zastosowanie do „władz i wzruszeń duchowych", sądził bowiem, że będzie pierwszy traktował je umiejętnie; odtąd téż we dnie czy w nocy, w podróży czy w domu, nieustannie zajmowała go myśl, że istnieje w świecie jedna jedyna rzeczywistość: ruch w wewnętrznych częściach rzeczy. We Florencyi odwiedzał często Galileusza i łatwo zdobył przyjaźń jego, zwierzył mu się z swego pomysłu nadania nauce moralnéj pewności matematycznéj przez zastosowanie w niéj metody geometrycznéj i uzyskał pochwałę starego mistrza. Z powrotem wstąpił znowu do Paryża, wznowił stosunki ścisłe z Mersennem i wtajemniczył go w swe plany i myśli, ten zakomunikował je innym przyjaciołom, i odtąd — chwali się Hobbes — „został zaliczony w poczet filozofów". Ośm miesięcy trwał ostatni pobyt w Paryżu, poświęcony niezmordowanym studyom, między innemi, nad zagadnieniami optycznemi. Wróciwszy do kraju, opuścił stanowisko wychowawcy, pozostając wszakże i nadal wiernym przyjacielem i opiekunem swego ucznia, któremu w następstwie nie jedną wyświadczył przysługę. Odtąd przebywał

prawie stale w domu hrabiego Newcastle, swego wielbiciela i wiernego patrona. Już był nakréślił plan i począł opracowywać system filozofii złożony z trzech części: *De corpore* (o ciele), *De homine* (o człowieku), *De cive* (o obywatelu), gdy hrabia z pobudek politycznych nakłonił go do metodycznego opracowania i oddzielnego wydania swych poglądów moralno-politycznych. Nastały bowiem w Anglii czasy coraz niepewniejsze, wszyscy z natężeniem i niepokojem oczekiwali rozwiązania sporu między państwem a kościołem, królem a stanami. Stanowczych obrońców przywilejów królewskich, w rodzaju hrabiego Newcastle, który, jako guwerner księcia Walii, należał do otoczenia króla, było mało. Większość składała się z tak zw. połowicznych, t. j. zwolenników monarchii mieszanéj czyli konstytucyjnéj, którzy acz przychylniéj usposobieni względem monarchii, aniżeli względem rządu ludowego, jednak słyszéć nie chcieli o absolutnéj władzy króla i wciąż ją zmniejszali. W nich więc chciał hrabia ugodzić skutecznie przez ogłoszenie dzieła Hobbes'a „O podstawach prawa naturalnego i państwowego" (*The Elements of Law natural and political*). Hobbes pierwszy odważył się pisać w obronie króla i był jednym z bardzo niewielu, którzy bez widoków osobistych, jedynie z poczucia obowiązku i na mocy zasad prawa naturalnego zachowali lojalność. Dzieło wywołało burzę; autor by uniknąć losu swych wyznawców, ściganych i surowo przez parlament karanych, a nie mogąc liczyć więcéj na opiekę jedynéj oddanéj mu osoby, mianowicie hrabiego Newcastle, który świeżo złożył swój urząd dworski, opuścił kraj rodzinny i przeniósł się do Francyi, gdzie za mądrych rządów Richelieu'go kwitły nauka i sztuka.

Jedenaście lat (1640—1651) Hobbes spędził w ulubionym Paryżu, w kółku naukowém, którego duszą pozostał do śmierci (1648) Mersenne, „wierny przyjaciel, mąż uczony, mądry i niezmiernie dobry, którego cela lepsza była nad wszelkie izby szkolne" (słowa Hobbes'a). Już na początku dał się Mersenne'owi uwikłać w spór z Descartesem z powodu jego „Dyoptryki", należał do tych, którzy czytali jego „Rozmyślania" w rękopisie i zarzuty swe wypowiadali, za co go nawet dumny samotnik nie darzył szacunkiem; sam zaś, by czémkolwiek zadowolnić swych przyjaciół, niecierpliwie wyczekujących zapowiedzianego systemu, opracował i wydał po łacinie większą jego część p. t. *De cive* (Paryż, 1642). Dzieło to znalazło późniéj największe rozpowszechnienie i najbardziéj się przyczyniło do utrwalenia imienia Hobbes'a w literaturze wszechświatowéj. Już wkrótce po ukazaniu się, zaszła potrzeba drugiego wydania, a podjął go się pewien lekarz filozofujący, nazwiskiem Sorbière, ten sam który późniéj napisał do dzieł Gassende-

go wstęp biograficzny. Miarę podziwu powszechnego, do którego nawet Descartes, tak mało mający dla innych uznania, musiał się przyłączyć, dają poniższe odezwy Gassendego i Mersenne'a do Sorbière'a, obliczone wprawdzie dla wydawcy holenderskiego i wbrew ich woli wydrukowane, nie mniéj jednak szczere. „Nie znam — powiada pierwszy—pisarza głębiéj, niż on, sięgającego w swych badaniach, a w filozofowaniu wolniejszego od przesądów. Gdybyś téż mógł i inne rzeczy mu wydrzéć, które napisał". A mnich nie bez humoru pod koniec: „Słyszę, wielce uczony Sorbière, żeś zawiózł do Gravenhaage z sobą wyborne dzieło nieporównanego Hobbes'a „O obywatelu", t. j. nieoceniony skarb wzbogacony nowemi myślami, które usuwając pojedyncze trudności, mają równą utorować drogę. Bacz więc, aby ta księga złota wyszła w świat z pod ręki doskonałego drukarza, wyposażona godnie, jak gdyby drogiemi kamieniami przyozdobiona, a nie doświadczajże zbyt długo naszéj za nią tęsknoty. Mógłbyś téż co sił nacierać na autora, iżby całego systemu filozoficznego, który głową tworzy a piórem wykończa, na nowo nie zamknął w tyle dla nas fatalnéj szafie, albowiem wypadnie nam odwołać się do władzy królewskiéj o zezwolenie na rozbicie téj szafy nieżyczliwéj". Czytelnik może ze zdumieniem się dowié, że, mimo pochwał dwu mężów uznanéj prawomyślności, dzieło Hobbes'a w r. 1654 znalazło się na indeksie *librorum prohibitorum*, a późniéj i wszystkie dzieła łacińskie, z których wszakże już 1644 Mersenne zdołał podać w swych pismach fizycznych urywki, dotyczące teoryi postrzegania i optyki: fakt wymownie świadczący o powierzchownéj a raczéj wymuszenie obłudnéj prawomyślności tych mężów, jak zresztą wielu innych, np. Descartes'a. Wydawnictwo *De cive* posuwało się nader wolno, Sorbière bowiem zbiérał dla nakładcy opinie rozmaitych uczonych. Obawiając się trudności w tym względzie, tak pisze Hobbes do Sorbière'a: „Przeszkodzić wydaniu tego rodzaju książki mogą przedewszystkiém ci, którzy panują na uniwersytetach, chwalą się bowiem, że w nauce którą wykładają z profesyi, nikt nic nie widział, czegoby wprzódy sami nie widzieli. Musisz więc postępować ostrożnie i zbiérać opinie tylko tam, gdzie masz pewność... Powtóre, strzeż się tych, którzy wiele rzeczy chwalą, by módz resztę ganić, gdyż postępują jak nauczyciele parafialni i sądzą, że powinienem zadowolnić się pochwałami prywatnie udzielanemi, zaś pochwał publicznych zazdroszczą. Po za tém, jeżeli o przygotowaniach do wydania mego dzieła (tego lub innego) wié lub nawet domyśla się pan Descartes, przekonany jestem, że temu przeszkodzi, proszę mi wierzyć, bo wiem to z pewnością".

Między pierwszém a drugiém wydaniem „*De Cive*" (1642—1647) zaszły w Anglii wypadki, które nie mało wpłynęły na dalszy bieg życia filozofa. Sprawa króla wzięła obrót jaknajniepomyślniejszy. W bitwach pod Marstonmoor (1644) i Naseby (1645) wojska królewskie uległy zupełnemu zniszczeniu. Cromwell zwyciężył, a przywódcy rojalistów zbiegli za granicę. Hrabia Newcastle, pobity wraz z księciem Ruprechtem, przybył po sześciomiesięcznym pobycie w Hamburgu do Paryża, dokąd roku następnego (1646) podążył i książę Walii, późniejszy król Karol II. Hobbes, głośny już wówczas filozof, właśnie zamierzał w ciszy wiejskiéj prowadzić daléj swoje prace, gdy, widocznie z polecenia Newcastle'a, chcącego zatrzymać uczonego przyjaciela w Paryżu, otrzymał zaproszenie do udzielania księciu Walii lekcyi matematyki. Lubo ze szkodą dla swéj pracy naukowéj, nie uchylił się od przyjęcia zaszczytnych obowiązków, które już to z powodu jego ciężkiéj choroby, już to z powodu wyjazdu księcia do Holandyi, nie trwały długo. Ale — rzecz dziwna — on, który kiedyś z takim zapałem i narażeniem życia własnego wystąpił w obronie króla i jego praw, począł jednocześnie oswajać się z myślą o rządzie republikańskim w ojczyźnie i całkiem poważnie zastanawiać się nad możnością powrotu do Anglii. Że stosunki z dworem, gdzie ton nadawało duchowieństwo, a na autora „*De Cive*" patrzono z niedowierzaniem, a może i bliższa znajomość z lekkomyślnym i mało obiecującym księciem po części wpłynęły na powstanie tak radykalnego zwrotu w jego zapatrywaniach, zaprzeczyć się nie da. Ale właściwych przyczyn należy — zdaniem Tönniesa — szukać głębiéj. W sposobie myślenia Hobbes'a — powiada on — oddawna już tkwił pierwiastek demokratyczny pomimo ostrych wycieczek przeciw mówcom i nowatorom, pod względem niejasnego i fałszywego pojmowania państwa i prawa zresztą nie gorszym od zwolenników króla i episkopatu. Już w przedmowie do „*De Cive*", napisanéj w roku 1646, czytamy ostrzeżenie przed mniemaniem, jakoby według jego teoryi należało okazywać państwu arystokratycznemu lub demokratycznemu mniejsze posłuszeństwo, aniżeli monarchicznemu; wprawdzie w rozdziale X starał się kilkoma argumentami poprzéć monarchię, jako formę rządu wygodniejszą, ale zarazem przyznaje, że ten jeden punkt w książce nie został dowiedziony, lecz raczéj jako prawdopodobny podany, oraz kilkakrotnie i wyraźnie zaznacza, że każdemu państwu powinna być nadana władza najwyższa i jednakowa. Nadto, Niderlandy z ich handlem bogatym, rozkwitem sztuk i nauk, swobodą religijną ściągały na się wzrok wszystkich ludzi myślących, rzeczpospolita zdawała się usuwać wszelkie przeszkody w rozwoju, a porównanie z kra-

jami monarchicznemi, szarpanemi przez wojny religijne, musiało wypaść w najwyższym stopniu dla nich niekorzystnie.

Owóż Anglia została rzeczpospolitą. Fakt ten mógł i powinien był Hobbes'a natchnąć myślą, że i jego ojczyzna zechce, na wzór Niderlandów, być przytułkiem dla myśli naukowéj. Uważał się za powołanego do współdziałania w tym kierunku. Jego nauka polityczna miała znaléść grunt naturalny w własnéj jego ojczyźnie. Nowe państwo miało usunąć wady organiczne dawnego, ukształtować się całkiem racyonalnie, być czysto świeckiém, obywatelskiém, wznieść się jako panowanie światła i nauki i zburzyć panowanie ciemnoty i przesądu. Myśli te i nadzieje tak dalece opanowały filozofa, że, zaniechawszy wykończenia swego systemu, zabrał się z niegasnącym zapałem do badań teologicznych i kościelno-historycznych, których wymagał plan nowego dzieła. Napisał „*Leviathana*"; napisał go dla swych ziomków, we własnym języku.

„*Leviathan*" przedstawia w pierwszéj części nową i rozszerzoną reprodukcyę „Zasad prawa" (*Elements of Law* i t. d.), w drugiéj — bezwzględną krytykę kościoła, kościelnéj nauki o państwie i prawie, kościelnéj polityki, jako opartych na fałszywym wykładzie Pisma, na demonologii i innych pozostałościach religii pogańskiéj, na bezzasadnéj filozofii i tradycyach bajecznych, na ciemięstwie rozumu oraz zmierzających do utrwalenia świeckiéj przewagi papiestwa i kleru. Krytyka dotyczy nie koniecznie kościoła rzymskiego, lecz i wszelkiego innego, o ile uczy, że królestwo Boże jest z tego świata, a więc rości pretensye do władzy doczesnéj, odrębnéj od władzy państwa. Postęp ludzki czyli możność poznania prawdziwego pożytku, niezaćmionego przez namiętności, zależy od karności i wychowania, które znowu są zadaniem państwa. Przedewszystkiém powinno państwo zrozumiéć własną swą korzyść—to znaczy zrozumiéć swą istotę, która polega na niepodzielném, nieograniczoném,ześrodkowaném zwierzchnictwie. Państwo i kościół tworzą w zasadzie jedność, a wyrazem jedności powinna być jedna niepodzielna wola. Aby się utrzymać na stanowisku kościoła, musi państwo owładnąć zakładami szkolnemi, „które dotychczas były źródłami mniemań przeciwnych pokojowi ludzkości" — uniwersytetami. Sekularyzacya uniwersytetów — oto program Hobbes'a, temat, do którego w „*Leviathanie*" i innych dziełach wielokrotnie powraca. „Skoro — powiada — z uniwersytetów, jako źródeł nauki politycznéj i moralnéj, kaznodzieje i klasa oświecona czerpią wodę taką, jaką znajdują, aby nią późniéj—z ambony czy w innych mowach—pokrapiać naród, należy wszelkich dokładać starań do utrzymywania jéj w czystości, chroniąc zarówno od jadu polityków pogańskich, jak i od czarów duchów zawodniczych." Z innych ustępów praktycznych zaznaczmy: potępie-

nie wichrzeń rojalistowskich, skierowanych przeciw istniejącemu rządowi republikańskiemu, oraz rozstrzygnięcie kwestyi, często w ówczesnych dziełach angielskich poruszanéj, a mianowicie: „kiedy poddany winien jest posłuszeństwo zdobywcy?"

Hobbes odpowiada: począwszy od chwili, gdy mając swobodę wyboru, wyraźnie czy za pomocą wystarczającego znaku oświadcza gotowość poddania się. Kto bowiem korzysta z opieki zdobywcy, tém samém wyraża mu swą uległość; znajdujący się zaś zagranicą — przez swój powrót. Jednocześnie atoli ostrzega zdobywców, aby nie stawiali żądań nieuzasadnionych, aby, zadawalniając się teraźniejszą i przyszłą uległością podbitych, nie żądali od nich pochwały dla czynów już popełnionych, „gdyż nie ma rzeczypospolitéj, któraby była w stanie swój początek usprawiedliwić wobec sumienia". Hobbes doskonale sobie zdaje sprawę z osobliwego położenia, w jakiém się postawił, jako teoretyk konsekwentny, i wie, że wszystko, co z jego nauki można było wysnuć na korzyść absolutnéj monarchii w Anglii, obecnie służyć musi na poparcie wszechwładzy zgromadzenia narodowego. Ale dla niego jedność władzy naczelnéj była zawsze donioślejsza od jéj formy, i dlatego patrzył z upodobaniem, jak rewolucya kładła kres dotychczasowéj niejasności władzy, podzielonéj między króla i stany.

W obozie królewskim rozległ się, po wyjściu „*Leviathana*", okrzyk oburzenia. Duchowieństwo i szlachta wyższa zawsze patrzały złém okiem na Hobbes'a, obecnie nazywały go ateistą, zdrajcą, wrogiem religii i króla; wzbroniono mu wstępu do dworu, a patron jego, markiz Ormond, zmuszony był oznajmić mu, że zostaje pod ciężkiém oskarżeniem o nielojalność i bluźnierstwo. Miarę powszechnego oburzenia dają nam poniższe ustępy z listów, pisanych przez jednego z najczynniejszych rojalistów, sir Edwarda Nicholas'a, do kolegi szkolnego Hobbes'a, sir Edwarda Hyde'a, późniejszego lorda Clarendona i autora słynnéj „Historyi rewolucyi": „Wszyscy ludzie uczciwi a zarazem czciciele monarchii cieszą się niezmiernie, że król wygnał nareszcie z swego dworu owego ojca ateistów, Hobbes'a, który, jak utrzymują, cały dwór królowéj i wielu członków z rodziny księcia York uczynił ateistami, a gdyby go dłużéj znoszono, czyniłby co można, aby i dwór króla zatruć swoją nauką." — „Słyszę, że lord Percy bardzo się przyczynił do wzbronienia Hobbes'owi wstępu do dworu. Ale dowiaduję się, że Wat Montagu i inni papiści — na hańbę wszystkich prawdziwych protestantów — byli najgłówniejszymi sprawcami wydalenia tego wielkiego ateisty." Trudno wiedzieć, czy — jak pisze Clarendon — władze francuskie rzeczywiście wydały rozkaz uwięzienia Hobbes'a; wszelako popadłszy w niełaskę i tém samém pozbawiony opieki, któréj jako stron-

nik „króla na wygnaniu" używał, a nie będąc jeszcze poddanym rzeczypospolitéj, czuł się z dwóch stron osobiście zagrożonym. Nie pozostało nic innego, jak wracać do Anglii, co téż uczynił. Tu mieszkał naprzemian bądź w Londynie, bądź na wsi u byłego wychowańca, hrabiego Devonshire, zażywając spokoju, a nawet ciesząc się poważaniem partyi rządzącéj, a prawdopodobnie i względami samego Cromwell'a. Trzymając się zdala od polityki czynnéj, nie mniéj od wichrzeń rojalistowskich, pomimo stosunków osobistych przeważnie z rojalistami, miał prawo, gdy w następstwie inny wiatr zawiał, w Apologii swéj reputacyi chwalić się, że nigdy nie szukał dobrodziejstw ani u Olivera, ani u żadnego z jego stronników, że nigdy nie żył poufale z jego powiernikami ani przed, ani po powrocie do kraju, i o niczyje nie ubiegał się względy. Jak niegdyś w domach wielkich panów, tak obecnie w City miał możność obcowania ze znakomitymi uczonymi. Rychło zawarł przyjaźń z Williamem Harvey'em, będącym u szczytu sławy, oraz z Johnem Selden'em, niemniéj sławnym prawnikiem i polihistorem, wraz z którymi należał do jednego koła, złożonego przeważnie z lekarzy, członków londyńskiego „College of Physicians". Harvey był lekarzem przybocznym dwóch królów oraz lorda Bacona, którego cenił za dowcip i styl, ale za wielkiego filozofa nie miał; mawiał o nim żartobliwie, że filozofuje, jak kanclerz państwa. Przeciwnie, filozofię Hobbes'a cenił wysoko, co zwyczajem ówczesnym zaświadczył, darząc przyjaciela w testamencie legatem (10 f. szt.).

W roku 1655 wyszła wreszcie na świat pierwsza część systematu filozoficznego p. t. „*De Corpore*", zawierająca logikę, pierwszą filozofię (*philosophia prima* = metafizyka) oraz filozofię przyrody, gdzie autor znowu uderzył na teologię. Ale wyzwanie było już całkiem zbyteczne, gdyż pisma jego, im bardziéj lżone przez profesorów i duchowieństwo, tém więcéj zyskiwały czytelników. Osobiście atoli nieustanne paszkwile i napaści wielce go drażniły i martwiły. Hobbes uwikłał się wówczas prawie jednocześnie w kilka sporów, z których pierwszy toczył się o reformę uniwersytetów. Cromwell zamierzał utworzyć w północnéj Anglii nowy uniwersytet. Hobbes uważał za pilniejsze przekształcenie i oswobodzenie starych. Pierwszy wystąpił niejaki William Dell, posługując się argumentami i charakterystycznemi wyrażeniami z „*Leviathana*" („wszystko dzieje się, jak za czasów papiestwa; wykłada się tę samą czczą filozofię, tę samą subtelno-scholastyczną teologię, pełną czczych słów i wiecznych sporów"); a gdy jeszcze Webster napisał „*Academiarum Examen*", astronom Seth Ward odpowiedział obroną p. t. „*Vindiciae Academiarum*", gdzie nie omieszkał uderzyć na Dell'a i Hobbes'a, którego oczywiście uważał za potężniejszego

poplecznika. Jeszcze trwał spór o uniwersytety, gdy wszczął się inny z profesorem oksfordzkim, Johnem Wallis'em, znanym matematykiem, o zasadnicze kwestye matematyki, spór nader nieprzyjemny, któremu dopiéro śmierć Hobbes'a kres położyła. Wallis, należący do partyi presbyteryańskiéj, i Ward zawarli sojusz: pierwszy uderzył w najsłabszą stronę filozofa, w geometryę („*Geometriae Hobbianae Elenchees*"), drugi — w podstawy jego filozofii („*In T. H. philosophiam Exercitatio epistolica*"); obie książki wyszły w początkach 1656 r.

Tegoż roku Hobbes wydał przekład angielski „*De Corpore*", gdzie przerobił kilka rozdziałów matematycznych, a w dodatku p. t. „Sześć lekcyi profesorom matematyki i t. d.", broniąc się ostro, jednocześnie napadł na stosowanie algebry do geometryi, w czém właśnie celował Wallis. W liście do Sorbière'a wyznaje, że przyjął wyzwanie Wallis'a jedynie ponieważ ten wystąpił przeciw niemu w imieniu całego duchowieństwa; a i Ward'a traktuje więcéj jako *vindex*'a uniwersytetów, mniéj jako krytyka. Hobbes usprawiedliwia się daléj z zarzutu, że (w „*Leviathanie*") zaleca swą naukę uniwersytetom oraz że istniejące uniwersytety nazywa „budami i warsztatami kleru", nie miał bowiem na myśli korporacyi uniwersyteckich, lecz tylko poszczególnych ludzi pragnących utrzymać powagę kościoła, jako władzy odmiennéj i niezależnéj od państwa. Wreszcie powołuje się na fakt, że geometrya z pewnością nie więcéj zawdzięcza uniwersytetom, aniżeli Gresham College (w Londynie, z którego późniéj powstała Royal Society), lub ludziom prywatnym w Londynie, Paryżu oraz innych miejscowościach, którzy nigdy nie wykładali ani nie nabyli téj nauki w uniwersytecie. Trzeci spór — z biskupem Bramhall'em o swobodę woli — powstał jeszcze za pobytu w Paryżu (1646) w czasie uczty u markiza Newcastle. Gdy markiz prosił obu przeciwników o piśmienne skréślenie swych dowodów, Hobbes zastrzegł sobie, że przeznacza swą rozprawkę wyłącznie dla niego. Tymczasem pojawiały się kopie, a pewien młody człowiek, nazwiskiem John Davies, był o tyle śmiały, że ogłosił drukiem rozprawkę z własną wysoce antiklerykalną przedmową (1654). Biskup odpowiedział obszerną repliką, która wywołała odparcie ze strony Hobbes'a, wreszcie ten zebrał wszystkie akta dotyczące sporu i wydał w roku 1657. W r. 1658-ym wyszła druga część systemu p. t. „*De Homine*", która nie dała powodu do polemiki. Na ten czas przypada również skréślenie ciekawéj „*Historia ecclesiastica*", która zawiera wszystkie zarzuty wymierzone przez niego przeciw klerowi, a wydana została po śmierci autora przez historyka Rymer'a.

Filozofowi sądzoném było przeżyć rzeczpospolitą i protektorat, które ze śmiercią potężnéj postaci Cromwella ostać się nie mogły;

25-go maja 1660 r. nastąpił wjazd Karola II-go do Londynu. Król odszukał w tłumie byłego nauczyciela geometryi, uprzejmie go przywitał, podał rękę do ucałowania i zapytał o zdrowie; w kilka dni późniéj zaprosił go do siebie i polecił znanemu malarzowi Samuelowi Cooperowi zdjąć jego portret, który na przekór zwolennikom kościoła zawiesił w gabinecie jako drogocenny klejnot; wreszcie obdarzył go emeryturą (100 f. szt.). Z czasem jednak powodzenie u dworu więcéj zaszkodziło jego dobremu imieniu, niż wszystkie dzieła. Zepsucie i wolnomyślicielstwo zawarły między sobą sojusz, w gruncie luźny i przypadkowy, ale zazwyczaj bardziéj dostrzegalny, aniżeli związek występku i bigoteryi, z czego partya kościelna nie omieszkała skorzystać i przypisywać całéj winy Hobbes'owi i jego teoryom. Jakoż zaczął doznawać przykrości jednéj za drugą. Pominięto go w liczbie członków nowozałożonego Towarzystwa królewskiego nauk, gdzie réj wodzili Wallis z przyjaciołmi; polemika przybrała charakter tak ostry i nawskroś osobisty (oskarżano go wprost o napisanie „*Leviathana*" w świadomym celu poparcia Cromwell'a), że zmusiła go do ostatecznego i energicznego obrachunku — w dziele p. t. „Rozmyślania nad sławą, lojalnością, moralnością i religią Tomasza Hobbes'a" — z przeciwnikiem, który przecież w swoim czasie odcyfrowywał depesze Karola I dla stronników parlamentu, a nawet chełpił się swym czynem. Prześladowanie dosięgło szczytu, gdy stronnictwo kościelne, dzierżące prym w izbie gmin, przeprowadziło wniosek zbadania „nadużyć prasowych", skutkiem czego „*Leviathan*" uległ surowéj cenzurze. Na szczęście, śledztwo to dzięki wpływowi lorda Arlingtona nie miało następstw poważniejszych, ale Hobbes nawet osobiście nie mógł wyjednać u króla pozwolenia druku. Popyt na „*Leviathana*" wzrósł tak dalece, że cena antykwarska z 8-iu szylingów podskoczyła do 30-tu. Musiano go wydać w Amsterdamie w przekładzie łacińskim wraz z wszystkiemi dziełami łacińskiemi (1668). Tu również w dwa lata późniéj ujrzał światło dzienne „Traktat teologiczno-polityczny" wyklętego żyda, „zawierający kilka rozpraw mających dowieść, że swoboda filozofowania nie tylko może być dozwolona bez szkody dla pobożności i pokoju publicznego, lecz oraz jedynie z niemi zniesiona." Czy Hobbes widział jeszcze lub słyszał o dziele Spinozy, nie wiadomo; byłby je uznał z pewnością, jeśli nie za dosłowną swoją naukę, to bądź co bądź za niewątpliwie własne przekonanie. — Najobszerniejszém dziełem, napisaném przez 80-letniego starca, którego wydrukować wszakże król znowu autorowi nie pozwolił, jest dyalogiczna, przepełniona refleksyami, historya dwudziestu lat rewolucyjnych p. t. „Behemoth, czyli długi parlament". Tytuł wskazuje wyraźnie na *pendant* do „*Leviathana*": państwo jest jednym potworem,

rewolucya — drugim. Mamy tu bodaj czy nie pierwszą próbę racyonalistycznego rozważania nowszych dziejów, spopularyzowanego w następstwie przez Votaire'a. Na stare lata wzbudziło się w Hobbes'ie na nowo zamiłowanie do poezyi. Mając lat 87, wydał jeszcze przekład całkowity Homera z wstępem o zaletach poezyi epicznéj.

Tak dosięgnął filozof 91 roku życia, nie pozbawionego na starość radości. Dom patrona otaczał go poważaniem i miłością; w Londynie, gdzie r. 1675 był po raz ostatni, odwiedzano go często, zwłaszcza składali mu hołdy cudzoziemcy, co go razu pewnego skłoniło do wyrzeczenia o sobie: „moja sława przeleciała przez granicę i żadną miarą nie daje się napowrót sprowadzić." Goście patrona często przychodzili do starego wychowawcy na pogawędkę, między innymi arcyksiążę toskański Kosmas III, który zabrał z sobą jego dzieła zbiorowe wraz z portretem, „aby je umieścić pośród najcenniejszych klejnotów biblioteki medycejskiéj." Zimą 1679 r. Hobbes, pomimo choroby, pojechał z rodziną hrabiego do zamku Hardwicke; lubo odbył podróż bez trudności, musiał jednak gotować się do śmierci. Na orzeczenie lekarza, że nie ma dlań ratunku, miał podobno odpowiedzieć: „tedy cieszy mnie, że znajdę wreszcie otwór, przez który wydostanę się ze świata". Rychło potém utracił władzę w prawéj stronie ciała oraz mowę. 4-go grudnia 1679 r. życie zakończył i pochowany został w pobliskiéj kaplicy obok babki patrona, który mu postawił marmurowy nagrobek z napisem, objaśniającym stosunek filozofa do rodziny Devonshire, oraz dodatkiem: „*Vir probus et fama eruditionis domi forisque bene cognitus.*"

Hobbes był wzrostu wysokiego, o smukłéj postaci i postawie prostéj; czoło miał wyniosłe, oczy okrągłe, ocienione gęstą brwią i niezmiernie żywe. Budowy był delikatnéj bardzo, a do 40 roku życia słabowity, późniéj nabył świéżych, rumianych policzków. Żył w celibacie, jak większość znakomitych filozofów; szczegół zaś, jakoby miał córkę naturalną, podany przez jednego z jego potwarców, jest zmyślony, albo wzięty z życia Descartes'a. Środki utrzymania miał skromne. Mająteczek swój, przynoszący 16—18 f. rocznego dochodu, podarował bratu. Sam, 1640 r. uciekając do Paryża, miał 500 f. szt. w gotowiźnie, wkrótce zwiększonéj o 200 funt. zapisanych mu testamentem przez przyjaciela i wielbiciela, Sidney Godolphin'a; oprócz tego 80 f. rocznéj emerytury z legatu najpierwszego patrona, lorda Devonshire, a po restauracyi—100 f. emerytury ze strony króla. Póki służył rodzinie Devonshire'ów, pobiérał rocznie 50 f. pensyi, późniéj zaś często małe datki, zwłaszcza — zwyczajem ówczesnym — za dedykacye; np. za dedykacyę „*De Corpore*" 40 f. szt. W testamencie cały swój majątek zapisał krewnym i przyjaciołom; hojnie téż obdarzył kamerdynera. Za

życia odznaczał się hojnością i współczuciem. Sam nigdy nie dbał o pieniądz, natomiast więcéj o wiedzę, uważając je za wręcz sobie przeciwne. „Nie może być łotrem — powiada — kto nie jest chciwym, a jeszcze nigdy chciwiec nie spełnił czynu szlachetnego.” Wielce znaczącém jest dla jego osobistości i sposobu myślenia, że prowadził życie względnie niezależne. Bez właściwego zatrudnienia, bez rodziny, niskiego stanu, ale dla swego rozumu i wykształcenia w najprzedniejszych kołach poważany, w ciągłych podróżach, szczególnie zagranicą, obcując z ludźmi wszelkich stanowisk społecznych, zwłaszcza zaś — oprócz szlachty — z lekarzami, prawnikami, mężami stanu, poetami, przedstawia on typ nowoczesnego literata w wyższém znaczeniu słowa, który piórem swém doszedł do potęgi, będącéj do XVI wieku udziałem tylko autorów teologicznych.

II.

„Filozofia — uczy Hobbes w „*De Corpore*” — jest poznawaniem za pomocą prawidłowego myślenia skutków czyli objawów z domyślnych przyczyn, i nawzajem — poznawaniem możliwych przyczyn z poznanych skutków.” Istnieją cztery kategorye rzeczy, dających się nazywać: ciała (t. j. materya), przymioty czyli własności (akcydencye), wyobrażenia i nazwy, ale z nich tylko pierwszéj przyznaje byt rzeczywisty, samoistny, niezależny od naszego czucia, i ją jedynie uznaje za przedmiot nauki i filozofii. A akcydencye czyli własności przedmiotów? A wyobrażenia? Jaki zachodzi stosunek między niemi a ciałami? Hobbes odpowiada: „Ciała są to rzeczy, które nie powstały, akcydencye powstały, ale nie są rzeczami”, ani czémś należącém do istoty rzeczy, lecz poprostu i jedynie sposobami pojmowania ciał. Po za obrębem czucia, nie masz w całym akcie postrzegania nic oprócz ruchu między organem zmysłowym a rzeczą, t. zw. jakości zmysłowe istnieją nie w rzeczy, tylko w nas, w podmiocie czującym, to zaś, co w samym przedmiocie zachodzi i od niego pochodzi, jest tylko ruchem, nie mającym z czuciami najmniejszego podobieństwa. W „Zasadach prawa” Hobbes zastanawia się szczegółowo nad podmiotowością naszych postrzeżeń; z dowodów przytoczonych najważniejsze są następujące: 1) odbiéramy wrażenia tam, gdzie z pewnością nie ma przedmiotu, a więc zarówno bez niego, jak w jego obecności; 2) nie wierzymy w obiektywną rzeczywistość odbijających się w zwierciadle obrazów, barw i t. d.; 3) uderzenie, pobudzające nerw wzrokowy, również daje wrażenie światła; 4) zarówno ciała świécące, jak ogień ziemski, mogą swój ruch przenosić na oko i nerw wzrokowy: nie ulega wątpliwości, że

w ten właśnie sposób działa słońce, mianowicie ściągając się i rozciągając wprowadza w ruch przyległą część środka *(medium)*, który to ruch udziela się oku, a stąd przechodzi do mózgu, oddziaływanie zaś mózgu (późniéj Hobbes przyjmował, że ruch z mózgu przechodzi do serca, które dopiéro odpowiada reakcyą) odczuwamy nie jako tarcie, „lecz wyobrażamy je sobie zewnątrz nas i nazywamy—światłem.” Tak samo ma się z dźwiękiem oraz innemi jakościami. „Jedynemi rzeczami, rzeczywiście zewnątrz nas w świecie istniejącemi, są owe właśnie ruchy, które powodują powyższe zjawiska.”

Co się tyczy wyobrażeń, są one wprawdzie najpierwszemi podstawami wiedzy i o istnieniu ich wiemy bezpośrednio, wszelako pytania: dlaczego istnieją i skąd biorą początek? wymagają uprzedniego myślenia, a myślenie polega na analizie i syntezie. Przestrzeń jest wyobrażeniem, mianowicie: poprostu wyobrażeniem czegoś zewnątrz niego bytującego; czas jest wyobrażeniem, mianowicie wyobrażeniem ruchu, o ile rozróżniamy w nim pierwiastki „przed” i „po”. Ale żeby przypuszczać istnienie czegoś po za obrębem naszych wyobrażeń, prócz ciała i ruchu, na to nie ma najmniejszego powodu i najmniejszéj podstawy.

Celem, do którego dąży Hobbes, zarówno jak Galileusz i Descartes, jak zresztą całe przyrodoznawstwo nowoczesne, do którego rozwoju tak potężnie się przyczynili, jest: zjednoczenie wszystkich zjawisk nie mających charakteru psychicznego, porównywanie ich oraz sprowadzenie do jednego niejako mianownika, do podścieliska powszechnego doświadczenia, t. j. do materyi ruchoméj; co, naturalnie, wyklucza przyjmowanie oddzielnych przymiotów materyi, jako sprzecznych z tém dążeniem.

Atoli jądro „filozofii pierwszéj” Hobbes'a — w przeciwieństwie do dualizmu Descartes'a — tkwi w zdaniu: nie ma duchów. Oto dowody. Po pierwsze: Duchy nie dają się pomyśléć wcale, a „wyraz „duch” służy jedynie do oznaczenia urojonych mieszkańców mózgu”. Stoją one w jednym rzędzie z światłem, barwą, dźwiękiem; „ponieważ ukazują nam się tak we śnie jak na jawie, nie mogą być rzeczami zewnątrz nas, lecz jedynie wyobrażeniami duszy, przez nią wytworzonemi.” Przypuśćmy zresztą, że mają byt zewnętrzny, muszą zatém gdziekolwiek istniéć czyli zajmować miejsce w przestrzeni; a co zajmuje miejsce w przestrzeni nazywamy ciałem. Duchy więc albo całkiem nie istnieją, albo są ciałami. Powtóre: Nigdzie w naszém doświadczeniu nie napotykamy duchów. Aniołowie, tak wybitną odgrywający rolę w staréj ontologii, należą do wiary, nie do filozofii. A co się tyczy duchów najbardziéj znanych, mianowicie widm, lud przecież przedstawia je sobie cieleśnie, jako delikatne istoty powietrzne. Zjawiska same przez się

wątpliwości nie ulegają, lecz tłómaczenie ich jest fałszywe, ponieważ ludzie nie rozumują prawidłowo i nie wiedzą, że mają do czynienia z wytworami fantazyi. Jedno, co może uchodzić za pewne, to istnienie duszy ludzkiéj, a może być i zwierzęcéj, wszakże z doniosłém zastrzeżeniem, że dusza oznacza tylko podmiot logiczny wrażeń i wyobrażeń, nie substancyę samoistną, tém mniéj substancyę niemateryalną.

Hobbes tedy jest materyalistą, ale — dodaje Tönnies — tak jak cały świat nim jest lub coraz bardziéj się staje. Dąży on do wykorzenienia przesądu właściwego wszystkim ludom i, niestety, głęboko tkwiącego w tłómaczeniu natury, że dusza rozłącza się z ciałem, jeśli nie we śnie, omdleniu lub ekstazie, to przynajmniéj w śmierci, oraz posiada zdolność objawiania się w postaci powietrznéj śniącym i duchowidzom. Jest niewyczerpany w wykazywaniu subiektywności wszystkich tego rodzaju zjawisk, które — mniejsza o to, czy je wraz z ludem uważamy za materyalne, czy wraz z filozofami za niemateryalne — nazywa „w gruncie pomieszaniem albo chorobliwym stanem mózgu”.

Nie mielibyśmy dokładnego pojęcia o „filozofii pierwszéj” czyli metafizyce Hobbes'a, gdybyśmy pominęli jego poglądy na przyczynowość. Wychodzi on z przeciwieństwa czynności i bierności, czynnego i biernego ciała. Przyczyna każdego procesu mieści się w obu, jest sumą wszystkich ich własności, tak iż niepodobna wyobrazić sobie nienastąpienia procesu, jako skutku, w ich obecności, jak również nastąpienia skutku w braku jednéj z rzeczonych własności. Obie części zupełnéj i wystarczającéj przyczyny nazywają się: przyczyną działającą w ciele czynném i materyalną — w ciele biernném. Z chwilą, gdy dana jest przyczyna zupełna, musi nieuchronnie nastąpić skutek, w przeciwnym razie brak jakiéjś okoliczności bądź w przyczynie działającéj, bądź w materyalnéj. Ponieważ więc przyczyna zupełna jest zarazem konieczną, wypływa stąd, że każdy proces miniony miał przyczynę konieczną i że wszystkie procesy, które w przyszłości nastąpią, będą miały przyczynę konieczną; wypływa daléj, że wywoływanie skutków polega na ciągłéj progresyi, co znaczy: w miarę ciągłych zmian zachodzących w ciele czynném pod wpływem innych ciał, zmienia się również ciało bierne pod wpływem czynnego; np. w miarę zwiększenia się gorącości ognia, wzrasta jednocześnie jego działanie, t. j. ciepło ciał najbliżéj znajdujących się, potém dalszych i t. d. Daléj, przyczyna i możliwość, skutek i rzeczywistość są jedną i tą samą rzeczą, z rozmaitych stron rozważaną. Co w stosunku do przeszłości przyczyną, nazywa się w stosunku do przyszłości możliwością, stąd możliwość czynna i bierna; co względem przyczyny nazywa się skutkiem, względem możliwości

nazywa się rzeczywistością. W chwili zupełnéj możliwości istnieje również rzeczywistość. Niemożliwém jest to, co nigdy nie będzie miało za sobą zupełnéj możliwości. Wszystko, co nie jest niemożliwém, jest możliwe. Każde zatém zdarzenie możliwe kiedyś się urzeczywistni, niepodobna bowiem, ażeby się nie urzeczywistniło. Co zaś nie może być, ani stać się niemożliwém, nazywamy koniecznem. A zatém, co jest możliwe, będzie kiedyś konieczne. Wszystko się dzieje z przyczyn koniecznych. Przypadkowém nazywamy to, czego koniecznéj przyczyny nie znamy. Wszelkie zdanie, dotyczące przyszłości, np. „jutro będzie dészcz", jest z konieczności prawdziwe, albo z konieczności fałszywe. Możliwość nie jest przymiotem rzeczywistości, od niéj różnym, ale samą rzeczywistością, w szczególności ruchem, a nazywa się możliwością dlatego tylko, że inna rzeczywistość ma się do niéj, jak skutek do przyczyny.

Poznaliśmy wyżéj teoryę poznania Hobbes'a i widzieliśmy, jak ściśle wiąże się z jego metafizyką. W czwartym rozdziale „*De Corpore*" znowu do niéj powraca i stawia — na czele fizyki, mając przytém na uwadze nie postrzeganie specyalnie ludzkie, lecz wogóle zwierzęce, w czém znowu uwydatnia się różnica między nim a Descartes'em, który — jak wiadomo — uważał zwierzęta za automaty. Rozpoczynanie fizyki od postrzegania może się nam wydać dziwném i niezrozumiałém, ale Hobbes sądzi, że przyczyna wszelkich jakości zmysłowych, a zarazem zjawisko ze wszystkich innych najbardziéj zadziwiające i najpierwotniejsze, powinno zająć naczelne w nauce o przyrodzie stanowisko. Postrzeganie jest zmianą ciała postrzegającego, a wszelka zmiana — ruchem w wewnętrznych jego częściach, zwanych organami czucia. Pobudzenie ich musi pochodzić z zewnątrz, ciśnienie bezpośrednie od ciśnienia bardziéj odległego i t. d., aż dotrzemy do tego, co nazywamy rzeczą. Pobudzenie wywołuje w narządzie ruch wsteczny, który, idąc z wewnątrz na zewnątrz, trwa przez pewien czas i daje obraz zewnętrzny. Sądzenie i pamięć są istotnemi składnikami aktu postrzegania, gdyż bez nich porównywanie i odróżnianie byłoby niemożliwe, tych zaś zasadniczym warunkiem jest różnorodność pobudzeń. „Gdyby — powiada — człowiek obdarzony doskonałemi narządami wzroku, ale pozbawiony innych narządów zmysłowych, patrzał ciągle na ten sam przedmiot, nie zmieniający ani barwy swéj, ani postaci, powiedziałbym, że również mało widzi, jak ja przy pomocy moich organów dotyku odczuwam kości własnych ramion; odczuwać ciągle jedno i to samo tyleż znaczy, co nic nie odczuwać." W jedności ciała organizowanego upatruje on podmiot wszystkich czuć, dla których przyjmuje jeden organ wspólny i umiejscawia go, zgodnie z dawną fizyologią,

w połączeniach korzeni nerwowych z sercem. Uwagę tłómaczy rozmaitém natężeniem czynności zmysłowéj oraz brakiem dyspozycyi pobudzonych narządów do innych wrażeń. Tylko pobudzenie najsilniejsze zostaje postrzeżone i usuwa na drugi plan wszystkie inne, „podobnie jak światło słoneczne zaćmiewa nadmiernym blaskiem gwiazdy, nie znosząc bynajmniéj ich działania."

Przedmiot właściwéj fizyki stanowią: wszechświat i gwiazdy; światło, ciepło i barwy; zimno, wiatr, twardość, lód, błyskawica i grzmot i t. d.; wreszcie dźwięk i przedmioty innych zmysłów, w końcu zaś ciężkość. O wszechświecie, jako o całości, „mało co się da pytać, jeszcze mniéj odpowiedzióć". Ani człowiek, ani żadna inna istota, chyba sama byłaby nieskończoną, nie jest w stanie wytworzyć pojęcia o nieskończoności; choćbyśmy przez najprawidłowsze myślenie przechodzili od pewnego skutku do przyczyny najbliższéj, od niéj do dalszéj i t. d., przecież do wieczności dotrzéć nie zdołamy i musimy wreszcie zaprzestać badania. I jakkolwiek niemożliwość ruchu bez przyczyny zewnętrznéj każe dość słusznie domyślać się jakiéjś pierwszéj przyczyny poruszającéj, byłoby jednak błędem wnosić stąd o istnieniu czegoś odwiecznie spoczywającego, lecz owszem raczéj o istnieniu czegoś odwiecznie poruszającego się, albowiem w ruch wprowadzić może tylko to, co samo ruch posiada. — Wbrew Epikurowi, który uważał próżnię za niezbędny warunek ruchu, Hobbes utrzymuje, że pojęcie ruchu wymaga wprawdzie przedziałów, ale nie próżnych, wystarcza, aby je wypełniała materya płynna. Prócz ciał stałych i widzialnych, istnieją jeszcze niezmiernie małe atomy, rozproszone w przedziałach ziemi i gwiazd, oraz wszechpłynny eter tak szczelnie wypełniający resztę przestrzeni, że nie pozostawia żadnego miejsca próżnego.—Co się tyczy teoryi specyalnie astronomicznych, Hobbes niemniéj gorliwie od samego Newtona pracował nad wyjaśnieniem układu heliocentrycznego z prostych i zrozumiałych zasad fizykalnych; zastanawiał się nad przyczyną mimośrodu ekliptyki, którą widział w różnicy części ziemi; odrzucał magnetyczną naturę przyciągania, które uważał za przyczynę dróg planetarnych, leżącą w słońcu, również tłómaczenie przyciągania i odpychania za pomocą niemateryalnych *species*. Światło wyprowadzał z ciśnienia, wywieranego przez obrót słońca na otaczającą substancyę eteryczną i dochodzącego w jednéj chwili do oka i serca; ciepło téż uważał za ruch eteru, przyczém ściśle rozróżniał ciepło, jako przyczynę i fakt obiektywny, od uczucia ciepłoty. Barwę uważał za światło nieczyste. Miał dokładne pojęcie o rozchodzeniu się dźwięku w rozmaitych środowiskach, i rozmaite wysokości dźwięków objaśniał prędszém lub powolniejszém

drganiem cząstek dźwięczącego ciała. Przyczynę ciężkości widział w przyciąganiu ziemi w kierunku dośrodkowym.

Do badań psychologicznych Hobbes'a, względnie najmniéj zabarwionych teoryą poznania i metafizyką, należy przedewszystkiém teorya marzeń sennych. Jak postrzeganie powstaje przez pobudzenie z zewnątrz, tak sen przez pobudzenie z wewnątrz. Pobudzenia organów zmysłowych przechodzą ostatecznie do serca, gdzie przyśpieszając lub hamując obieg krwi, wywołują uczucie przyjemne lub przykre; w sercu pobudzenia trwają i podczas snu, i jak na jawie obrazy mózgowe wywołują przyjemność i przykrość, tak znowu przyjemność i przykrość lub odpowiadające im uczucia ciepła i zimna wywołują w śpiącym mózgu obrazy: ruch w mózgu i ruch w sercu wzajemnie na siebie oddziaływają. „W stanie czuwania ruch zaczyna się na jednym końcu, we śnie — na drugim." Sny odznaczają się następującemi własnościami: 1) brakiem ładu i związku, co pochodzi z braku zastanowienia we śnie; 2) treść snów składa się z wyobrażeń minionych czuć zmysłowych, albowiem wraz z ustaniem czucia ustaje wszelki nowy ruch ze strony przedmiotów, a więc wszelkie nowe obrazy, chyba gdybyśmy chcieli nazywać nowym jakiś obraz złożony, np. chimerę, złotą górę; 3) obrazy senne odznaczają się większą jasnością niż wyobrażenia na jawie, z wyjątkiem postrzeżeń, którym jednak swą jasnością dorównywają, raz że, w braku wszelkich wrażeń zewnętrznych, ruch wewnętrzny otrzymuje przewagę, powtóre ponieważ części rozmaitych obrazów fantazyjnych wzmacniają się nawzajem; 4) nie dziwi nas we śnie ani wygląd rzeczy, ani miejsce, gdzie nam się ukazują, gdyż zdziwienie oparte jest na nowości i niezwykłości rzeczy i wymaga przypominania zjawisk wcześniejszych, we śnie zaś wszystko objawia się jako teraźniejszość. Zdarza się często, że ludzie nie uznają charakteru właściwego snów, przyjmują je za rzeczywistość i nazywają „wizyami", co zresztą również zachodzi i na jawie u ludzi bojaźliwych i przesądnych. Tu Hobbes — pierwszy z wszystkich myślicieli — upatruje źródło wiary w duchy i widma, do któréj jeżeli dodamy nieznajomość przyczyn działających, uległość względem wszystkiego, co w strach nas wprawia, oraz skłonność do przyjmowania rzeczy przypadkowych za oznaki przyszłości, będziemy mieli — według niego — przyrodzone zarodki wszelkiéj religii. Pogląd ten zajmuje w sposobie myślenia naszego filozofa górujące stanowisko, tłómaczy nam jego walkę eksterminacyjną z iluzyami ludzkiemi i tworzy ogniwo, łączące teoryę poznania z ostatecznemi zasadami jego filozofii dziejów i życia społecznego.

Godném jest uwagi, że już Hobbes sformułował w najogólniejszych wyrazach prawo kojarzenia wyobrażeń. „Ruchy — powiada —

kolejno po sobie następujące w wrażeniu, zachowują swój związek również po ustaniu wrażenia, jako pozostałości; stąd gdy ruch wcześniejszy znowu się powtarza i dochodzi do pewnego natężenia, pociąga za sobą, dzięki związkowi materyi ruchoméj, i ruch następny, podobnie jak woda ciągnie się po równym stole niezależnie od kierunku, jaki nadajemy palcem którejkolwiek jéj części." Bieg myśli może być albo dziki i bezładny, albo regulowany przez życzenie i cel. Na myśleniu uregulowaném polega wszelkie poszukiwanie, w szczególności: przypomnienie, cofające się w przestrzeni i czasie poczynając od pewnego punktu, przewidywanie przyszłości na podstawie doświadczenia, również domysł na podstawie znaków. W związku z znakami stoi teorya wyrazów czyli języka. Język jest wynalazkiem wyższym i pożyteczniejszym od pisma, które znowu pod względem znaczenia przewyższa druk. Podobieństwo mowy u zwierząt jest naturalnym wyrazem ich uczuć, mowa ludzka składa się z dowolnie ustalonych znaków głosowych. „Nie znaczy to, że ludzie pewnego poranku zeszli się na naradę dla uchwalenia znaczenia wyrazów, należy jednak przypuścić, że z początku istniały tylko nieliczne nazwy najbardziéj znanych rzeczy, te od rodziców przeszły do potomstwa, które je znowu przekazało swojemu potomstwu, a zarazem tworzyło nowe wyrazy." Dziecinném zaś jest mniemanie niektórych, jakoby rzeczy otrzymywały nazwy stosownie do swojéj natury; bo skądby się wzięły rozmaite języki i co dźwięk może mieć wspólnego z rzeczą? Hobbes jest, jak widzimy, krańcowym nominalistą. Że rzeczy są z natury pojedyńcze, a *universalia*, t. j. pojęcia, mają byt tylko w naszym umyśle, to się samo przez się rozumié; ale nazwy, czy się stosują do rzeczy pojedyńczych, czy do pojęć, są tylko umówionemi znakami, ich wartość tkwi nie w nich samych, lecz w umowie czyli w świadomém porozumieniu. Nazwy łączymy w zdania; zdanie jest prawdziwe, jeżeli obie nazwy rzeczywiście stosują się do téj saméj rzeczy, ale czy się stosują, to zależy od woli człowieka, przedewszystkiém od woli mówiącego; gdy zaś wiele osób używa tych samych nazw, czyli tego samego języka, muszą się porozumieć co do użycia wyrazów. Aby wiedzieć coś, niedość jest znać zdanie prawdziwe, lecz jeszcze treść jego mieć w myśli, to znaczy: przypominać sobie znaczenie wyrazów, odnosić je do przedmiotu i do wrażenia, które się od niego otrzymało, inaczéj znak będzie bezmyślny. Wiedza więc naukowa, która się rzeczonemi cechami odznacza, polega ostatecznie na doświadczeniu i przypominaniu na równi z wiedzą faktów, właściwą również zwierzętom. Człowiek tak samo jak zwierzę staje się mądrym przez doświadczenie, ale z pomocą przychodzi mu system wyrazów czyli język, który utrwala wspomnienia.

Jak filozofii pierwszéj Hobbes'a jądrem było zdanie o niebytności duchów, tak w nauce o człowieku, czyli psychologii, środkowy punkt stanowi zaprzeczenie wolności woli. On pierwszy w całéj epoce bronił energicznie téj tezy i bez domieszek teologicznych. Późniejsi determiniści, z Spinozą i Leibnizem na czele, nie wiele dodali do jego argumentów. O Leibnizu wiemy z pewnością, że znał pisma Hobbes'a, dotyczące woli, i ulegał ich wpływowi; Spinoza prawdopodobnie znał tylko pobieżny rozbiór zagadnienia w „*De Cive*" i „*Leviathanie*". Spór o wolną wolę powstał z napaści biskupa Bramballa, która wywołała obronę Hobbes'a, poczém nastąpiły replika i duplika, co wszystko razem Hobbes wydał p. t. „Kwestye dotyczące swobody, konieczności i przypadku". Zgodnie z swoją ogólną teoryą przyczynowości, wypowiada on, jako wielki paradoks, twierdzenie, że bodaj czy się da pomyśléć jakikolwiek proces, a zatém i jakikolwiek proces ludzki, w którego wytworzeniu nie współdziałałoby wszystko co istnieje w naturze rzeczy. Biskup nie zrozumiał twierdzenia i — jak utrzymuje Hobbes— „wyraża się o paradoksach często z takiém szyderstwem i odrazą, że zwyczajny czytelnik musi je uważać albo za zbrodnię stanu, albo za jakie inne straszne przestępstwo, jeśli nie za błazeństwo; gdy tymczasem czytelnik światły wié, co owo słowo oznacza, mianowicie: mniemanie jeszcze powszechnie nie przyjęte. I religia chrześciańska była kiedyś paradoksem, i wiele przekonań samego biskupa należało kiedyś do paradoksów; jeśli więc ktokolwiek nazywa pewien pogląd paradoksalnym, nie powiada tém, że jest on nieprawdziwy, lecz składa dowód własnéj niewiadomości, gdyby bowiem zrozumiał pogląd, wnetby go nazwał prawdziwym albo fałszywym. Biskup nie spostrzega, że jeżeliśmy wyszli z stanu niewiadomości barbarzyńskiéj, który cechuje ludy nieposiadające praw ani państwa, a zatém nauk i cywilizacyi, — zawdzięczamy to jedynie paradoksom." Przytoczenie całéj polemiki obszernéj uważamy za zbyteczne, zwłaszcza że argumentacya biskupa jest w gruncie błaha i czytelnikom pewnie skądinąd znana, bo stanowi dotychczas główną broń przeciwników determinizmu. Zaczyna np. od osławionego *argumentum a baculo* zarazem anegdoty, jako filozof Zeno pewnego razu bił swego niewolnika za kradzież, a gdy ten na swe usprawiedliwienie odwołał się do konieczności, która uczyniła zeń złodzieja, bił go jeszcze mocniéj, mówiąc, iż ta sama konieczność zmusza go do bicia. Bramhall dodaje: tak powinien być ćwiczony każdy kto zaprzecza wolności, aż przyzna, że i dręczyciel jego może zaprzestać, gdy zechce. Albo posługuje się dobrze znanym argumentem, jako determinizm niweczy wszelki porządek społeczny i polityczny. Najlepiéj będzie streścić poglądy Hobbes'a własnemi jego słowy: „Nikt w danéj

chwili nie jest panem swéj przyszłéj woli. Może ona uledz zmianie pod wpływem innéj jakiéj woli, lub pod wpływem zmian w rzeczach zewnętrznych. Zastanowienie cechuje zarówno ludzi, jak zwierzęta, gdyż polega na kolejno zmieniającém się chceniu, zaś nie na myśleniu; a ostatni akt procesu, czyli ostatnie chcenie, bezpośrednio za sobą pociągające czyn, jest jedyną wolą dostępną dla innych i w ogólném mniemaniu nadającą właśnie wolność czynowi. „Być wolnym" znaczy nie więcéj, jak czynić i zaniechać, kiedy się chce; idzie przeto o wolność człowieka, nie o wolność woli. Wola nie jest wolna, lecz podlega zmianom pod wpływem przyczyn zewnętrznych. Zaś wszystkie przyczyny zewnętrzne z konieczności zależą od pierwszéj przyczyny zewnętrznéj, od Wszechmocnego, który za pośrednictwem łańcucha przyczynowego kieruje naszém chceniem i postępowaniem. A ponieważ ani człowiek, ani żadna inna rzecz nie może sama na się oddziaływać, więc niepodobna, aby człowiek mógł współdziałać z Bogiem w ukształtowaniu swéj woli. Nie ma przyczyn przypadkowych; wszystko co się dzieje, dzieje się na mocy określonéj przyczyny lub współdziałających przyczyn, wystarczających do urzeczywistnienia faktu; wszelka taka przyczyna i jéj współdziałanie wypływają z Opatrzności, z chcenia i działania Boga. Wprawdzie wraz z innymi nazywam wiele zdarzeń przypadkowemi, powiadam jednak, że każde zdarzenie miało swoje przyczyny dostateczne, te zaś znowu inne: wszystko się dzieje z konieczności. I jakkolwiek nie znamy istoty zdarzeń przypadkowych, to przecież i zdarzenia najbardziéj przypadkowe mają swe przyczyny niezbędne narówni ze zdarzeniami, których przyczyny są nam wiadome, inaczéj bowiem niepodobna byłoby przewidywać ich, jak je Wszechmocny przewiduje."

Naukę o afektach Hobbes opiéra na dwóch pojęciach, zarazem psychologicznych i socyologicznych: na potędze i czci. Najogólniejsze wzruszenia są: przyjemność, miłość, pożądanie — jako dodatnie, i przykrość, odraza, strach — jako ujemne; poszczególne wzruszenia wypływają z poszczególnych wyobrażeń i myśli. Kto spodziéwa się radości, musi w sobie czuć siłę do jéj osiągnięcia; siła zaś jest to poprostu wyższość siły jednego człowieka w porównaniu z siłą drugiego, a uznanie dla siły przemagającéj znaczy tyle co cześć. „Istota poszczególnych namiętności polega na odczuwaniu przyjemności lub przykrości związanéj z oznakami czci lub bezczci." Człowiek w posiadaniu wolności naturalnéj wydaje mu się najdzikszém z dzikich zwierząt; kieruje nim nietylko głód obecny, lecz oraz i głód przyszły. Dąży on do nieograniczonéj władzy; przyjemność sprawia mu to, w czém innych przewyższa, przykrość — w czém inni jego przewyższają. Hobbes jest nie-

dościgniony w zwrotach, gdy kréśli ten egoizm bezbrzeżny i demaskuje obłudę, pod którą się ukrywa. Nazywa się dobrém to, co się komu podoba i korzyść przynosi, i uważa się je za dobro w sobie, a więc również w stosunku do innych, chociaż pożyteczne dla jednego jest szkodliwe dla drugiego; nadaje się obydną nazwę rzeczy, znajdywanéj u przeciwnika, i piękną, gdy się ją samemu posiada. Większość nawet, zaślepiona w swym interesie, rzeczywiście wierzy w sprawiedliwość tego, z czém jéj dobrze, i wiarę swą wspiéra bądź na tradycyi, bądź na rozumie, w miarę tego skąd spodziéwa się lepszego skutku. „Tém się tłómaczy, powiada Hobbes, dlaczego nauka o sprawiedliwości i niesprawiedliwości ciągle była zwalczana piórem i mieczem, w przeciwieństwie do nauki o liniach i figurach; tu bowiem ludzie nie troszczą się o prawdę, ponieważ nie krzyżuje ona niczyjéj dumy, korzyści lub przyjemności. Gdyby jednak twierdzenie, że suma kątów trójkąta równa się dwóm prostym, sprzeciwiało się czyjemuś prawu własności, a raczéj interesowi posiadaczy własności, nie wątpię, że zainteresowani usiłowaliby, jeśli nie zwalczyć, to przynajmniéj stłumić je przez spalenie wszystkich dzieł geometrycznych.” Współzawodnictwo jest najgłówniejszą przyczyną walki między ludźmi; drugą przyczyną — nieufność całkiem naturalna i rozumna, ponieważ każdy musi strzedz się chciwości, zawiści i pychy innych; trzecią — próżność. Pierwsza przyczyna pobudza do owładnięcia cudzą osobą, cudzą żoną, dziećmi, mieniem; druga pobudza do obrony zagarniętych łupów; trzecia — do niezgody i kłótni o drobnostki: o słowo, uśmiéch, odmienne przekonanie lub inne objawy niedoceny.

Nie podzielając przesadnych nadziei wielu współczesnych (np. Bacona i Descartes'a) co do możliwego w przyszłości pożytku z rozszerzonéj i ulepszonéj znajomości przyrody, owszem uważając współczesną kulturę materyalną w najważniejszych jéj dziedzinach za skończoną, Hobbes przyjmuje wszędzie jednak — w doświadczeniu i wynikach doświadczenia, w nauce czystéj i stosowanéj—możliwość i rzeczywistość ciągłego rozwoju. Rzecz charakterystyczna, że strona teoretyczna wszędzie u niego poprzedza przyczynowo stronę praktyczną. W sztuce widzi owoc nauki, przedewszystkiém geometryi i fizyki. „Wszystko co wypływa na pożytek ludzkości z obserwacyi gwiazd, opisu ziemi, obliczenia czasu, dalekich podróży morskich, wszelkie piękno gmachów, potęgę twierdz, podziwu godne maszyny, słowem—wszystko, co wyróżnia czasy obecne od dawnego barbarzyństwa lub od stanu dzikich w Ameryce — zawdzięczamy niemal wyłącznie geometryi.” Jeżeli nie traci nadziei dalszego rozwoju kultury pod wpływem wiedzy, to przecież możliwość jéj urzeczywistnienia widzi jedynie w téj części nauki, za któréj twórcę sam siebie uważa, mianowicie: w nauce o prawie na-

turalném, podstawie etyki i polityki. Jéj zadaniem jest położenie kresu sporom i walkom, zwłaszcza wojnom domowym, „które powstają z nieznajomości przyczyn wojny i pokoju”, a są źródłem wszelkiéj nędzy i ubóstwa. Istnienie samo takiego stanu dostatecznie dowodzi braku owéj nauki. Potrzebna jest skala, kryteryum sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Dotychczas go brakowało. Ludzie nie wiedzieli, czy słuszne lub niesłuszne jest to, co czynić zamierzali, albo błądzili, posługując się fałszywemi kryteryami.

Doszliśmy do punktu kulminacyjnego oraz głównego celu wszystkich spekulacyi Hobbes'a: do teoryi prawa naturalnego i polityki. Za punkt wyjścia służy mu utarte znaczenie terminu, identyczne z stałą wolą przyznawania każdemu, co mu się należy. Ale skąd się wzięło pojęcie należności czyli własności? Boć naturalne ono nie jest, lecz wypływa raczéj z umowy ludzkiéj (albowiem ludzie musieli dzielić się darami przyrody). Stąd nowe pytanie: dlaczego ludzie, zamiast pozostać przy jednéj wspólnéj własności, woleli raczéj rozdrobić ją na pojedyńcze własności prywatne? Odpowiedź brzmi: ponieważ wspólne posiadanie dóbr musiałoby nieuchronnie prowadzić do walki, a więc do wszelkiego rodzaju nieszczęść. Tą drogą doszedł on do dwóch postulatów natury ludzkiéj: pierwszym jest wrodzona żądza korzystania z wspólnych dóbr, drugim — rozum naturalny, który każe unikać gwałtownéj śmierci, jako najwyższego zła. Z tych postulatów wyprowadza on konieczność umów i słowności, a stąd i zasady cnoty i obowiązków obywatelskich. — Co to jest prawo? Idea prawa subiektywnego wyraża się w woli, idea obiektywnego — w pokoju; pokój jest wspólném dobrem ludzi, ich wspólne dobro — wspólną wolą, wspólna wola — powszechnym i wrodzonym rozsądkiem, uchwalającym przepisy i „prawa”, których przestrzeganie prowadzi do pokoju. Nikt w gruncie niechce znosić przemocy — nie powinien więc i sam jéj używać; każdy pragnie pokoju — powinien zatém sam dążyć do pokoju, t. j. być pochopnym do ugody i jedności. Podwaliną wszelkiego rzeczywistego porządku prawnego jest zrzeczenie się prawa subiektywnego, czyli tego co każdy za swoją własność uważa. Do zrzeczenia się skłania nas własna korzyść czyli chęć osiągnięcia czegoś, zrzeczenie się bowiem na cudzą korzyść ma na celu zachęcenie innych do zrzeczenia się na naszą korzyść. Na wzajemném zrzeczeniu się polega umowa. Oprócz zawiérania umów, idea prawa wymaga jeszcze ich przestrzegania. Sprawiedliwy, kto dotrzymuje słowa. Sprawiedliwość jest tém w dziedzinie moralnéj, czém konsekwencya w dziedzinie rozumowéj; niesprawiedliwość równa się sprzeczności. Do zbudowania państwa potrzebne są jeszcze dwa warunki: zgromadzenie, które polega na ugodzie, że dla

każdego aktu wola większości wystarcza za wolę wszystkich, oraz przedstawicielstwo, które polega na têm, że zgromadzenie udziela nieograniczonego mandatu jednéj lub większéj liczbie osób, znowu tworzących zgromadzenie. Celem wszystkich umów powyższych jest bezpieczeństwo, a osiągnięcie jego wymaga nadania przedstawicielowi czyli zwierzchnikowi nieograniczonego prawa, tak iżby był wcieleniem władzy wszystkich, a zatém panem wszystkich jednostek, ich osób i własności: tą jedynie drogą pokój daje się zapewnić i ubezpieczyć. Dopóki takiéj władzy brak, jak np. między pojedyńczemi narodami, każdy zachowuje prawo łamania umów lub użycia przemocy, stan wojenny nie ustaje. Stan wojenny jest i pomiędzy jednostkami stanem naturalnym, nie wykluczającym wprawdzie dłuższych lub krótszych przerw pokojowych, ale bądź co bądź dalekim od sztucznego, iście obywatelskiego stanu. Samo utworzenie przedstawicielstwa nie wystarcza i nie prowadzi do celu, musimy jeszcze wyposażyć przedstawiciela w władzę absolutną, w nieograniczone prawo przymusu, któremu każda jednostka powinna bezwarunkowo ulegać. W stanie natury każda jednostka jest dla siebie powagą absolutną, w stanie prawdziwie politycznym istnieje tylko jedna jedyna władza absolutna i niepodzielna. W państwie tylko zwierzchnik ma prawo czynić, co uważa za właściwe; on jeden posiada prawo użycia przymusu i przemocy, a więc i wykonywania wyroków; on jeden posiada prawo określania, co dobre i co złe; jakkolwiek bowiem wszystko jest moralnie dobre, co zmierza do pokoju, przecież pytanie: czy cokolwiek zmierza do pokoju, może być niedowołalnie rozstrzygnięte jedynie przez tę samą najwyższą instancyę, która wogóle ma za zadanie rozstrzyganie sporów i zapobieganie walkom. Tak np. wszyscy uważamy kłamstwo za złe, ale gdy kłamca należy do jednego z nami stronnictwa, gotowiśmy je nazwać kłamstwem koniecznêm, lub nawet mądrością dyplomatyczną. Otóż prawo jest powszechną miarą, usuwającą niezliczone miary pojedyńcze. Służy ono zarówno do ochrony, jak i do ograniczenia obywatela. Prawo karne, do którego sprowadza się wszelkie inne, ma na celu nie zemstę lub odwet, lecz jedynie obronę i ochronę; kara nie jest czynem nieprzyjacielskim, bo nie wypływa z nienawiści do przestępcy, lecz z życzliwości względem wszystkich. — Zwracamy uwagę na to niezłomne sprowadzanie moralności do prawa karnego. Hobbes burzy tu wiarę w dobro, jako coś rzeczywiście istniejącego w naturze i duszy człowieka, i wytyka podmiotowość jakości moralnych, jak w teoryi poznania i psychologii wytykał podmiotowość jakości zmysłowych, czém potęguje cios zadany tradycyjnemu i religijnemu sposobowi myślenia. Zaprzecza on człowiekowi zdolności odczuwania dobroci czegokolwiek ponad to, co

mu się podoba lub wchodzi w zakres jego samozachowania i samowywyższenia; dobre jest przedewszystkiém to, co sprawia przyjemność, następnie, co przynosi korzyść. Coś obiektywnie dobrego istnieje tylko dla pewnéj grupy ludzi, którzy doszli do tego drogą porozumienia. Nominalizm moralny Hobbes'a jest dalszém rozwinięciem jego nominalizmu psychologicznego, a staje się zrozumiałym, gdy przypomnimy, że go już dawno poprzedził nominalizm teologiczny Duns'a Scot'a i Occam'a.

Pojęciu państwa staje się zadosyć, gdy reguluje ono wszystkie czynności obywateli i wolę osób pojedyńczych nagina do jednéj woli najwyższéj; w przeciwnym razie mamy jeszcze w państwie społeczeństwo, a wśród niego—wojnę i bezrząd. Społeczeństwo, swoboda i własność mogą, zgodnie z pojęciem nieograniczonego zwierzchnictwa, trwać dopóty, dopóki zezwala wola zwierzchnia; ma ona prawo cofania swego zezwolenia, za co przed nikim nie odpowiada, moralnie obowiązana jest tylko czuwać nad dobrem ogólném i wyznaczać prawa. *Salus publica suprema lex.* Ona jedna określa i podług własnego zdania zmienia pojęcia o „mojém" i „twojém", ona też ma prawo otwartego szerzenia i zakazywania różnych doktryn i mniemań, ona wreszcie ustanawia religię. Hobbes—jak wiadomo—stawia w jednym rzędzie przesądy i religię (z wyjątkiem „religii prawdziwéj", *vera religio*), widząc ich różnicę jedynie w stosunku do państwa. „Obawa potęg niewidzialnych—zmyślonych czy tradycyą przekazanych—jest religią, jeżeli uznana została przez państwo, przesądem—jeżeli nie została uznana przez państwo". Również prawo skazywania służy wyłącznie zwierzchnikowi oraz sędziom, z jego ramienia wyznaczonym, ale nikomu innemu, chociażby przybierał wszelkie możliwe tytuły, chociażby się powoływał na posiadanie jakiegoś prawa boskiego, na objawienie lub filozofię moralną. Ztąd kościół nie ma nic do rozkazywania człowiekowi, jest on tylko instytucyą szkolną, w dodatku taką, która opiéra się na błędnéj wierze w duchy niemateryalne i ich nadprzyrodzoną działalność, a przez wpajanie obawy przed wiecznemi karami uwłacza karom doczesnym, wymierzanym przez państwo. „Jeżeli ktoś utrzymuje wbrew mojemu przekonaniu, że Bóg mówił z nim w sposób bezpośredni i nadprzyrodzony, to nie pojmuję, na jakiéj zasadzie może on zmusić mię do uwierzenia. Co prawda, jeżeli utrzymujący jest moim zwierzchnikiem, może mię zobowiązać do posłuszeństwa, t. j. do nieujawniania mojéj niewiary słowem lub czynem, ale bynajmniéj nie do wiary w to, czemu rozum mój się sprzeciwia. Natomiast każdy inny, nie posiadający władzy zwierzchniéj, nie może rościć prawa ani do mojéj wiary, ani do mojego posłuszeństwa". Nie należy uważać Hobbes'a za rzecznika praktycznego wkraczania państwa we wszystkie dziedziny życia prywatnego.

Poddany np. bynajmniéj nie ma obowiązku godzenia na swego ojca lub brata, na rozkaz króla; owszem tu znowu odzyskuje swą moc swoboda naturalna, któréj każdy zrzekł się jedynie w celu samoobrony a więc i dla bezpieczeństwa swych najbliższych. Zasada uległości względem wszechwładzy państwa oznacza najgłówniéj wyzwolenie z pod jarzma kościoła, na rzecz swobody myślenia, uczenia i pisania. Światły zwierzchnik, kierujący się wyłącznie rozumem, prawem naturalném, oraz doniosłą nauką moralności i polityki, sam będzie dbał o krzewienie zdrowéj nauki za pośrednictwem uniwersytetów i zniesienie wpływu kościoła na nauczanie szkolne. O to zaś, aby uwolniwszy się z pod wpływu kościoła, zwierzchnik zechciał sam zwrócić się przeciw swobodzie myśli, nie ma obawy, albowiem „nic tak nie potęguje nienawiści, jak ciemięstwo ludzkiego rozumu". — Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach hobbesowska teorya państwa. Hobbes zwrócił niemałą uwagę na zjawiska życia gospodarczego; od niego datują początki ekonomii politycznéj w Anglii. Ląd i morze nazywa on piersiami matki ziemi; prócz przyrody, bogactwo zależy tylko od pracy i pilności; praca przedstawia towar zamienny; podział gruntu należy do zwierzchnika państwa, a słuszność czyli prawo naturalne wymaga, aby każdy obywatel miał udział w ziemi. Państwo powinno kierować handlem zewnętrznym, dla skutecznego zapobieżenia jego szkodliwym następstwom. Podatki pośrednie są najsprawiedliwsze i dla gospodarki finansowéj najodpowiedniejsze. Złoto i srebro przedstawiają najdogodniejszą międzynarodową miarę wartości; w kraju zaś pieniądz może być zrobiony z jakiegokolwiek materyału, a wartość otrzymuje przez stempel. Pieniądz podobny jest do krwi, a wymiana towaru na pieniądz, jako na wartość trwałą i łatwo przenośną, do trawienia. Ciekawszym od powyższego twierdzenia jest ustęp w „Behemoth", dowodzący, iż Hobbes miał oko na początki i istotę produkcyi kapitalistycznéj. „W razie wybuchu rewolucyi z powodu ciężarów podatkowych — mówi jeden z współbiesiadników — wielkie miasta niechybnie staną po jéj stronie, gdyż mieszczanie, t. j. kupcy wyznający tylko własną korzyść prywatną, należą do naturalnych przeciwników podatków, a całą swą dumę pokładają w bezgraniczném bogaceniu się przez mądre kupno i sprzedaż".

„Podobno ze wszystkich profesyi — wtrąca drugi — swoją własną uważają za najpożyteczniejszą dla państwa, ponieważ biedniejszéj klasie dają zarobek". — „Tak — odpowiada pierwszy — ponieważ zmuszają ubogich ludzi do sprzedawania swéj pracy za cenę, jaką sami naznaczają, tak, iż lepiéj mogliby się utrzymywać z pracy w Bridwell (świeżo wówczas wzniesione więzienie), aniżeli z przędzenia, tkania i t. p. ro-

bót". W innych miejscach mówi Hobbes o nędzy, bezrobociu, nadmiernie dużych miastach, niebezpieczeństwie połączoném z przeludnieniem.

Wiadomo, że rozwój Anglii szedł w kierunku wręcz przeciwnym, aniżeli jéj nakréślił Hobbes w swojéj filozofii społecznéj, a opinia publiczna rzuciła klątwę na wroga teologii i plutokracyi; dopiéro czasy bilu o reformie, za sprawą nielicznéj garstki mężów wyborowych, grupującéj się koło Benthama i James'a Milla, wskrzesiły jego pamięć i uznały słuszność jego teoryi. Z tego względu wielce ciekawe jest zdanie jednego z członków owego grona, znakomitego historyka Jerzego Grote'a, który skarżąc się na pierwszeństwo, oddawane z pewnego rodzaju „zabobonną czcią" Baconowi, jako „mistrzowi mądrości", powiada: „Zaiste, ta właśnie wzgarda dla idei klas uprzywilejowanych—fałszywie uważających się za hamulce władzy naczelnéj, bo w gruncie bratają się z nią i nadużywają w celu trzymania narodu w karbach—ta właśnie wzgarda przyczyniła się do zohydzenia teoryi politycznych Hobbes'a w Anglii... musiał on odpokutować za swe dążności niemniéj antyoligarchiczne jak antypopularne... Osoby, które najbardziéj się interesowały jego dziełami, byli to—w zakresie moich spostrzeżeń—mężowie zasad radykalnych, ożywieni najidealniejszemi pojęciami o zadaniach rządu i możliwém wychowaniu ludzi; mężowie, ożywieni, również jak Hobbes, antypatyą względem interesów klasowych, które są czynnemi siłami współczesnéj monarchii pseudoprzedstawicielskiéj, ale różniący się od niego tém, że w dobrze uorganizowanym systemie przedstawicielskim upatrywali najlepszą rękojmię dla połączenia rozumnego posłuszeństwa z rozumnym rządem". Obecnie—dodaje Tönnies—demokracya, tak w Anglii, jak we Francyi, dąży do wytworzenia własnego jednolitego zwierzchnictwa, obala prawa historyczne, burzy fikcye konstytucyjne, całkiem w duchu wskazanym przez geniusz Hobbes'a.

III.

Hobbes stoi u wierzchołka i niejako pośrodku łuku, który możemy sobie wyobrazić, jako zakréślony przez trzy stulecia, stanowiące pod wieloma względami jedność. Na jego czasy przypadają boje i zwycięstwa nowszéj wiedzy, które się powoli i mozolnie przygotowywały w XVI wieku. Wiek XVIII spoczywa już na tych zwycięstwach, uogólnia, rozpowszechnia i spłaszcza zdobyte. W fizyce spostrzegamy zwroty wsteczne; tłómaczenie za pomocą sił znowu zyskuje uznanie i przyjmowane są materye tam, gdzie poprzednio już rozpoznano ruchy:

emanacyjna teorya światła, materyalna teorya ciepła. W moralności i polityce miarodajnym staje się optymistyczny eudemonizm, a liberalna opinia oświadcza się za mieszaną formą rządu, chociaż absolutyzm światłych panujących i mężów stanu nie utracił jeszcze zupełnie swoich zwolenników. Na uniwersytetach bierze górę nowa filozofia i metafizyka, która, czyniąc wiarę rozumną a rozum wierzącym, zastępuje tymczasowo dogmaty chrześciańskie dowodami na rzecz bytności najwyższéj istoty pozaświatowéj, nieśmiertelności duszy niemateryalnéj i wolności woli ludzkiéj i tworzy podwaliny dla nowéj dogmatyki teologicznéj. Obok tych właściwych przedstawicieli wieku istnieje jeszcze kilku myślicieli radykalniejszych, śmielszych, którzy w filozofii i nauce zakładają fundamenty dla XIX stulecia.

„Od Hobbes'a—powiada August Comte—wywodzą się historycznie najdonioślejsze ideje krytyczne, przez nieuzasadnioną tradycyę przypisywane filozofom francuskim XVIII wieku, w istocie rzeczy zawdzięczamy im jedynie rozpowszechnienie — zresztą nieuchronne — owych idei... Hobbes jest prawdziwym ojcem filozofii rewolucyjnéj". Rzeczywiście, nieugiętość i cierpkość téj filozofii rewolucyjnéj sprawiły głównie, że wstrząsnęła ona tak potężnie jego stuleciem a z imienia jego uczyniła przerażające straszydło. Pomimo, a może właśnie z powodu tego gwałtownego oporu wywarł on wpływ potężny—pośredni i bezpośredni, dodatni i ujemny. Najmniéj w fizyce: tu Descartes uchodził za powszechnie uznanego przedstawiciela nowéj filozofii. Ale teorya poznania i psychologia została przez Locke'go złagodzona i spopularyzowana; jego metafizyka uległa lekkiemu przekształceniu w rękach Berkeley'a, który w poszukiwaniu pierwiastków nominalistycznych i sensualistycznych doszedł z wielką zręcznością do metafizyki czysto spirytualistycznéj, zamiast nieuchronnéj, jakby się zdawało, materyalistycznéj. Rewolucya w moralności doprowadziła do polemiki i kompromisu; ponieważ nie dało się ocalić wrodzoności pojęcia dobra, tém energiczniéj podnoszono społeczny popęd człowieka, życzliwość wrodzoną, sumienie: do najgwałtowniejszych przeciwników należą w Anglii Cumberland, Cudworth, Clarke, w duchu bardziéj pojednawczym pracują Butler, Shaftesbury i deiści. To samo dzieje się w polityce, i znowu za sprawą Locke'go, ale z uwzględnieniem pewnych pierwiastków kościelnych i stanowych, które Hobbes, zdawało się, bezpowrotnie wyrugował. O ekonomii politycznéj była już mowa. Równy mu geniuszem następca, wszakże w duchu innego czasu, zjawił się dopiéro w osobie Hume'a. —We Francyi długo walczyły z sobą o pierwszeństwo kartezyanizm i gassendyzm, jako intelektualistyczno-spirytualistyczny i sensualistyczno-materyalistyczny systemy fizyki i psychologii, oba stojąc na

gruncie zasad mechanicznych. Zdaje się, że wraz z pamięcią Gassendego zachowała się i pamięć Hobbes'a. Voltaire zna go dobrze. Ale najsilniejsze są tu wpływy pośrednie przez ogólne oddziaływanie myśli angielskiéj. Powoli jednak wynurza się na wierzch naturalistyczny pogląd na duszę. Materyaliści i encyklopedyści na nowo rozwijają chorągwie radykalne. Holbach tłómaczy ustępy z Hobbes'a; Rousseau przekształca jego myśl o państwie; Diderot, który układa artykuł „Hobbizm" dla encyklopedyi, podziwia go. W planie uniwersytetu dla rządu rosyjskiego poleca on po „Logice Port Royal", jako klasyczną dla fakultetu literackiego, „przedewszystkiém małą książkę o rozumie czyli o naturze ludzkiéj Tomasza Hobbes'a, dzieło krótkie i głębokie, przewyższające wszystkich autorów cytowanych... arcydzieło logiki i rozumu". Innnym razem, mówiąc o moralności: „co się tyczy znajomości człowieka, nie znam nic ponad mały traktat Hobbes'a", książkę, „którą całe życie czytać można i komentować"; „jakże rozwlekłym i słabym wydaje mi się Locke, jak ubogim i małym La Bruyère i La Rochefoucauld w porównaniu z Tomaszem Hobbes'em"; Naigeon zaś, który podaje w encyklopedyi ustęp z tego dziełka, sądzi, że prawdziwie i głęboko odczuć można całą jego zasługę, jeżeli się je czyta w oryginale i jednym tchem. W kilka lat późniéj (1804) Destutt de Tracy wzbogaca swe *Eléments d'Idéologie* przekładem pierwszego rozdziału „*De Corpore*".—Że monizm Spinozy, zwlaszcza jego teorya prawa i państwa, ma wiele punktów stycznych z Hobbes'em i silną znalazła w nim pobudkę, temu nigdy nie zaprzeczano. Więcéj zapominano o tém, co mu zawdzięcza Leirbniz, który często wspomina jego imię, a zawsze z wielkiém podziwieniem, nazywając go najgłębszym badaczem zasad we wszystkich rzeczach, i który w młodszych latach listownie zwracał się do niego o wyjaśnienie tych zasad. Późniéj wielkie wrażenie wywołał profesor z Halli, Mikołaj Hieronim Gundling, śmiałością i stanowczością, z jaką wszędzie bronił Hobbes'a. Puffendorf, którego prawo naturalne i narodów kroczy niewolniczo śladami wielkiego filozofa angielskiego, obwinął i osłonił ostre kanty jego nauki po części gęstą erudycyą, po części myślami pełnemi ludzkości.

Hobbes zwiastuje ewolucyę królestwa rozumu, światła, oświaty. Ale jednocześnie ukazuje mu się w bliskiéj przyszłości widmo społeczeństwa handlowego, dzikiéj konkurencyi i wyzysku kapitalistycznego. Jego wyrażenia: „człowiek człowiekowi wilkiem" i „walka wszystkich z wszystkimi" często bywają używane na określenie tego stanu w państwach nowoczesnych. Odpowiadałoby również jego myślom, gdybyśmy powiedzieli: chciwy człowiek pod wpływem rozwiniętego rozumu staje się nie lepszym, lecz gorszym, i że samo myślenie w pe-

wnych warunkach—gdy gonitwy się już rozpoczęły — sprzyja rozwojowi chciwości. W końcu XIX stulecia nauczyliśmy się to widzieć. Pomimo to wszystko, nie powinniśmy czuć żalu do nauki, lecz raczéj ostrzéj toczyć broń prawdy. Nie ma wprawdzie obawy, aby teologia stawiać mogła skuteczny opór nowym zdobyczom wiedzy, lubo daje się jeszcze dosyć we znaki. Niebezpiecznych wrogów i oskarżycieli napotyka najbardziéj dla naszego wieku znamienna nauka o społeczeństwie; są to zuchwali magnaci pieniężni, którzy czują się przez tę naukę zagrożeni utratą panowania, jak niegdyś jezuici — przez nową wiedzę przyrodniczą. *Multi pertransibunt, et augebitur scientia.* Ale za wielką zdobycz filozofii naszego wieku słusznie się uważa, że z większą jasnością pojmujemy, czego może i powinna dokonać nauka. Na téj zasadzie możemy żywić nadzieję, że w zastosowaniu metafizyki i psychologii, a jeszcze bardziéj w socyologii, metoda krytyczna, rewolucyjna i mechaniczna wyłoni z siebie metodę pozytywną, syntetyczną i organiczną. Już u Hobbes'a znajdujemy jéj ślady. Spinoza pierwszy wytworzył na gruncie nowoczesnéj wiedzy idealny pogląd na świat, wszystkie pokrewne próby, w naszym wieku czynione, wewnętrznie się z nim łączą. Spinozyzm, który wchłonął w siebie współczesną biologię i socyologię—taką będzie filozofia przyszłości.

Dr. A. Grosglik.



SĘKOWSKI.

(Ustęp z pamiętników Stanisława Morawskiego).

Może ja i grzeszę! Ale, jeśli przypuścić, że Bóg w niezbadanych wyrokach swoich w pewnéj epoce stwarza czasem człowieka na to, żeby źle robił prosto dla miłości złego, żeby jego ruchy, jego czyny, jego mowa, jego myśli, jego pisma zawsze w żółciowym brodziły oceanie, żeby był zły *con amore*, z roskoszą, żeby się każda jego własna złośliwość na jego twarzy malowała zawsze radośnie i z jakimś rodzajem tryumfu, żeby ta złość była jeszcze tém gorszą, że jéj szafarz obdarzony został różnostronnym najtrafniejszym, najzabawniejszym, najdotkliwszym, najjadowitszym, genialnym dowcipem i jedną z najrozleglejszych nauką, gdyby to było można przypuścić—powiadam,—rodak nasz Józef Sękowski tym właśnie byłby człowiekiem i palmę na to, jeśli już nie w całéj Europie, to przynajmniéj w całéj Słowiańszczyznie pewnoby otrzymał.

Ja widzę i teraz [1]) jego szatański uśmiech, kiedy już jest zapewne dotąd przypruszony śniegiem podeszłego wieku, kiedy już, jak słyszałem, strawiony, znękany jest ciągłą, mozolną i ciężką pracą umysłu i ciągłą fatygą żółci. Widzę, jak on sobie drwi z za węgła, rzuciwszy przed rokiem na złość całéj Europie, a bardziéj jeszcze na złość

---

[1]) Pisał to autor w r. 1849.

całemu słowiańskiemu światu kilka genialnych i prawdziwie porywających pomysłów o naturze, treści i duchu tych osobliwszych po skałach perskich „ćwiekowych" i „strzałkowych" napisów, które były wiecznym szkopułem historyków i antykwaryuszów i które tylko po tylu wiekach pozornéj śmierci, pod jasném Sękowskiego spojrzeniem, nabierać na nowo prawdziwego życia zaczęły. Rzucił on nam to, jak kość jaką w oczy. Kilka kart nakréślił, naelektryzował, zapalił, zadziwił wszystkich i — zamilkł. Nie myślcie, że on czy nie mógł, czy nie chciał natychmiast tego genialnego dzieła dokończyć. Nie. On jak Mefistofeles zaciął się tak umyślnie, jego dusza raduje się teraz, że tylu uczonych, tylu ciekawych ludzi, tylu poczciwych Polaków, Czechów, Anglików i Niemców, łamie sobie głowy i niecierpliwie czeka na inne ogryzki, które im rzucić obiecał, a czego na złość nie dotrzymać gotów.

Sękowski czy Senkowski (bo się i tak i tak sam podpisuje, dla tego zapewne, że w Petersburgu naszéj litery ę nie znają) przez lat ośm, nie to, żeby tylko był moim znajomym, ale żył ze mną w ścisłych stosunkach. Niejedną wzajemną sobie zrobiliśmy przysługę. Poznałem go u dawnego guwernera mojego, wówczas, kiedy mnie uczył, biédnego człowieka, a dziś magnata, Michała Konarskiego, bawiącego w Petersburgu w téj właśnie porze, kiedym tam na mieszkanie z rodzicielskiego domu się wyniósł. Nawiasem mówiąc, Konarski, jako guwerner, jest *Rafflesią*, *Victoria Reginą*, należy do monumentalnéj guwernerskiéj antologii. Należy do najrzadszych przykładów, żeby domowy pedagog przez pedagogię urósł w milionowego bogacza. Oddaliwszy się z Litwy od jedynych tutaj uczniów swoich, to jest odemnie i od dwóch Obuchowiczów, w 1812 roku uciekł przed Francuzami i przed sztyftującemi się w Wilnie pułkami i wpadł do Tulczyna, tak okolonego przez rosyjskie wojska, że przy całym zapale tamtejszym ani źdźbła nie widziano, co po Litwie i Rusi robił Napoleon. Konarski przyjechał tam opuchły i chory na fluksyę. Ale go zwietrzył natychmiast ów sławny generał Chackiewicz i obwiązanego, tak jak był, otrębami, na pokoje Potockich gwałtem wprowadził. Konarski, to człowiek pełen dowcipu, taktu i nie wrzód w gębie! A jeszcze w téj chwili był dobrodziejem Tulczyna, bo plotki przywiózł. Podobał się i zaraz się dostał do Świejkowskiego, ale potém Greczynka, Szczęsna Potocka, odbiła go stamtąd dla syna swojego Bolesława. Że się uczeń nie udał, to nie wina mistrza. Oba jednak domy pomogły mu datkiem, gratyfikacyą, pensyą, zapisami do zrobienia znacznego funduszu, który on wyklutém, natychmiast w sobie prototypowém skąpstwem utroić potrafił. Guwerner takich magnatów nabył zabawnéj, a może jedynéj na świecie, gu-

wernerskiéj arystokracyi. Kiedym po wielu latach w stolicy z duszą pełną przywiązania i wdzięczności, jak do swojego dawnego nauczyciela, do niego niespodziewanie przyszedł, czy mu to mało było, żem nie Potocki, czy co innego, dosyć, że sobie, i był guwernerem moim, niełatwo przypomniał! Otrząsłem, wychodząc, na jego progu pył z mojego obuwia! Ale nazajutrz dowiedziawszy się, że ja o nic nikogo nie proszę, a wiedząc i sam oddawna, żem sroce z ogona nie spadł, przybiegł do mnie wzajemnie, tysiące uprzedzających zrobił grzeczności i dobra poszła zażyłość.

Konarski, którego w moim dzieciństwie (miałem wtedy lat siedm czy ośm) do szaleństwa kochałem, ledwie że nie pierwszy dał mi uczuć, co to jest suchość i egoizm serca. Co to jest nie czuć przynajmniéj wdzięczności za to najrzadsze dobro na świecie być kochanym *n'importe* przez kogo! Kiedym bowiem innemu powierzony nauczycielowi, rozstając się z nim, dosłownie we łzach się topił, on uścisnąwszy mnie zimno, objęty widać pedagogicznym na rzeczy poglądem, odwrócił się do obecnych i powiedział: „Patrzcie-no państwo, to rzecz szczególna, jak się dzieci do mnie przywiązują”. Choć wtedy jeszcze koszulkę w zębach nosiłem, łzy mi oschły natychmiast, a przez wiele mil podówczas do Zacisza do generała Morawskiego wieziony, o tém już tylko myślałem, żebym się nauczył zapomniéć tak nieczułego człowieka na anielską a bezinteresowną siedmioletniego dziecięcia miłość! Już minęło odtąd około lat czterdziestu, a dotąd to wszystko jakby wczoraj pamiętam!

Konarski, mieszczanin słonimski, zręczny i dowcipny, tylko tłustawy artykułów dziennikarskich układacz, tłómacz kilku dawnych romansów, autor kilku komedyjek i kantat, raz tylko za młodu z wileńską aktorką Bogusławską sekretnie ożeniony i potém w czasie, kiedy mnie uczył, również sekretnie rozwiedziony, wszystkie swoje kilkakrotne podróże po całéj Europie odbył na koszt ucznia swego Bolesława Potockiego. Wszystkie książki najwytworniejszych edycyi kupił i czytał, wszystkie litografie i sztychy kupił, przepatrzył i poznał, wmówiwszy temuż Bolesławowi, który był Bogu duszę winien, że honor takiego pana wymaga, żeby to miał w swojéj bibliotece. Wszystkie pojazdy, jakie chciał miéć Potocki, za pieniądze Bolesława pierwéj s o b i e robić kazał, dlatego żeby Bolesław wprzódy widział, czy zgrabnie wyglądać będą? Kościołek nawet—jak mi niedawno w Warszawie mówiono — kosztem Bolesława u siebie wystawił, także dla tego, żeby Bolesław mógł miéć ideę, jak ta budowa na wielką skalę bić będzie w oko! Jadł z kuchni Bolesława najwymyślniéj; u siebie na wsi przez rok obrączkowy jaglaną kaszę. Bez żony, bez dzieci, bez ko-

chanki,—dla kogóż zbiéra? czemu samemu nawet sobie żałuje, a cudzém się żywi?

Na jego ręku skonał Trembecki, po którym papiéry jemu się dostały. Wiele ma tutaj najciekawszych materyałów do historyi życia Szczęsnego Potockiego i drugiéj jego żony. Wróćmy do Sękowskiego.

Będąc jeszcze w Wilnie, słyszałem dobrze o Sękowskim, czytałem jego *Collectanea*. Wiedziałem, że silnie zalecany przez Kazimierza Kontryma, oprócz lichego wsparcia od rządu uniwersytetu wziętego, jeszcze przez składkę masonów znacznego dostał zasobu na podróż swoją po Wschodzie. Wiedziałem, że jest człowiekiem niepospolitych zdolności, że natychmiast po odebraniu pomocy i wsparcia zażartym polskiego imienia stał się nieprzyjacielem i gniazdo swoje, gdzie mógł, mową i pismem szpecił, że w Wilnie powiedzieć tylko komu „Sękowski" było to dać gorącemu koniowi pod bok ostrogą. Każdy się zaraz na to imię zasłupił. Słyszałem, że w Litwie jeszcze ożeniony z panną, która mu 30,000 złp. przyniosła, ucząc się wschodnich języków, zjadł z nią razem wszystko po turecku, na bakalje, sorbety, lody, konfitury, tytuniek i inne błazeństwa. Wiedziałem i to, że podczas jego kilko letniéj podróży, gdyby się pod turbanem, który podówczas nosił, za głowę z przypadku był macnął, trafiłby tam na niewątpliwe znaki, że go jak Akteona w potężnego przemieniono jelenia. Wiedziałem, że za powrotem swoim do Wilna, nie znalazłszy tu nic dla siebie, rzucił się do Petersburga i tam katedrę wschodnich języków, a wkrótce i dziekaństwo objął. Wiedziałem nakoniec, że z urzędu swojego nie miał co robić, bo podówczas jeszcze było tam rzydziestu sześciu profesorów uniwersytetu, a pięciu w uniwersytecie uczniów! Dla wschodnich zaś języków był oddzielny instytut pod kierunkiem Adelunga, gdzie się właśnie Chodźko, Szpitznagiel, Żabowie, Szemiott i wielu innych Polaków wykształciło. W Petersburgu żaden rodak lub kolega poznawać się z Sękowskim mnie świeżo przybyłemu nie życzył.

Raz w czasie bytności mojéj u Konarskiego wszedł tam średniego wieku, włosow blond, suchy, cienki, przyzwoitego wzrostu, dobrze ospowaty, z zapadłemi policzkami mężczyzna. Uderzył mnie szczególniéj kolor ust dosłownie koralowy tego człowieka. Nie ma najzdrowszéj piętnastoletniéj panienki, któraby tak jaskrawie pąsowemi wargami pochwalić się mogła. Twarz miał babią, nieporastającą włosem, suknie wytworne, ale bez wymysłu i ubiegania się za modą, wisiały na nim jak na kołku. Znać było przez te suknie, jak to ciało pod spodem na mumię wysuszone było. Gość usiadł. Zdawał się być jakoś nieśmiałym w układzie. Przebąknął słów kilka z dosyć miłym uśmiéchem.

Powiedział, że jadąc gdzieś z wizytą, na moment tylko wstąpił. Co mówił, mówił jąkając się niejako i z wielką trudnością. Po kilku chwilach wyszedł. Konarski powiedział mi aż wówczas, że to Sękowski. Byłem temu rad zupełnie, bo i widziałem minę człowieka, i Konarski tyle miał instynktu, że mię z nim nie zapoznał, chociaż do siebie przemówiliśmy kilku słowami. Latem, zaproszony na obiad za miastem do cesarskiego lekarza Arendta, znowu się z tym człowiekiem spotkałem. Tą razą sam przysiadł się do mnie i długo ze mną mówił. Trudna jego wymowa, odznaczająca się niełatwym doborem i wyszukaniem słowa, nie przeszkodziła mu być wielce interesującym, a chociaż niepiękny, kolor ust jego i uśmiéch przyjemny więcéj przyciągały, niż odpychały go od ciebie. Jeszcze raz potém przyjaciel mój, najgodniejszy w świecie człowiek i praktyczny filozof, Anglik Dobell, niedawno jeszcze generalny konsul rosyjski w Kantonie i autor znajomego całéj Europie dzieła o Chinach, mając mnie u siebie, na herbacie, znowu mnie z dawnym przyjacielem swoim Sękowskim zetknął. Znowu tedy gawęda. W kilka potém miesięcy już w mieście, śród zimy, na poniedziałkowym pańskim u Arendtów wieczorze ubawiłem się Sękowskim przedziwnie z zupełnym dla niego aplauzem. Anegdota warta być opisaną. Znalazł się u Arendtów ks. Aleksander Lubomirski, urodzony z Potemkinównéj, *simplex Dei amicus*. Nim się wszyscy zebrali i nim do kart i tańców młodzieży przyszło, siedzieliśmy w kółko, otaczając kanapę gospodyni domu, arcymiłéj Francuzki i wielkiéj przyjaciółki Polaków.

Bajdurzyliśmy o różnych rzeczach. Właśnie wtedy wyszło było z druku coś Sękowskiego. Lubomirski, chcąc swoje wsunąć trzy grosze, nasłuchawszy się gdzieś cudzego zdania, wszczął o tém rozmowę, ganił dzieło i samego autora najsilniéj, a mowę swoją do potakującego mu we wszystkiém i siedzącego obok sąsiada, obracał. Pani Arendt była na szpilkach! Kiedy się Lubomirski wygadał nakoniec, sąsiad ów przyjął podaną od gospodyni kartę i poszedł do wielkiego salonu grać w wista.

— Kto jest ten miły człowiek?—zapytał Lubomirski.

— To właśnie autor tego dziełka... To sam Sękowski.

Te częste a niekiedy wodwilowe spotkania zbliżyły nas bardzo do siebie.

Mickiewicz, Malewski, Chodźko śmieli się i kiwali głową.

Tegoż podobno roku Sękowski, już z pierwszą żoną rozwiedziony, ożenił się powtórnie z zakochaną w głowie jego baronówną Rall, córką sławnego kiedyś a upadłego już wtedy bankiera dworu. Chociaż się nazywał upadłym, jego ubóstwo nieledwie na innych bogactwo można

było zamienić. To, co zostawało, właśnie dawało ideę, co to być musiało, kiedy się nazywał bogatym!

Wówczas, jak już wszystkich opłacił i dom swój zamknął i biédnym był, miał jeszcze „500 dusz luźnych", płacących mu podatek za pozwolenie wolnego służenia po mieście, miał fabrykę sławnego papiéru, miał ogromny dom murowany na „kapitalném" w Petersburgu angielskiém nadbrzeżu i ze dwanaście „dacz", to jest will do najęcia za miastem. A w piwnicach, suterenach i na poddaszach mnóstwo malowideł, kosztowności, win i t. d., które się już tam walały, jak błoto, zarzucone bez żadnego porządku. Ale warto powiedziéć wprzódy słów kilka o pierwszéj żonie Sękowskiego.

Pierwsza pani Sękowska należała widać do tego rodzaju kobiét, które z jakiegoś wrodzonego instynktu przekładają stale jeden stan mężczyzn nad drugi. Kto dobrze obserwował chodząc po świecie, a szczególniéj kto z pozycyi swojéj wchodził w sekrety rodzin, nie mógł czasem téj monomanii nie widziéć, nie mógł nie dostrzedz, że są kobiéty wyższéj nad gminną sfery, co nie wiedziéć dlaczego, prosto z natury i usposobienia swojego, przenoszą nad wszystko naprzykład patrzéć na księży; inne — na prostych żołnierzy; innne — na furmanów; inne — na lokajów. Otóż właśnie pani Sękowska na tych ostatnich najszczególniejszém patrzała okiem. A miała na nich prawdziwy urok *mauvais oeil!* Jak popatrzyła na którego z nich kilka tygodni, chłop jak dąb nie wart był potém głodnego szczura, wysuszył się jak trzaska! Już po rozwodzie z Sękowskim ks. Ignacy Lubecki, wróciwszy z Wilna do Petersburga z dawnym swoim lokajem, Ludwikiem, przed rokiem jeszcze, jak lew, jak żubr, silnym i barczystym, a jak niedźwiedź po twarzy zarosłym mężczyzną, żalił mi się, że się lęka, żeby biédny Ludwik z konsumpcyi nie zamarł i pod sekretem powiedział, że pani Sękowska, mieszkająca w Wilnie właśnie w domu Ignacego Lubeckiego, tak szkodliwém okiem na tego biédnego człowieka wpłynęła!... A i przyczyna jéj rozwodu taka: U Sękowskiego był lokaj Józef, tęga sztuka. Raptem coś zaczął schnąć, kaszlać, cherlać i kaprysić. Ale go Sękowski lubił, wszystko na chorobę składał i oddalić nie chciał. Raz wróciwszy z jakiegoś egzaminu, na który był zaproszony, spotkanym został u drzwi przez żonę łzami zalaną. „Patrz, mężu, do czego u ciebie już doszłam! Wszak to twój Józef w twarz mnie uderzył!" Mąż, struchlały, woła zuchwalca.

— Łotrze, co to ma znaczyć!

— A co, panie? dałem jéj w pysk i dobrze zrobiłem! Zemściłem się i za pana i za siebie! A wszak ta szelma pokoju mi swoim wzrokiem nie dała! Każe ustawicznie patrzéć i patrzéć na siebie! Zobacz

pan, oto zrzucam surdut, widzisz pan tę chudzinę? a czy taki ja byłem? a kto temu winien, kiedy nie ona! i t. d. i t. d.

Mąż nie odpowiedział ani słowa, ale natychmiast rozstał się z żoną i rozwód prowadzić zaczął, na tę ją tylko kondycyę wyzwawszy, żeby mu pani Sękowska nie *im*, ale *praepotentiam* w konsystorzu zarzucała. I na téj właśnie kanonicznéj przyczynie, jak powszechnie mówiono, cały jego rozwód oparty. I tu nie bez szatańskiego pazura!

Sękowski przez powtórne ożenienie został tedy zięciem barona Ralla ośmdziesięcioletniego, pełnego światła, powagi, maniery, ślicznego, białego jak gołąbek starca. Rall stracił swój ogromny fundusz przez swawolę jednego z synów swoich, którego niezaprzeczonym zdolnościom, a co gorzéj młodości i cnocie, niebacznie zaufał, sam już wszystkim interesom domu wydołać nie mogąc. Dał mu księgi i w zastępstwie za siebie podpisywać weksle pozwolił. Jakże się raptem kawaler za gorsetem i kartami żwawo rozpędził, powydawał i takie weksle, których do księgi lękał się wciągnąć. Wróciły one swoją drogą do starego barona—oczywista, zaprzeczył im. Rozeszło się, że po Europie chodzą fałszywe papiéry barona Ralla. Brać jego wekslów lękano się. Kredyt upadł.

Ale w Rallu było coś innego, co mnie o nim tutaj wspominać zniewala. Była w nim osobliwość osobliwości; była to bezprzykładna, najgodniejsza podziwu, niesłychana, niewidziana popędliwość i pasya, któréj ani wielce staranne, jak po wszystkiém widać było, wychowanie, ani wiek już tak podeszły, ani cierpienia ciała uhamować w żaden sposób do saméj śmierci nie mogły. Proch nie tak się prędko zajmuje i wybucha, race kongrewskie mniéj dokazują. Tysiące najosobliwszych o tém chodziło anegdot; a i to, co i ja sam nieraz widziałem, było także dobre, było wcale nie lada! Jak szedł po pokoju, najlepszy, najmilszy, najsłodszy, byleby tylko choć krzesła gdzie nie na miejscu dostrzegł, żeby tam było tysiąc obcych osób, rozwrzeszczał się, rozmachał konwulsyjnie, nożem, szczypcami, krzesłem, czy co miał pod ręką, na ludzi ciskał! Raz naprzykład w epoce całéj swojéj świetności, kiedy wszystko co tylko było także najświetniejszego u dworu, czcząc złotego cielca, cisnęło się do jego salonów. Rall dawał wielki obiad dla ambasadorów i ministrów. Chciał, żeby była zupa żółwiowa. Goście, mężczyźni i damy zasiedli. Rall spojrzał na swój talérz, spostrzegł, że inna zupa; rozdąsał się w mgnieniu oka i jak targnął za obrus w impecie, wszystko zrzucił ze stołu; oblał, oparzył zupą gości swoich; butelki, kandelabry, frukta, wazony i co tam tylko było na nich wywrócił i sam z jadalnéj sali się wyniósł! Na pięć minut przed śmiercią, a umiérał z marazmu starości, jeszcze podnoszącemu go lokajowi dwa razy wy-

ciął w policzek! Były to prawdziwe paroksyzmy wściekłości, szaleństwa. Można sobie wyobrazić, co wycierpiała dobra, szanowna, poczciwa staruszka, żona jego, przez czterdziestoletnie z nim pożycie! Zacna ta dama przeżyła go pomimo ciągłego cherlania i chorób wieku i pomimo tego, że co godzina była i żyła w śmiertelnéj trwodze, żeby mąż kogo nie zabił na miejscu! Wyjechała potém na odpoczynek wdową już zagranicę. A tak zawsze na mnie była łaskawą, że, mieszkając w Mannheimie, umyślnie przyjechała do Heidelberga, żeby się ze mną zobaczyć.

Sękowski, oprócz gruntownéj nauki w wielu gałęziach wiedzy, był niepospolity, nadzwyczajny językarz. Posiadał dobrze wszystkie główne wschodnie i europejskie języki, nieco po chińsku, dobrze po grecku i nowogrecku; znał skandynawski idiomat, łacinę i wiele słowiańskich narzeczy. Tym jednak językiem, który i najlepiéj posiadał, m ó w i ć zawsze mu trudno było. Jakże wziął pióro do ręki, w każdym języku szło mu wszystko jak po maśle. Po Wolterze nie wiem czy znalazł się człowiek, coby miał tyle, jak Sękowski, sarkastycznego dowcipu. Wszystko, co kiedy napisał, pełném jest tego. Sypał ironią, jak z rękawa. Dosyć tylko przeczytać od r. 1834 do 1842 kronikę bibliograficzną *(Literaturnaja letopiś)* w jego dzienniku, póki on sam ją pisał, żeby zobaczyć, kto to widzićć umié, jakie to tam morze najpocieszniejszych a różnokształtnych ucinków, aluzyi, żartów i drwinek... Nie wszyscy go byli w stanie zrozumiéć, ale go się wszyscy literaci rosyjscy lękali jak ognia. I choć go czasem spólnie znienacka skubnęli, cichaczem drasnęli, to zaraz tak się sami panicznie strwożyli, że biegli nadskakiwać mu i jakkolwiek odwrócić grot zemsty, którą on najczęściéj w jednym tylko wierszu, owszem — w jedném słowie zamykał, ale tak morderczą, że pamięć jéj zostawała u wszystkich na długo. Grecz, jadowity, dowcipny i języczny kalamburzysta, którego wszyscy w Petersburgu się bali, sam drżał przed Sękowskim jak listek. Bułharyn — toż samo; i najczęściéj szyli tylko pod nim pokątnie.

Wiem dobrze, że dowcip stosownie do epoki jest bardzo względny; że sól jego zależy od ducha czasu, wyobrażeń, zwyczajów i obyczajów społeczeństwa, tak, że to, co w jednym czasie ludzi śmieszyło, bawiło, w drugim — więcéj niż nudzi. Wiem, że najdawniejsi i najdowcipniejsi autorowie, od których konceptów Grecy i Rzymianie boki sobie zrywali, dzisiaj najmniejszego nie wywołają uśmiechu, że sławny dowcipnik i mędrzec Erazm Rotterdamski, który cały świat kiedyś i uczył i bawił, dziś jest trudnym do strawienia nudziarzem. Zdaje mi się jednak, że dowcip Sękowskiego długo jeszcze będzie dowcipem.

Zarozumienie i literacka duma tego człowieka przewyższały bardzo jego wielkie zdolności. Dosyć było sprzeciwić się mu w czémkolwiek, żeby go natychmiast na siebie oburzyć. A choć czuł, że winien, nie miał siły siebie zwyciężyć. Raz naprzykład przychodzę do niego i znajduję go nad świéżo wyszłą jakąś tam książką o Ormianach, czy o Armenii, któréj krytykę zaczął już pisać. Czytał mnie kilka ustępów, ale najdowcipniejszy, jak mówił, zachował mi na koniec. Położył tedy książkę i pismo swoje na stole, chcąc mnie uprzedzić o treści tego ustępu, i powiada: „Nie wiész, co to są u nas za mędrcy, czego ci nasi autorowie nie wykoncypują! pewno, nie domyślisz się nigdy, że u nich Pan Jezus i pisał i odbiérał listy, gotowi nawet nazwać ówczesne pocztowe kantory!” Ja, żem coś o téj tradycyi przed kilkunastu laty przypadkiem czytał i to sobie zanotował w pamięci, rzekłem: „I owszem, wiem o tém, jest podanie, że Abgar, król Edessy, pisał do Chrystusa i odpowiedź Jego otrzymał”. Jakbym Sękowskiemu w ten moment kijem dał po boku! Zmarszczył się, do seksternu nie wrócił, wyszedł ze mną z gabinetu, w najgorszym był humorze, tak że nie znalazłszy środka rozweselić go, pożegnałem dziwaka. A to wszystko dlatego tylko było, żem nie chcąc, miłość własną jego obraził; że może być ktoś co wié to, czego on nie wiedział! A przytém łączył się i żal, że krytyka i dowcip jego, na tym właśnie artykule najsilniéj oparte, w łeb przezemnie wzięły i że cały koncept w seksternie zamrzéć z mojéj łaski musiał.

Lubo cierpiéć nie mógł Polaków i zawsze gdzie mógł i źle o nich mówił i łatkę im przypiął, a nawet będąc wizytatorem szkół białoruskich, pierwszy on w opinii swojéj tak nazwany katolicyzm polski i orzekł, i tak na stół rządowy położył, że go potém wszędzie ze zgubą i ludzi i rzeczy szukano, lubo gorzéj jeszcze nienawidził Polki, mając może niejakąś i racyę z uwagi na pierwszą żonę, chciał jednak zrazu pisać po polsku wszystko to, co potém w innych językach napisał; wziął nawet na siebie redakcyę „Bałamuta”, pisma satyrycznego, zaprowadzonego w Petersburgu przez A. R.; umieścił tam kilka przedziwnych artykułów, a szczególniéj „Żywot i peregrynacye Pana Trystejki”, ale żadnego stąd nie miał zysku. Z naszych księgarzy żaden niczego i darmo drukować nie chciał. Wytłómaczył tedy to samo na ruskie i za kilka arkuszy téj pierwszéj próbki księgarz petersburski, Smirdin, zaliczył mu natychmiast 10,000 rs. asygnacyami! Odtąd wpadł już na myśl wziąć z polskim językiem zupełny rozbrat, a nawet starał się go zapomniéć, żeby polonizmów do pobratymczego nie wnieść języka. Co odtąd pisał, było albo po rusku, albo po francusku. A na ostatek w r. 1834 on pierwszy zaprowadził najlepszy rosyjski dziennik

„Bibliotieka dla cztienja", którego wydaniu cały się poświęcił i do reszty sobie kości wysuszył, siedząc nad nim dzień i noc w „kasawejce" [1]) żony i smaląc bez miłosierdzia cygara. Jak tylko *żurnał* jego pomyślnie iść zaczął, Puszkin, Grecz, Bułharyn i mnóstwo innych spiknęli się na niego, ale on im wszystkim zaraz dał radę.

Sękowski, jakem już wyżéj powiedział, w Wilnie marnotrawny, w Petersburgu zupełnie zachorował na „pana"; trzymał piękny ekwipaż; wchodziłeś do niego jak na bal; sień i schody doskonale opalane, zimą i latem całe były ostawione najpiękniejszemi, wonnemi kwiatami; meble wykwintne i bogate, bilard, rezerwoary wody na strych sprowadzone dla wygody domu, obok sypialnego pokoju wymyślne wanny; wszędzie pyszne kobierce, ogień na wszystkich paradnych kominkach; stół wykwintny, smaczny; wina stare i wyborne. W tém ostatniém pomódz mu zapewne musiały od lat kilkudziesięciu zarzucone i zapomniane w suterenach starego Ralla butelki, które Sękowski za życia jeszcze teścia *incognito* do swojéj przeniósł piwnicy. Tym sposobem widziałem i kosztowne bardzo dzieła, których sama oprawa po kilka dukatów za tom ceniona była, pierwéj w szafach starego barona, potém na podłodze w gabinecie zięcia.

W obejściu się Sękowski nie miał nic ani uprzedzającego, ani szorstkiego, ani odznaczającego się czémkolwiek. Na dawanych przez niego wieczorach i sam i żona jego mało mówiący więcéj jakoś gości nudzili, niż rozrywali. Ale ci, co chcieli zjeść i wypić smaczno, narzekać na wieczerzę gospodarza nie mieli nigdy powodu! Rzadko jednak było, żeby i w konwersacyi kogo z obecnych nie ukąsił, albo przynajmniéj nie ukłuł, czy skiełzem, czy prosto w oczy. Pochodziło to stąd, że przyjaźń, miłość, nadzieję, o jakiéj marzył, słowem wszystko na ten moment gotów był poświęcić, byleby tylko złośliwy koncept, jaki mu na kogo na myśl wtenczas przyszedł, mógł natychmiast z siebie na świat wyślinić, wypienić. A że częściéj pisał, niż mówił, a to co napisane mniéj więcéj zostaje, stąd pisma jego pełne są takich do najlepszych jego przyjaciół zastosowanych jadowitych przymówek i żartów. W tém zdaje mi się, że ani żonie, ani rodzonemu ojcu by nie darował. Wątpię nawet, żeby w duszy swojéj rzeczywiście był do tego stopnia złym, jak się wszystkim wydawał i wydaje! Bodaj czy nie próżność była prawdziwą matką tego wszystkiego!

---

[1]) „Kasawejka" — rodzaj szerokiego z aksamitu lub atłasu lekkiém futrem podbitego kaftanika, z rękawami uciętemi po łokieć; kładzie się zwykle na suknię w pokoju i dziwnie każdą kobiétę idealizuje i zdobi w jéj materyalnych zaletach. Moda unarodowiona w Rosyi, a kiedyś przeniesiona z Holandyi.

Okoliczność, która wszystkie moje z nim stosunki najniespodziewaniéj nazawsze zerwała, da najlepszą ideę, jak ten człowiek nie miał nad sobą mocy, żeby najniewinniéj i pomimo ludzkiéj wiedzy zadartą zarozumiałość swoją uhamować jakkolwiek, a co gorsza, da miarę, jak się zaraz za to szkodliwemi umiał mścić drogami.

Była pierwsza od założenia Petersburga wystawa sztuk pięknych w stolicy. Cały świat o tém tylko mówił. Był to téż razem kulminujący moment téj wielkiéj ogólnéj niechęci, którą Rosyanie mieszkającym w Petersburgu Polakom, dlatego tylko że Polacy, w każdém zdarzeniu okazywali..., delacyi było mnóstwo; najszczęśliwszym ich skutkiem było, kiedy komu we 24 godziny miasto opuścić kazano. Widząc się gdzieś w owym czasie z panią Sękowską, któréj rodzona siostra była za profesorem akademii sztuk pięknych, Brulloffem, prosiłem ją, żeby biorąc dla siebie bilety wejścia na wystawę, nie zapomniała i o mnie. Tymczasem tegoż dnia z innéj zupełnie strony przysłano mi aż trzy bilety. Użyłem ich natychmiast; zwiedziłem obszerne akademii sale i, jak zwyczajnie w początkach podobnych próbek, nie znalazłem tam nic prócz dwóch czy trzech malowideł jakiéjkolwiek godnych uwagi. Sękowska, nie wiedząc żem już tam był, napisała w parę dni do mnie, wzywając mnie na dzień następny z sobą i całą familią na tę wystawę. Podziękowałem i doniosłem, że już tam trzy razy byłem i że na ten raz mam już tego dosyć. Nazajutrz był duży, proszony wieczór w domu pewnego Rosyanina, bardzo wysokiego urzędnika państwa, gdzie Sękowscy czasem bywali, jako znajomi, a gdzie ja ledwie nie co dzień bywałem, bo zacni staruszkowie gospodarze lubili mnie oddawna, jak krewnego, jak własne dziecko. Przyjeżdżam, znajduję już Sękowskich. Sam Sękowski bierze mnie natychmiast pod rękę, sadza w oknie i daléj mnie rozpytywać się o wystawie. — Odpowiadam, że mi się tam nic nie podobało.

— Ale to?

— Nic warte.

— A to?

— I to nie lepsze.

— A ten pejzaż?

— Wart tamtych dwóch.

— A toż, czyż nie arcydzieło?

— Żartuj zdrów!...

Tymczasem zaczęło się robić powoli około nas kółko słuchaczów i coraz więcéj rosło. Raptem Sękowski najniespodziewaniéj rozdąsany, z największém zadziwieniem mojém zrywa się z krzesła i obracając się do słuchaczów, powiada głośno: „Niech się panowie nie dziwią, bo

pan Morawski należy właśnie do téj koteryi Polaków, którzy wszystkiém co ruskie pogardzają i wszystko co ruskie ganią!" Myślałem, że zwaryował. Gospodarze struchleli. Bo jaki tego mógł być skutek, gdyby którykolwiek z tych słuchaczów wystąpił z delacyą! Na szczęście innego tam łotra oprócz Sękowskiego nie było! Odpowiedziałem mu, ile mogłem najzimniéj: „że zapewne nie zastanowił się nad tém, co powiedział, ale że jeżeli mowa o koteryach już być ma, to może być pewny, że od tego momentu ja będę względem niego należał do téj wielkiéj koteryi Polaków, która jego sercu oddawna zupełną, jak teraz widzę, sprawiedliwość oddaje." Ukłoniłem się i odszedłem. To były ostatnie słowa, które do niego wymówiłem w życiu.

Generał podszedł do Sękowskiego z wymówką, że w jego domu charakter delatora na siebie przybiéra. Wyniósł się stamtąd natychmiast, podkurczywszy ogona, jak kundel co kąsa cichaczem. Generałowa podobnyż duser powiedziała żonie. Biédna, poczciwa Sękowska, moja zawsze najlepsza i szczera przyjaciółka, widząc jak ich dom co dzień puścieje, jak żółć i złośliwość męża co dzień z ich znajomości kogokolwiek oddala, długo różnych używała sposobów, ażeby nas znowu zbliżyć do siebie, — ale napróżno. Po takiéj lekcyi nie dałem się! Wyraz szarady jego gniewu, którego odgadnąć nie mogłem, jak mi potém żona jego mówiła, był taki: Sękowski właśnie, wyjeżdżając już na ten wieczór, dokończył długi artykuł do dziennika swojego, w którym wszystkie malowidła, wszystkie pastisze i kruty wystawy niepomiarkowanie chwalił; o tém wszystkiém, rozumié się, ja z żadnego względu wiedziéć nie mogłem; zdanie więc moje, wbrew zdaniu jego artykułu, przeciwne oburzyło go do tego stopnia, że nie miał czasu nawet zastanowić się nad tém, że ja, nic zgoła o piśmie jego nie wiedząc, mówię z nim jak o rzeczy obojętnéj, a zgoła bez celu obrażenia go w jakimkolwiek sposobie, — któż go na przyszłość w podobnych rzeczach mógł zgadnąć! Już mi on był dawniéj jeszcze, na rok czy na parę lat przedtém, łepskiego także wypłatał figla. Zastał on mnie raz u ministra Turkułła i śród rozmowy powiada mu: „Namów pan dobrodziéj Morawskiego, żeby téż cokolwiek pisał do mojego dziennika! Cóż on na tém straci? A ja jeszcze jako redaktor ręczę, że za każdy arkusz druku po 200 rs. asygnacyami miéć będzie." Tłómaczyłem się, że nie piszę tak jak wypada po rusku. „O to tylko idzie? pisz sobie po polsku, ja sam wytłómaczę wszystko! Zgoda?

— Zgoda.

Nim wrociłem do siebie, już mi przysłał kilka ksiąg z biletem wymagającym, ażebym sobie jedną z nich wybrał dla napisania recenzyi. W tym zbiorze była książeczka o wodach mineralnych sztucznych

w Petersburgu, wydana przez intryganta i szachraja z Warszawy, niejakiego Mejera, wysłanego z hr. Skarbkiem dla obejrzenia szpitalów petersburskich i zaprowadzenia takichże w Warszawie. Wlazł on jakoś do ministra finansów Kankryna, rozpalił mu głowę projektem towarzystwa na akcyach dla wód mineralnych. Przy takich plecach i protekcyi towarzystwo zaraz stanęło, — on książkę o tém wszystkiém wydał. Wziąłem się więc za krytykę téj całe miasto podówczas interesującéj rzeczy, a wierząc jak doświadczenie zaraz potém pokazało, że kuracye wodami sztucznemi w Petersburgu z każdego powodu są wierutnym nonsensem, cały ten projekt w recenzyi mojéj, lekko dla wszelkiego stanu czytelników napisanéj, należycie zbłaźniłem. Była to, jak mówią, podówczas palpitująca dla stolicy kwestya. Sękowski wytłómaczył wszystko natychmiast, a nawet list mój z tego powodu do niego pisany do samego artykułu w rodzaju przedmowy wcisnął, pieniędzy jednak obiecanych ani grosza nigdy nie dał. Ale mi dał słowo honoru, że w żadnym razie nikomu imienia autora nie wyda; spodziéwałem się bowiem, że ten artykuł jakąkolwiek wywoła burzę. Przez dni kilka miałem tę przyjemność, że cały Petersburg nad tém błazeństwem unosił się i chwalił, — nie wiedząc, kto to napisał, w oczy mi o tém ciągle gadano. Mejer mój, zbity z tropu, chodził z długim nosem po same kolana. Ale odezwała się w nim naturka; dawajże żalić się przed Kankrynem, że cała spekulacya w łeb wzięła, że piekielny wyszedł o wodach sztucznych artykuł, że trzebaby koniecznie zdrajców ukarać. Kaukryn tak napompowany, udał się do cesarza i rzecz źle przedstawił. Kazano śledzić autora. Sękowski, jeszcze urzędownie nawet nie zapytany, wydał mnie przed różnemi osobami natychmiast, a, co lepsza, niepomny na dane słowo honoru, sam mnie o tém uwiadomił i, że razem ze mną i cenzorem czeka mającego na nas spaść aresztu, doniósł. Szczęściem, dowiedział się o tém przypadkiem minister oświecenia, hr. Uwarow, sam z siebie pojechał do cesarza, rzecz w przyzwoitém świetle wyłożył i mające już wyjść rozkazy tym sposobem wstrzymawszy, dał wiedzieć Sękowskiemu, żebyśmy wszyscy troje byli o to zupełnie spokojni.

Wiadomo, jak wiele język rosyjski winien Sękowskiemu, więc powtarzać tego tutaj nie będę. Jakkolwiek tego człowieka nie można, niepodobna było długo lubić, jako człowieka, boś zawsze z nim na jakiś sęk, albo na kolce natrafił, będę jednak zawsze z ochotą czytał jego pisma, bo on jest przedziwny, bo się od każdego przedmiotu, który traktuje, oderwać nie można, tak najsuchszemu z nich przyjemną nadać umié barwę! Największą jego zaletą w pisaniu przy gruntownéj nauce i logicznym porządku myśli jest usunięcie wszelkiéj pedanteryi i umiejętność zacho-

wania tego, tylko dobrym smakiem dającego się uchwycić środka, który w saméj uczoności, w samém zaciekaniu się głębokiém nad rzeczą trafia zawsze wszystko ożywić, wszystko łatwym do pojęcia a pełnym dowcipu i gustu wyłożyć sposobem. Ręczę, że, gdyby pisał o dębowéj trzasce, i tu jeszcze sosem *à la dinde truffée* potrafił by ją zaprawić i miękką a smaczną zrobić.

Że tedy Sękowski był i jest niepospolitym człowiekiem, tego mu nikt sprawiedliwy ze współczesnych nie ujmie. Szkoda tylko, że głowa i serce jego rozstajnemi chodziły drogami! Poczciwy, święty, anioł w ludzkiém ciele, Oleszkiewicz, który nic nigdy złego o bliźnim nie wymówił, nazywał Sękowskiego zawsze Izmaelitą, o którym w Piśmie powiedziano jest: „że namioty i obozy przeciw wszystkiéj braci swéj stawić i wytykać będzie". Do tak dziwnie trafnego i mądrego orzeczenia, które nasz pobożny mistyk w natchnieniu wymówił, jeszcze każdemu z nas i ta się nastręczała uwaga, że właśnie Sękowski, Polak nauce wschodnich języków oddany i gruntownie je znający, po arabsku, to jest po izmaelitańsku, jak rzepę gryzł i śmiało za Araba mógłby uchodzić!

Jest u naszego ludu podanie, że wąż, król wężów i gadzin litewskich, ma osadzoną i ubraną głowę najdroższemi klejnotami, iskrzącemi się jak słońce. Ten myt urzeczywistnił i uosobił w sobie Litwin Sękowski.

Dodajemy tu dwa listy, które Sękowski pisał do Morawskiego, szkoda, że nie datowane.

I.

Najlepszy, najpoczciwszy, najszlachetniejszy, najdroższy panie Stanisławie, medycyny i chirurgii doktorze i przyjacielu! Co to znaczy, co słyszę, co mi powiadają! Mam-że płakać? mam-że się radować? Mów, powiadaj, wytłomacz, okrutniku! Dowiaduję się, że wyjeżdżasz z Petersburga: kiedy? dokąd? na jak długo? dla jakich przyczyn? Bądź łaskaw, objaśnij mi to wszystko. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, zmiłuj się—obacz się z nami przed odjazdem: myśmy już w mieście. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, ustąp mi choć swoje mieszkanie: ja wezmę je natychmiast. Opowiédz mi szanowny przyjacielu, co to wszystko znaczy, i oddaj mi swoje mieszkanie, jeśli koniecznie musisz wyjechać: jedna dama, ładna i miła, jak cherubin, któréj wcale nie znasz, była rozkochana w tobie i chce mieszkać

w twoich pokojach, żeby ciebie opłakiwać wygodniéj i czuléj. Ja wczora w nocy przyjechałem do miasta i byłbym dzisiaj już u ciebie, żeby mię głowa nie bolała. Pojutrze nieodbicie stawię się u ciebie, jeśli nie obaczymy się do tego czasu. Tymczasem daj mi odpowiedź o mieszkaniu, bo ta dama umrze... z rozpaczy, jeśli nie będzie mogła żyć w tychże ścianach, gdzie mieszkał *ce beau monsieur, si blanc et si blond.*

Poniedziałek. *Sękowski.*

II.

No, to ja jestem kiep, dureń, szlachcic, — padam na kolana przed tobą i proszę twego przebaczenia. Jestem w rozpaczy, żem ciebie obraził, żem twoją delikatność obraził. Nigdy tego nie miałem w zamiarze. Twój list, tak niepodobny z tonu do naszych przeszłych związków, listownych i osobistych, zdziwił mię do tego stopnia, żem rozumiał, iż chcesz jasno dać mi uczuć swoje nieukontentowanie i oziembłość ku mnie. Daję ci słowo honoru, żem tak rzecz zrozumiał, a ponieważ mnie już znudziły te nienawiści i te uprzedzenia, które dotąd zawsze pokrywałem milczeniem, będąc imi zewsząd otoczony, sądziłem przeto, iż to nie będzie obrazą delikatności, jeśli tak odpowiem temu, który zadzierając moją delikatność, oczywiście nie chce, abym mu odpowiadał inaczéj. Jeszcze raz proszę ciebie, daruj mi wspaniałomyślnie, a jeśli chcesz zrobić sobie satysfakcyę, kup kij, przyjedź do mnie i wybatoż mnie, bo widzę, żem dureń. Pierwszy raz w życiu wyraziłem drugiemu człowiekowi, że czuję jego oziembłość i omyliłem się na nieszczęście. Dotąd miałem za prawidło ku tym, co chcą mię obrażać — milczenie najgłębsze: niech się cieszą myślą, że obrażają; ja nie dostrzegam ich, ni ich obraz. Powiem ci prawdę, żem wiele razy dostrzegał w tobie ślady kwasu, który zaraża naszych rodaków we względzie do mnie, i nie dawałem temu żadnego znaczenia, będąc przekonany, iż człowiek może być bardzo zacny i szacowny, chociaż mnie w sercu nie lubi, i że ja mogę kochać go jak szacownego człowieka, nie zaglądając w jego tajemne myśli. Sądząc z suchego tonu dzisiejszego listu, rozumiałem, żeście coś nowego do mnie upatrzyli i że to przemieniło zupełnie ciebie, że nie chcesz być więcéj znajomym ze mną. Po przeczytaniu listu, powiedziałem sobie: *Et tu, Brute, contra me?* Byłem bardzo zmartwiony, szczególnie stąd, iż jak mi się zdawało, chciałeś mi pokazać swoją nieprzyjaźń, i pomyśliłem: Ot ma co mi mnie pokazywać! Jeśli chce być moim nie przyjacielem, to mógłby być

nim, nic mi o tém nie mówiąc; ja mogę zostać jego przyjacielem, także nic mu o tém nie mówiąc.

Lecz dosyć tych eksplikacyi. Ja objawiam siebie winowajcą kryminalnym za obrazę dobrego przyjaciela: masz pole pokazać swoją wspaniałomyślność ku mnie, lub swoją surowość. Wybierz to, co ci serce będzie dyktowało.

O *Revue Encyclopedique* nic nie wiem; ja nie trzymam tego dziennika, bo jest waryacki. Może i ustał: wszystkie dzienniki paryskie zbankrutują. Bellizard powiadał mi wczoraj, że *Revue des deux mondes* nie zyskuje ani grosza, a *Revue de Paris* co rok traci i utrzymuje się ze składek.

Rękopism twój odsyłam: pozwól mi jeszcze raz wynurzyć moją wdzięczność za artykuł: on był wyborny i ja po przeczytaniu jego byłem tak zachwycony, żem powiedział żonie: *Ma foi, Morawski est un homme et d'esprit et de talent et je suis tout étonné de voir une pièce aussi bien écrite et avec tant de verve.* Zapytaj się u mojéj żony: ona powié ci najlepiéj prawdę, gdyż ona nie umie skłamać nawet kiepskiego komplementu, i ja nie mogę jéj nauczyć do téj pory powiedziéć coś grzecznego, kiedy to, co ona ma powiedziéć, nie zgadza się z prawdą. Gdybyś ją znał bliżéj, przekonałbyś się, że są jeszcze serca niezepsute i zupełnie w tym stanie, w jakim je stworzyło przyrodzenie. Mówię ci rzetelną prawdę: kiedy ją obaczysz, zapytaj się u niéj, com mówił z nią o twoim artykule; ręczam, że ona nie skłamie, nawet przez przyjaźń dla mnie.

Sękowski.



REALIZM A NARODOWOŚĆ
W SZTUCE.

Dr. Jerzy Mycielski. „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce.“ Kraków, 1897, str. 737.

I.

W roku 1857-ym ukazała się w „Wiadomościach Polskich" praca Juliana Klaczki o malarstwie polskiém, w któréj sędziwy już dziś publicysta i estetyk zapowiadał, że sztuka plastyczna nigdy się u nas nie rozwinie, że do niéj nie mamy uzdolnień wrodzonych, ani przyjaznego otoczenia fizycznego. Były to przewidywania i racye stylowo świetnie wysłowione, ale niemal wyłącznie oparte na hypotezie niezwykłego jakiegoś naszego posłannictwa w rodzinie ludów europejskich, osnutego na rozkwicie poezyi polskiéj w okresie Mickiewicza. Idea mesyanizmu olśniła krytyka i, wystawiając na szwank jego przenikliwość, podsunęła mu pewną ilość rozumowań i dowodów, które nie powstrzymały wprawdzie narodzin naszego malarstwa, lecz niemało się przyczyniły do ugruntowania i wzmocnienia w opinii publicznéj wielu mylnych lub mętnych wyobrażeń estetycznych.

Tymczasem, jak gdyby umyślnie dla zadania kłamu „prorokowi”, w chwili nieledwie, kiedy znakomity pisarz, puszczał w świat swój artykuł,—dwaj młodzieńcy uczyli się właśnie, wśród najskromniejszych o swych zdolnościach wyobrażeń, rysować i malować. Twórcy malarstwa polskiego, A. Grottger i J. Matejko mieli wtedy—jeden lat 20, drugi 19; Grottger pracował w wiedeńskiéj Akademii, Matejko pierwsze swe, dziecinne niemal obrazy malował, wieczorami zaś marząc na rynku krakowskim, myślał o swéj podróży na dalszą naukę do Monachium. W lat pięć potém niespełna, obaj puścili w świat swoje pierwsze, potęgę przyszłéj twórczości napewno już zapowiadające dzieła; to zaś, co potém stwarzać mieli, wraz z utworami całéj plejady współcześnie z nimi pracujących artystów, utrwaliło już dziś istnienie téj gałęzi sztuki polskiéj i postawiło ją na poczesném miejscu w Europie. Malarstwo polskie, zupełne już i prawie wszechstronne, powstało tedy niezawodnie wkrótce po r. 1860, i dziś ze śmiercią obu jego twórców, Grottgera i Matejki, pierwsza wielka epoka historyi malarstwa polskiego jest zamknięta; rozpoczęła się odmienna w wielu względach druga...

A jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli historya samodzielnego malarstwa polskiego zaczyna się dopiéro około roku 1860, zachodzi pytanie, jakie znaczenie ma okres poprzedni, dopełniać mający okrągłą liczbę lat stu, zaznaczoną w tytule pracy d-ra Jerzego Mycielskiego? Odpowiada na to autor, że wobec świetnych rezultatów, osiągniętych przez malarstwo polskie w ciągu ostatnich lat trzydziestu pięciu, nieodzownem stało się dokładne wyświetlenie kwestyi, jaki był stan sztuki malarskiéj w Polsce bezpośrednio przed tą świetną jéj epoką? skąd ona się wzięła? na jakim gruncie poprzedzających epok artystycznych wyrosła? co ją i jak przygotowało? Słowem, gdy się zamknął matejkowsko-grottgerowski okres naszéj sztuki i gdy już zwolna o jego zbadaniu i ocenieniu artystycznem może być mowa, stanął po raz pierwszy problemat stworzenia historyi malarstwa w Polsce, która dotąd nieledwie całkiem była białą kartą i która do zrozumienia produkcyi narodowéj ostatnich lat trzydziestu jest konieczną, „bo przecież nic na tym świecie samo się nie rodzi i największy rozkwit wszelkiéj ludzkiéj twórczości ma zawsze bodaj jakiś najskromniejszy swój podkład, na który całe liczne dziesiątki lat pracy poprzedniéj często bezwiednie się składają.”

Tego to zadania podjął się autor z zupełną świadomością wielkich onego trudności i szkopułów. „Dzieje sztuk plastycznych w Polsce—powiada—to dotąd prawie zupełna *terra incognita*; materyały nowe

do nich ze względu na epoki najdawniejsze od niedawna w publikacyach Akademii Umiejętności się gromadzą, ale czasy nowsze, z najskąpszemi wyjątkami, nie rozporządzają substratem prawie żadnym, niejest się poprostu dotąd w możnośc podania ich obrazu w głównych bodaj zasryach; o wyczerpującéj zaś jego całości już nawet na razie nie marząc". Są wprawdzie, obok trzechtomowego Słownika malarzy polskich Edwarda Rastawieckiego, rozprawy wyborne, pełne ciekawych wiadomości i głębszych spostrzeżeń, ale oprócz tych kilku elementarnych danych i oprócz niedotkniętego prawie materyału artykułów luźnych, rozsianych po czasopismach a nawet dziennikach całego kończącego się stulecia, badacz tego przedmiotu, o woli bodaj najlepszéj, stał do niedawna przed niczém prawie, témbardziéj, że nie mając żadnych prawie wskazówek, dotyczących biografii i statystyki artystów, nie widział i często nie miał nawet pojęcia o najważniejszych bodaj ich dziełach. „Bez zobaczenia zaś chociaż kilku z nich na własne oczy, ani charakterystyki poważnéj o utworach malarskich, ani oceny ich słusznéj przedsiębrać niepodobna". Uzasadnione to troski. Szczęściem w r. 1894 nadbiegła im z odsieczą wystawa polskiego malarstwa we Lwowie. Dr Mycielski z nader miłém, bo szczerém i żywém uniesieniem kréśli przebieg projektów téj wystawy i jéj początków, których zasługę przypisuje trzem ludziom: Słanisławowi Witkiewiczowi „pierwszorzędnemu malarzowi krajobrazów i głębokiemu krytykowi najnowszego u nas malarstwa", Maryanowi Sokołowskiemu uczonemu i zasłużonemu badaczowi, którego działalność badawcza Europę całą i szerokie widnokręgi sztuki obejmuje", d-wi Janowi Bołoz Antoniewiczowi „profesorowi i miłośnikowi sztuk pięknych i przed wszystkimi innymi zasłużonemu inicyatorowi wystawy 1894 r." Prototypem pomysłów trzech tych ludzi stała się, jak i w wielu innych naszych przedsięwzięciach szerszego zakresu—Francya. „Ideałem—powiada autor — musiała tu być naturalnie wiekopomna wystawa retrospektywna malarstwa francuskiego ostatnich lat stu, która była jedną z wielkich chwał i zasług paryskiéj wystawy powszechnéj r. 1889, a która stała się tam owym potężnym, przez zdumione oczy zagranicy w zachwycie podziwianym obrazem całości produkcyi malarskiéj we Francyi od wielkiéj rewolucyi aż do rozwoju malarstwa w ciągu ostatnich lat dziesięciu". To samo w skromniejszéj formie i węższych ramach postanowiono zrobić we Lwowie; chodziło o zilustrowanie działalności artystycznéj każdego malarza (z okresu lat przeszło stu) najważniejszemi dziełami, a w braku możności ich uzyskania takiemi cho-

ciaż, które charakter twórczości artystów najlepiéj znamionują i niezbite ślady ich talentów noszą na sobie.

Podwaliną pracy d-ra Mycielskiego, jak to sam autor skromnie wyznaje, stał się „Katalog, owéj lwowskiéj wystawy sztuki polskiéj od r. 1764 do 1884, opracowany i wydany przez d-ra Antoniewicza, gruby tom o 384 stronicach tekstu i 24 str. wstępu z 3-ma indeksami i 75 ilustracyami przypominającemi niekiedy z „pełnią prawdy najcelniejsze na wystawie utwory". Nie wszędzie oczywiście p. Mycielski szedł niewolniczo w ślady d-ra Antoniewicza, jak to się zaraz na wstępie pokazuje, nawet i z podziału dziejów malarstwa polskiego na okresy. „Trzy epoki malarstwa polskiego – są jego słowa— na jakie je prof. Antoniewicz rozłamał, może raz na zawsze utrzymać się nie dadzą, druga zaś z nich niezawodnie na dwa jeszcze odrębne okresy rozdzielona być winna, ale szkielet wybornie zbudowany tej pierwszej historyi malarstwa w Polsce już zostanie, stanowiąc jedną z wielkich zdobyczy naukowych jego twórcy. Pierwsza epoka polskiego malarstwa nowożytnego—to czasy panowania Stanisława Augusta, okres prawie całkiem w sobie zamknięty, od r. 1765, kiedy Poniatowski po wstąpieniu na tron sprowadza z Wiednia Bacciarellego do Warszawy i tu na Zamku pierwszą szkołę malarską na wielką skalę otwiera, aż po r. 1795, kiedy po trzecim rozbiorze wytwórczość artystyczna epoki, o charakterze wybitnie cudzoziemskim, kosmopolitycznym, cechy swe zmieniać poczyna, a w nowych utworach młodych malarzy końca stulecia zjawiają się pierwsze przebłyski charakteru narodowego. Z rokiem 1795 otwiera się tedy epoka druga malarstwa u nas, okres zanadto długi, bo wedle prof. Antoniewicza lat 60 się ciągnący; okres ten, w nazbyt szerokie ramy przez autora „Katalogu" ujęty, stanowczo na dwie, prawie całkiem odrębne epoki rozłamać należy: od r. 1795 do 1831, i od 1831 r. do 1860.

Tym sposobem stuletnie dzieje malarstwa w Polsce rozpadają się u d-ra Mycielskiego na następujące cztery okresy: I-szy—epoka Stanisława Augusta, II-gi—epoka Księztwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, III-ci—epoka „prekursorów" wielkiego malarstwa polskiego, złożona z dwu części, przygotowawczéj (1831—1845), bezpośrednio przed Matejką i Grottgerem idącej (1845 — 1860); wreszcie okres IV-ty, składający się w książce z jednego tylko rozdziału (na ogólną liczbę czternastu), p. t. „Rzut oka na wielki okres malarstwa polskiego po roku 1860."

Różnorodną i wielce niekiedy rozbitą, prawie roztrzęsioną treść tej szachownicy podziałowéj nie łatwo ująć w ramy jednolitego sprawozdania. Usiłujmy jednak.

II.

W stosunku do Europy zachodniéj, słaby i niejako senny rozwój sztuk plastycznych w Polsce bardzo długi czas był wyłącznie naśladowniczym, znacznie opóźniał się w drodze za swojemi pierwowzorami zagranicznemi, lub też, podążając na oślep za prądami cywilizacyi zachodniej, hołdował im zazwyczaj niewolniczo. W opieszałym zaś i ociężałym tym pochodzie malarstwo wlokło się powolniej jeszcze niż architektura lub rzeźba.

Ogólna charakterystyka naszéj sztuki malarskiéj w jéj zawiązkach, w jéj początkowaniu, ulega, naturalnie, ciągłym i niemal stałym zmianom na lepsze — lubo nie bez przerw i luk znacznych; postęp dokonywa się w miarę, jak wpływ zagraniczny rozszczepiony na dwa bieguny, f a c h o w y i p o m y s ł o w y, zwiększa się i potężnieje w pierwszym z dwu tych zakresów (fachowym), zmniejsza się zaś i słabnie w drugim (pomysłowym), nie znikając całkowicie nawet w okresie czwartym, matejkowsko-grottgerowskim.

W wieku XV skromna szkoła cechowa malarzy krakowskich wydaje cały szereg religijnych obrazów o typie najpierw niemieckiéj szkoły kolońskiéj; naśladuje następnie wielkich staroflamandzkich mistrzów, zachowując w ciągu tego politycznie tak wielkiego w Polsce stulecia zaledwie drobne jakieś odcienia twórczości narodowéj, przy długo w niéj jeszcze trwających resztkach średniowiecznego bizantynizmu. Epoka spóźnionego gotyku, za ostatnich Jagiellonów, trwa u nas znacznie dłużéj niż w Europie tamtoczesnéj, a z nią i z pierwszemi zwycięstwami renesansu w Niemczech sadowi się w Polsce wszechwładnie na całe prawie stulecie malarstwo niemieckie, w obrazach religijnych o wybitnym typie szkoły norymberskiéj. Pierwsze lata wieku XVII zaznaczają się u nas zjawieniem się obrazów o charakterze przekwitłego Odrodzenia, które gdzieindziéj przeszło już dawno w rzymski akademizm i w boloński eklektyzm. Podczas jednak, kiedy Tomasz Dolabella, epigon wielkich kolorystów weneckich XVI stulecia (1600), wprowadza do Polski malarstwo włoskie na dwór Zygmunta III-go i pierwszych na-

śladowców w kraju znajduje, — już jednocześnie pod wpływem flamandzkich sympatyi królewicza Władysława, z pracowni Rubensa, w drugiéj ćwierci stulecia, przedzierać się do nas zaczynają złote promienie mistrza antwerpskiego. Przez cały wiek XVII, do ostatniej jego ćwierci ważą się u nas te dwa prądy obce, włoski i flamandzki; lubo zaś obok cudzoziemskich artystów drugorzędnych, produkujących swe utwory w Polsce bez współzawodnictwa, znajdujemy kilku malarzy krajowych, jak Lexycki, Siemiginowski, Tricius i najzdolniejszy z nich Daniel Freher, to wszakże w utworach ich wszechwładnie i niepodzielnie góruje — wzór zagraniczny. Pod koniec stulecia zagląda do nas również francuskie dworskie malarstwo dekoracyjne epoki Ludwika XIV; wkracza zaś najpierw — bez wdzięku i elegancyi wersalskiéj, zniemczone i niezgrabne — przez Wiedeń; następnie — odświeżone i pięknie upudrowane — przez Drezno, gdzie za złotego wieku dwoch Augustów, francuskie portrety i obrazy świeckie nad innemi prym trzymały.

Słowem, artystyczna i naukowa wyższość Zachodu przytłacza nas trybem podwójnym. Mistrze zagraniczni, osiadający w Polsce, wnoszą do niéj swe znawstwo i proceder szkolny bez najmniejszéj chęci lub potrzeby liczenia się z niewyrobionym, nieistniejącym prawie jeszcze smakiem mecenasów polskich, zarażonych panującym wówczas wszędzie kosmopolityzmem; nawzajem, artyści polscy, pracujący lub kształcący się zagranicą, zatracają w sobie powoli, pod naciskiem obcego otoczenia, zasadnicze cechy twórczości narodowéj, o ileby one tkwiły w nich *in potentia*. Drugie to łożysko napływającéj do nas obczyzny dr. Mycielski dobitnie wytyka na kilku głośniejszych malarzach polskich, — na sławnym nawet Czechowiczu. Szymon Czechowicz -- pisze — (ur. w Krakowie r. 1689) uchodzi za pierwszego religijnego p o l s k i e g o malarza o wyższym zakroju; cała wszakże jego nadzwyczaj obfita artystyczna produkcya a n i ś l a d u n a r o d o w e g o c h a r a k t e r u n a s o b i e n i e n o s i. Kształcony staraniem Ossolińskiego w Rzymie, w szkole czule słodkiego Carla Maratty, tam maluje przez długie lata włoskie obrazy kościelne, a gdy około r. 1740 do Polski na dobre wraca, pozostaje do końca życia (1775) tym samym Włochem późnego barokku, bez iskierki oryginalności. Szlachetność religijnego natchnienia, na słodki sposób wieku XVIII pojęta, pobożność szczera i nieco czułostkowa czynią, że obrazy jego bardzo dobrze nastrojem swym zdają się odpowiadać jednéj najlepszéj stronie społeczeństwa polskiego z epoki saskiéj. Wykonane prawie zawsze poprawnie, nieraz bardzo szlachetnie, o miękkim, zwykle bladawym kolorycie, tonem jed-

nym złotawéj glory przeciągnięte, o puszystych draperyach, niespokojnych, ale w niebieskiej barwie bardzo pięknych, ołtarzowe płótna zitalizowanego tego Polaka, malowane naprzód w Rzymie, następnie w rodzinnym Krakowie, Warszawie, Wilnie, Podhorcach i Połocku, posiadają niezaprzeczenie wielkie zalety, ale noszą na sobie najwybitniéj wszystkie cechy dogorywającego już barokowego włoskiego akademinizmu i eklektyzmu...

Paru innych, bynajmniéj nie podrzędnych malarzy z wieku XVIII autor wyrzuca nawet ze swej siatki okresowéj, dla tego wyłącznie, że albo zanadto przejęli się obczyzną, albo téż wyłącznie dla zagranicy pracowali i tam żyli. Do nich w pierwszym rzędzie należy mało dotąd znany Tadeusz Konicz (niemiec z pochodzenia, Kuntze), „biedny kuchcik późniejszego biskupa Andrzeja Załuskiego“. Obrazy jego oglądać można w katedrze na Wawelu i w kościele księży Misyonarzy na Stradomiu. Na wystawie lwowskiéj znajdowało się jego pędzla popiersie św. Pawła, naturalnéj wielkości „o czerwonéj karnacyi, silnéj muskulaturze i niezwykłéj energii twarzy.“ Na téjże wystawie dowiedziano się, że Konicz obok malarstwa religijnego, uprawiał i rodzajowe, przedstawiając w stylu akwarelowym bądź sceny mitologiczne na tle tak zw. historycznych krajobrazów *à la Poussin*, bądź rozmaite przygody z życia mieszczańskiego i ludowego na ulicach i placach Rzymu; dowodzą one, że artysta umiał „wesoło i dowcipnie patrzéć na prawdziwe zdarzenia potoczne, a zarazem oddawać je ze szczerym humorem i z poczciwéj satyry szczyptą“. Jest to w każdym razie malarz o indywidualności wybitnéj i talencie poważnym, — szkoda tylko, że „w niczém nie ma polskiego charakteru i jedynie tylko miejscem urodzenia swego (Kleparz w Krakowie) i temi kilku w krakowskich kościołach znajdującemi się obrazami do polskich malarzy się liczy“.

Nie zbyt pobłażliwiéj wyraża się autor i o wielkim artyście północnym XVIII w., Danielu Chodowieckim, urodzonym w Gdańsku w r. 1726. I on również „wszystkiém, oprócz nazwiska, stoi po za Polską.“ Talent to jednak ogromny, pierwszorzędny obserwator drobnych scen z życia powszedniego, pełen miłéj, wesołéj, nigdy gryzącą satyrą nie zaprawianéj prawdy; „zajmuje on w sztuce niemieckiéj to samo stanowisko, co Hogarth w angielskiéj, Chardin we francuskiéj i jest pierwszym artystą prawdę życiową w niższych sferach mieszczańskiego życia oddającym“... Cóż z tego! — W pięknym niemieckim liście do malarza i sztycharza Józefa Łęskiego Chodowiecki przyznaje się wprawdzie z dumą do narodowości polskiéj, jest przecież, jako wielki rysownik, a zwłaszcza rytownik, „w całym

swym charakterze i artystycznéj twórczości raczéj berlińczykiem niż polakiem"...

Zresztą, trzeba i to także zaznaczyć, że wśród niesłychanego rozproszenia, jakiemu okazy sztuki polskiéj ulegały zawsze, od czasów najdawniejszych podziśdzień, nadzwyczaj nieraz trudno orzec, czy pewien mniéj więcéj rozgłośny artysta zdradzał w swych utworach jakąś „żyłkę polską", czy téż całkowicie tonął w pochłaniającym go zewsząd żywiole obcym. Do takich nieokreślonych postaci w niewielkim poczcie malarzy-polaków, postawionych przez autora zewnątrz tak zwanéj epoki Stanisława-Augusta (a zawsze z powodu, iż „po za Polską pracowali") należał, obok Czechowicza, Konicza, Chodowieckiego, także i Aleksander Kucharski (1736—1820), sławny swojego czasu portrecista Maryi Antoniny i osób jéj dworu. Działalność jego artystyczna podczas wielkiéj rewolucyi francuskiéj pozostaje dotąd, równie jak i jego życie, zagadką bez możliwego rozwiązania; dzieł jego nie znamy i nikt nie jest mocen zawyrokować, czy się w nich nie ukrywał jakiś promień „swojski", jakaś nuta czysto polska, — w przypuszczeniu naturalnie, żeśmy się nareszcie dowiedzieli, na czém mianowicie takie promienie i takie nuty zależą.

Zależą one, według znanego określenia, od szczerości interpretacyi przyrody ojczystéj i spraw domowych, oglądanych przez pryzmat temperamentu artysty... Jest to, jak widzimy, formuła czystego realizmu w sztuce, o realizmie zaś nie zaraz dowiadujemy się z książki d-ra Mycielskiego, bo i nie tak znowu wcześnie realizm ten przychodzi na świat, dopiero pod koniec książki profesora krakowskiego; a tymczasem autor, dopominając się o realizacyę realistycznéj téj formuły u najdawniejszych naszych artystów, staje się niekiedy całkiem niezrozumiałym, zwłaszcza wobec nadmiaru superlatywów stylowych pod adresem talentu, wprawy, fachowéj zdolności owych Polaków, przebranych w szaty obcéj działalności artystycznéj. „Malarz znakomity, nieporównany, gwiazda wielkości pierwszorzędnéj", — ale, niestety, nie polska, chociaż często „na polskiém niebie świecąca"... Oceny téj treści antynomicznéj nużą swą jednostajnością i nieraz wychodzą na oczywiste anachronizmy, szczególnie wobec zgóry zaznaczonéj pewności, że malarstwo rzetelnie narodowe zaczyna się u nas dopiéro z Matejką i Grottgerem, więc raz jeszcze nie wcześniéj aż w r. 1860.

Możnaby atoli i temu ostatniemu twierdzeniu zaprzeczyć na podstawie innego szeregu superlatywów autora, łożonych w dalszym ciągu dzieła już na dobro rodzimych zdobyczy artyzmu w Polsce— zdobyczy obfitych i mnożących się nader szybko w postępowym przebiegu okresów od Stanisława-Augusta do Matejki i Grottgera...

Tym sposobem otrzymałoby się dowód, że malarstwo istotnie narodowe powstało u nas znacznie wcześniéj niż około r. 1860...

III.

I zaprawdę, jest rzeczą godną zastanowienia, że ów pierwiastek narodowy dość wyraźnie się zaznacza nawet w pierwszym, stanisławowskim okresie malarstwa w Polsce. Dr Mycielski zapewnia wprawdzie, że w ciągu całego panowania Stanisława-Augusta, po pierwszych, znanych już nam próbach Czechowicza i Konicza, malarstwo nasze zaledwie jeszcze dopiéro kiełkujące uczy się swéj sztuki od współczesnéj Europy zachodniéj i jest aż do końca wieku XVIII „prawie“ wyłącznie „beznarodowém”, uprawianém „przeważnie” przez cudzoziemców; zaznacza atoli jednocześnie, że dwa obce imiona, Marcello Bacciarelli (1731—1818) i Jan Piotr Norblin (1745 — 1830), wiążą ten przedsionek naszego malarstwa—nie z jednym, lecz z dwoma głównemi kierunkami sztuki na Zachodzie, — Bacciarelli z dominującemi tradycyami dworactwa wersalskiego,—ale za to Norblin z rodzącém się zamiłowaniem przyrody, któréj poczucie, sielankowo skażone za dni chylącéj się ku upadkowi monarchii we Francyi, oczyszczać się zwolna zaczyna pod potężném tchnieniem nowatorstwa rewolucyjnego.

Bacciarelli, sprowadzony w r. 1765 z Wiednia do Warszawy, osiada na Zamku królewskim, zakłada prywatną szkołę malarstwa, otrzymuje na sejmie r. 1768 szlachectwo polskie, król zaś daje mu urząd głównego dyrektora budowli królewskich. Włoch, spolszczony niebawem, rozwija działalność żywą i daleko sięgającą. Z jego pracowni wyjdzie wkrótce całe pokolenie malarzy, które Polskę zaleje manierą swego mistrza. Sam mistrz zresztą pracami swemi postara się o to, ażeby nie prędko zapomniano o nim nad Wisłą. Po upadku Stanisława-Augusta i wyjeździe jego do Petersburga jest równie ruchliwym i płodnym na stanowisku profesora malarstwa w nowo utworzonym uniwersytecie warszawskim, jak i w czasie, kiedy był tylko dworzaninem koronowanego swego protektora. Główną część olbrzymiego jego dzieła podziśdzień podziwiać możemy. Są to przedewszystkiém wielkie kompozycje dekoracyjne w dawnym Zamku królewskim: portrety królów i sufit w sali marmurowéj, sceny historyczne w sali rycerskiéj, portrety hetmanów i swawole olimpijskie w innych salach. Wszystko razem wielce uroczyste, teatralne, a dość drewniane, ale za to prawdziwy miód z mlekiem i olejkiem różanym płynie w Łazienkach z ust, z oczu

i z pod gorsów baletniczek i kochanek ostatniego króla polskiego, poprzebieranych za niewiasty biblijne. „Malowane to było — powiada d-r Mycielski — w owym modnym współczesnym smaku elegancyi dworskiéj i wystawności rezydencyjnéj, bez cienia prawdy życiowéj, mdło, słodko, w kolorze blado-żółtawym, przy miękkiém i pulchném zaokrągleniu twarzyczek, gestów, draperyi“... Lepsze, szlachetniejsze pod względem stylu i tonu mają być tylko portrety Bacciarellego: w Łazienkach ks. marszałkowéj Lubomirskiéj w błękitnéj sukni, lub w Dzikowie u hr. Tarnowskich — hetmana w. lit. Michała Massalskiego.

Natomiast, inną zupełnie jest spuścizna Norblina. Sprowadzony około r. 1771 do Polski przez księcia generała Czartoryskiego, młody, 26-letni nauczyciel jego dzieci, uczeń—jak się dr Mycielski domyśla, francuskiego mistrza Antoniego Watteau i akademii drezdeńskiéj, nie pozyskał wprawdzie na razie tego znaczenia i rozgłosu w nowéj ojczyźnie, co Bacciarelli, lecz następnie, za naszych już czasów, całkowicie zaćmił swego współzawodnika. Sławne „sceny wiejskie“, zdobiące niegdyś gabinet księżnéj Izabelli Czartoryskiéj w pałacyku na Powązkach, oraz słynna freskowa powała świątyni Minerwy w ogrodach Arkadyi pod Łowiczem, malowana dla księżny Heleny Radziwiłłowéj, założycielki wspaniałych tych cacek sztuki pseudo-klasycznéj, noszą...—nosiły na sobie jeszcze piętno modnych w wieku XVIII „sielanek dworskich“; wkrótce atoli żywa, rzetelna przyroda strząsa z siebie kolory i szychy stroju wielkopańskiego i Norblin w szeregu drobnych, lecz na zawsze pamiętnych obrazków i szkiców z okresu lat 1785 — 96 staje się prawdziwym pionierem realizmu w sztuce naszéj,—Rembrandtem polskim, ojcem malarstwa narodowego. Prace jego, nadzwyczaj dziś rzadkie, nieznane prawie w oryginałach, przechowały się głównie w kopiach lub rycinach; z tego względu „album Norblina“ w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie zaliczyć trzeba do najcenniejszych zabytków sztuki polskiéj z końca wieku XVIII. Opiérając się przeważnie na tém obfitém źródle, dr Mycielski podnosi zasługi Norblina do wysokości prawdziwie reformatorskiéj. Był to—powiada — malarz prawdy w życiu, umiejący pochwycić ją na gorącym uczynku; bystrym dowcipem, niekiedy nawet satyrycznem, ale zawsze przychylném okiem patrzy on na prostych ludzi miast i miasteczek naszych, na chłopów po wsiach, na rubasznych żołnierzy w obozie, na żydów i kozaków i po raz pierwszy stwarza wierne, z otoczenia wzięte polskie typy ludowe,—stwarza drobne nasze malarstwo narodowe, wysnute z obserwacyi wszystkich klas ludności, począw-

szy od spacerujących po ogrodzie Łazienkowskim eleganckich pań i smukłych kontuszowców, skończywszy na wieśniakach i żydach po karczmach i chatach, pełnych malowniczego nieporządku... Całe, zwłaszcza niższe społeczeństwo końca przeszłego wieku staje jak żywe w tych zbiorowych, kipiących ruchem i podnieceniem obrazkach miejskich i wiejskich, jak np. „Targ na Pradze“ (1784), „Targ za Żelazną bramą“ (1788), „Odpust“ (1790), „Wnętrze karczmy” (1794), „Nowa brama świętokrzyska“ (1799) lub „Jarmark w Łęcznie” (1803). Obok tych scen zbiorowych, więcéj jeszcze, być może, prawdy, charakteru i życia, mają osobno rysowane, lub szkicowane typy szlacheckie, mieszczańskie, wiejskie, jak np. dwa wizerunki mnichów, kozak trąbiący, straganiarka, pan podkomorzy, chudy szlachcic lub student — „bosy, o bajecznie kretynicznym wyrazie twarzy, idyota, jak u Velasqueza“. W albumie Czartoryskich szczególną doskonałością odznaczać się mają dwaj młodzi parobcy z pod Krakowa, w karazyi jeden, w sukmanie drugi, tamten w profilu, ten tyłem odwrócony; tyle jest tu ruchu, wdzięku, prawdy i werwy, że od tak dawna do dziś dnia żaden malarz polski, oprócz Orłowskiego i Grottgera, lepiéj i głębiéj polskiego chłopa nie pojął i nie odtworzył. Ci chłopi Norblina—dodaje niewyczerpany tym razem w pochwałach autor—lubo jeszcze trochę idyllą w. XVIII owiani, są najwierniéjszymi, bo poetycznymi a prawdziwymi protoplastami chłopów Piotra Michałowskiego, rozkosznych krakowiaków Juliusza Kossaka, górali Kotsisa, a w końcu to nawet smętnych parobków Malczewskiego lub zawadyaków Tetmajera. „A wobec tego, nie trzeba już więcéj podkréślać znaczenia i doniosłości produkcyi wielkiego Francuza w Polsce; ojcowstwo to samo za siebie mówi“...

Mówi ono jednakże—dodajmy—nie tak znowu dobitnie, jak to na razie wypada ze słów profesora krakowskiego. Bezpośredniego potomstwa Norblina w malarstwie polskiém nie widać w początkach wcale. Znika ono w tłumie zwolenników utartéj, receptowéj akademickiéj maniery Bacciarellego, w ciżbie towarzyszów, uczniów, naśladowców i współziomków tryumfującego Włocha. Za Bacciarellim ściągają do nas legiony artystów zagranicznych tegoż samego co i on znaku cechowego: Bernardo Belloto, zwany Canaletto, Jan Lampi ojciec, jego synowie Jan i Franciszek, Józef Grassi, Marteau, Pitchmann itd., i w ich to świetle, ich trybem poczynają wkrótce rysować, koloryzować i zagarniać dokoła siebie coraz szersze koła wyobrażeń i artystycznego znawstwa pierwsi malarze rodowicie polscy, jak Smuglewicz lub Wojniakowski. Norblin — on długi czas nikogo za sobą nie ma; rzuca wprawdzie w glebę polską silne i zdro-

we zarodki sztuki ojczystéj, przygotowuje widoki i nadzieje o „narodowych błyskach i tematach"; tematy te wszakże nie prędko podniesione zostaną do godności dogmatów estetycznych, nie zaraz spotkają się z uznaniem szerszém i stwierdzeniem faktyczném. Walka o prawdę albo téż o konwenans w sztuce, o wzory z żywego otoczenia lub z martwych muzealnych wskazań mistrzów — trwa po dziś dzień i prawdopodobnie nie zaraz się skończy.

Na naszym gruncie dwojakie są po temu powody: jedne ogólne, ze specyalną naturą zadania związane, drugie lokalne i przygodne. W całéj historyi sztuki nowożytnéj, przedewszystkiém malarskiéj, od samych początków Odrodzenia ciągle się ważą i ustawicznie na siebie wpływają dwa wielkie, zasadnicze, rozstrzygające prądy: dążność odzwierciadlania przyrody, prawdy, rzeczywistości, żyjącego człowieka i tendencya naśladowania tak zwanego bezwzględnego piękna w plastyce, idealnych, szkolnych, gremialnie za piękne uznanych form przyrody i postaci ludzkiéj, jak je świat starożytny pojął i przedstawił w nielicznych zabytkach. Z prądów tych raz jeden, to znowu drugi bierze górę w wytwórstwie artystyczném cywilizowanego świata chrześciańskiego, a przewaga jednego lnb drugiego wyrokuje zazwyczaj o młodości i żywotności utworów plastycznych pewnéj epoki, lub o ich przekwitaniu i zamieraniu... Wyłamać się z pod téj alternatywy malarstwo nasze jednak nie mogło; dla czego, tak długo i aż do najświeższych czasów hołdowało niemal wyłącznie „przekwitającemu i zamierającemu" wykładnikowi idealno akademickiemu, bacciarellowskiemu, niźli „młodemu i ożywiającemu" realizmowi norblinowskiemu — rozstrzygnąćby to zdołało jedynie dokładne zbadanie dawnego naszego ustroju społecznego, w którym warstwy wykształcone i kierujące, wyłącznie w przeszłości oddane rzemiosłu rycerskiemu, zanadto się odosobniły i w sobie zamknęły od zmartwiałego pod niemi, na nizinach, morza spraw powszednich. Bo kiedy, z biegiem wypadków, główna ta funkcya rycerska osłabła i skaduczała, stan uprzywilejowany z konieczności wpaść musiał w pustkę kontemplacyi odświętnéj, z potrzebami i interesami miejscowemi rozbratanéj, przeto nieodzownie kosmopolitycznéj. Stwierdzona to zresztą właściwość każdego organizmu podkopanego i zagrożonego, że naga prawda go nęka, że mu niepodobna obejść się bez złudzeń słodkich i omamień uroczych. Sztuka umié w takich wypadkach stać się nader pochlebną i zalotną: wybiera ona wówczas idealizm, sentymentalizm, sielankę, archeologię zaprawną bohaterstwem za coś w rodzaju przepaski różowéj na oczy, które nieubłagana rzeczywistość razi i niepokoi. Potężne tylko bu-

rze uwolnić są w stanie od podobnych snów i fantasmagoryi złotych.

A i to nie zawsze, nie wszędzie. Przynajmniéj z naszego malarstwa nie widać, aby straszliwe wstrząśnienia lat 1794—1812 sięgnęły nieco głębiéj do wnętrza, do istoty naszego bytu społecznego. Orkan, zdawałoby się, przeleciał tylko nad powierzchnią życia, potrąciwszy tu i owdzie o wiekową pleśń jego przesądów, lecz nie obaliwszy ani jednego z posągów wzniesionych „cudzym bogom". Ślady skupienia się w sobie i próby naprawy są nadzwyczaj rzadkie i nikłe. Ze stosunkowo licznego pocztu artystów tylko Stachowicz (1768—1835), swojemi freskami w pałacu Woronicza, swojemi akwarelowemi epizodami z wypadków wojennych i politycznych pamiętnéj owéj doby, stanowi dosadniejszy nieco wyjątek od ogólnéj reguły pięknego kaligraficznego kopiowania wzorów zagranicznych. Lubo w niektórych jego pracach większych „wykonanie jest słabe, rysunek zawsze bardzo błędny, koloryt blado-szarawy, życia mało", — to jednak twarze i ruchy — szczególnie postaci ludowych, niezmiernie ciekawe. „Przekupki krakowskie, dziewki i baby wiejskie, parobcy pełni zacięcia, zabawne małe dzieci, a wśród tego i figury rzadsze z eleganckiego świata, damy w długich obcisłych sukniach, zasobne mieszczki w staroświeckich jubkach bramowanych futrem — wszystko to z życia obserwowane, a nawet może i nieraz z żywych modeli portretowane", — jak np. w znanéj „Przysiędze Naczelnika z d. 24 marca". Błyskawiczny to wszakże tylko objaw twórczości prawdziwie swojskiéj; wkrótce widnokrąg znowu się okrywa blado-różanemi, z grecka wycinanemi obłoczkami pomysłowości obcéj, — o ile można najforemniéj zarysowanéj i najzgodniéj z panującém zagranicą upodobaniem zabarwionéj. I słusznie: zanim duch narodu do lotu znów się kiedyś doraźnie zerwie, trzeba dla niego wpierw należycie wymieszać farby i wypłukać pędzle. W Warszawie, w Wilnie, w Krakowie powstają wnet przy uniwersytetach pierwsze urzędowe szkoły sztuk pięknych — z urzędowemi, ma się rozumieć, definicyami i formułami „natchnionego piękna" i „pięknego natchnienia". Na czele najgłośniejszéj z nich, wileńskiéj, staje dawny uczeń Bacciarellego, Smuglewicz, późniéj Rustem, — warszawską kieruje Brodowski (Antoni) wraz z Blankiem, — krakowska cieszy się Peszką i Brodowskim (Józefem); wszystkie razem uprawiają one na zabój neo-klasycyzm z epoki wielkiéj rewolucyi, parodjują uroczysty styl pierwszego cesarstwa we Francyi, lub posągowo kostnieją w rzymskim akademizmie Davida. Zjawiają się dążności i tryby mieszane, wieloźródłowe,

eklektyczne, w których raz po raz uwydatnia się nieśmiało także i realizm norblinowski, z istoty swojéj garnący się do tematów lokalnych, narodowych. Prąd ten żywotny, prąd natury i prawdy, nie zanikł wśród mdłego i pasorzytnego kwiecia faktury naśladowniczéj; podparty owszem ocknieniem się nuty ojczystéj na schyłku „czarnego" wieku XVIII i o świcie XIX, pozyskuje w kilku skromnych uczniach Norblina — w Płońskim, Sokołowskim, Zabielle — dzielnych i wytrwałych przedstawicieli, „którzy malarstwo w Polsce zwolna polskiem robili." Lubo niewielki ten poczet malarzy, przeważnie zaś rysowników z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego, śmiało nieraz mógłby współzawodniczyć, zarówno doborem treści jak i wykonaniem technicznem, z malarzami i rysownikami zachodnimi, to przecież w kraju, wśród swoich, pozostawał w cieniu i na uboczu, głównie może dla tego, że się nie kusił o dzieła większych rozmiarów, większéj doniosłości i poprzestawał na drobnych tylko utworach, niemal wyłącznie akwarelowych lub ołówkowych. O tych cichych wielbicielach rzeczywistości szaréj, powszedniéj, ale własnéj, potomność możeby dziś całkiem nawet zapomniała, gdyby ich na jaśnię świadomości zbiorowéj nie wyniósł był nowy wielki samotnik realizmu, drugi z kolei, po Norblinie, filar malarstwa polskiego — Aleksander Orłowski (1772—1832).

Dr Mycielski poświęcił oryginalnéj téj postaci jeden z najlepszych, najstaranniéj opracowanych ustępów dzieła. W obszernéj monografii, rozpadającéj się, odpowiednio do przełomowego przebiegu życia mistrza, na dwa cykle; — warszawski od r. 1792 do 1802 i petersburski od ostatniéj daty do 1830, mamy różnoistny łańcuch zdarzeń mało znanych i bardzo ciekawych. Młodociane lata Orłowskiego i wpływ otoczenia na rozwój jego charakteru, — studya w pracowni Norblina, opieka Czartoryskich, hulaszcze początki prace zawodu artystycznego i stosunki z księciem Józefem, — pierwsze akwarelowe, krajobrazy, karykatury, obozy kozackie, typy szlacheckie, mieszczańskie i ludowe, sceny z roku 1794 i portrety wodzów, — z tego się złożył krótki i zwięzły, a bardzo ważny warszawski wątek działalności znakomitego malarza. Trzydziestoletniéj jego biografii nadnewskiéj nie można całkowicie uważać za dalszy ciąg i uwieńczenie krajowych zawiązków życia i artyzmu, jak o tém świadczą pamiętniki d-ra Stanisława Morawskiego, podane przez dra Mycielskiego w obfitszych przytoczeniach. Opieka W. Ks. Konstantego i obrazki z kampanii napoleońskiéj, satyryczne akwarele angielskie i portrety konne oficerów czerkieskich, druga żona i nieszczęścia domowe, studya nad Rembrandtem

i wpływy Hogartha, poważne portrety własnéj osoby i przedrzeźniane wizerunki szlachciców polskich, humor i prawda, patryotyzm szablonowy i zabiegi o chleb niepowszedni, — nie klei się to łatwo w całość jednolitą i nie zawsze szczelnie do siebie przystaje; ale talent ogromny zawsze i we wszystkiém, o ile o tém naturalnie sądzić dziś wolno ze skąpych okrawków produkcyi, która w całości niemał — a za grube pieniądze — odpłynęła za morze, do Anglii głównie. Historyk nasz, powołując się na znany wiersz Mickiewicza, że Orłowski „wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy", zapewnia, iż czynił to artysta „do końca życia"... a imię jego na zawsze pozostanie w sztuce polskiéj. Zapewne, — z tym jednakże komentarzem, którym autor ostateczną swą ocenę opatrzył: „dziecko wieku XVIII, bez kropli wiary, a niebawem i bez zasad żadnych, o gorącém zrazu przywiązaniu do kraju ojczystego, stępioném z czasem, o talencie bardzo niezwykłym, bardzo samorodnym, rdzennie narodowym, jako artysta stał się Orłowski ofiarą swego życia i swych namiętności, nigdy nie hamowanych; drobnych arcydzieł stworzył setki, — wielkiego dzieła sztuki ani jednego, a choć szlachtę polską, polskiego żołnierza i polski krajobraz odtwarzał, jak nikt przed nim, a bardzo mało kto po nim, to przecież do potomności przeszedł z reputacyą... zaszarganą. Siła twórcza — niezaprzeczenie wielka, ale zwichnięta i wykolejona z torów właściwych, przeto i rezultaty jéj działania — zwikłane i rozbite. Z tego ostatniego względu Orłowski, porównany ze swoim nauczycielem Norblinem, dużo traci. Nie można o nim powiedzieć słowami d-ra Mycielskiego o znakomitym Francuzie: „Polakiem był Norblin duszą całą, do głębi się przejął w swych pracach charakterem naszym narodowym i charakter ten w całym szeregu postaci nawskroś polskich na papier lub płótno przelał."

IV.

Bądź co bądź, straty, jakie społeczność pewna ponosi wskutek swéj niemocy stałéj, organicznéj, wydają się niczém w obec tych, jakie na nią spadają niekiedy z przesileń doraźnych, gwałtownych; tam marnieją tylko jednostki, chociaż zazwyczaj górujące nad innemi rozumem, cnotą, genialnością; tu giną pokolenia całe wraz z dorobkiem i owocami usiłowań wieloletnich, wiekowych. Takim właśnie był kataklizm 1831 r.

W sztuce naszéj wygląda on równie złowrogo, jak i we wszystkich innych zakresach życia publicznego: jest to rozsypka zupełna

i powszechna, po której następuje istna *tabula rasa*. Malarstwo nasze, skurczone i zbite z tropu, szuka zrazu ratunku pod skrzydłami szkoły sztuk pięknych w Krakowie, późniéj takiéjże szkoły w Warszawie, za staraniem Kokulara i podtrzymanéj następnie pracami Hadziewicza, Kaniewskiego, Piwarskiego, Breslauera. Ludzie ci dokładają wszelkich starań, w celu odświeżenia zacofanych lub wyczerpanych procederów wytwórczych, zastąpienia ich trybami bardziéj odpowiadającemi zdobytemu gdzieindziéj doświadczeniu; ale skutek pożądany nie zaraz dopisze włożonemu dla jego dopięcia nakładowi. Chylący się coraz więcéj ku upadkowi pseudo-klasyczny akademizm polski, nie otrzymując już tego samego co dawniéj poparcia z zewnątrz, próbuje rozmaitych podpórek stylowych, wysila się na przepych, na dystynkcyę, zapożycza się we wszystkie kosmetyki zachodnie... Tym razem nie wychodzi to malarstwu u nas (boć chyba nie naszemu) na złe bezwględne. Przed młodymi artystami otwiérają się przez to coraz szerzéj okna na nowe prądy sztuki w Europie, na nowe tam wzory, mniéj lub więcéj udatne czy chybione, wreszcie na szkoły coraz doskonalsze, powstające w Niemczech i we Francyi. Po za obrębem kraju przebywa wtedy ogromna masa ludzi wykształconych, biegłych w rozmaitych kunsztach: jest do kogo się udać po radę, wskazówkę, a niekiedy to i pomoc. Ale zbiera się w ten sposób zaledwie dopiéro zasiew na dalszą przyszłość. W domu tymczasem niezmiernie słabo i potulnie walczy o byt i kształci się malarstwo, — w utworach Wańkowicza i Smokowskiego, w portretach (budzących dziś podziw) Aloizego Reichana i w rycinach Kielisińskiego. Ze współczesnych nie bardzo kto wie i słyszy o tych imionach. A przecież, jak dowiodła wystawa lwowska 1894 r., sztuka polska nawet w owym ciemnym okresie lat piętnastu, szesnastu, zdobyła się na talent potężny wyjątkowy, „z lwim pazurem", a rdzennie polski. Mowa tu o uczniu realistów i romantyków francuskich, Piotrze Michałowskim (1800—1855), o którego istnieniu nie jeden z nas po raz pierwszy, być może, dowie się z zasobnéj książki d-ra Mycielskiego. A wszakże według zapewnienia p. Pawła Popiela, (w jedném z jego sprawozdań dziennikarskich) był to nietylko gienialny malarz, lecz „uczony, urzędnik, mąż stanu, filantrop, agronom, ojciec rodziny i rozumny polityk w najsmutniejszych dla zachodniéj Galicyi czasach". Członek zamożnéj, szeroko skoligaconéj rodziny, Michałowski miał środki i sposobność odbycia wcale gruntownych studyów w głównych ogniskach sztuki i cywilizacyi na Zachodzie, szczególnie we Francyi i Anglii, które po raz pierwszy zwiedzil jeszcze w r. 1827, wysłany tam przez ministra

Lubeckiego w celach badania przemysłu górniczego. Z wzorów zagranicznych przypadły mu najbardziéj do smaku epizody z wielkiéj epopei napoleońskiéj Grosa, z ojczystych — wojskowe i konne szkice Orłowskiego. Pracował dużo i wytrwale, najpierw z zamiłowania, następnie po r. 1831 zagranicą — dla chleba. „W Paryżu — pisze dr. Mycielski — niewątpliwie robił obrazy na obstalunek, za pieniądze, a zamówienia bogatych Francuzów i Anglików były tak liczne, że nawet wcale pokaźne dochody do jego pielgrzymiéj kieszeni wpędzały i po prostu bardzo szanownym były zarobkiem". Z czasów tych — oczywiście — nie posiadamy żadnych utworów Michałowskiego; przechowały się tylko niektóre do nich zarysy przygotowawcze w bogatéj tece mistrza, znajdującéj się obecnie w posiadaniu jego córki, hr. Józefy Michałowskiéj w Krakowie, wraz ze wspaniałą galeryą obrazów stworzonych przez płodnego artystę, przeważnie już po powrocie do kraju. Policzyć tylko i wymienić wszystkie te „arcydzieła" byłoby zadaniem uciążliwém, cóż dopiéro opisać je nieco szczegółowiéj! W książce d-ra Mycielskiego cała litania zajmuje co najmniéj tyle miejsca, ile np. Napoleon na płótnach Grosa, stanowiąc niemal punkt środkowy i kuluminacyjny dziejów malarstwa polskiego. Czego téż Michałowski, nie rysował i nie malował! Krédkowe grupy jazdy francuskiéj i spiżowy posąg Napoleona, akwarele rogatego bydła i olejne popiersia żydów, portrety rodziny (szczyt piękności cielesnéj) i głowy starych rusinek (szczyt prawdy brzydkiéj jak śmierć), cesarz Franciszek-Józef i pan Paweł Popiel (obaj konno), bitwa pod Somosierrą i dwie wymijające się karety eleganckiego świata, postaci hetmanów polskich i łby siwych koni (naturalnéj wielkości!), — „które są w swoim rodzaju *non plus ultra* prawdy, wierności, siły, a zarazem życia i poezyi w zrozumieniu i odtworzeniu malarskiém konia w ogóle"... „Nic téż nigdy równie wspaniałego żaden nasz malarz nie stworzył, a w sztuce zagranicznéj, oprócz niektórych, i to całkiem innych, bo małych rozmiarami, koni Meissonier'a, Neuville'a, dziś zaś może Detaille'a, oprócz słynnego konia przy pojeniu Dagnan-Bouveret'a w muzeumLuksemburskiém, nie znamy nic, coby do tych arcydzieł zbliżać się mogło, — arcydzieł zupełnych, gdyż są i całkiém wykończone i traktowane z równą zawsze brawurą i siłą modelunku, a zarazem ze znajomością najdokładniejszą każdéj kości, każdego ścięgna, każdego nerwu konia, z poezyą wreszcie zwierzęcia szlachetnego, jakiéj my przynajmniéj nigdzie w nowożytném malarstwie odnaleźć nie umiemy; a nadto, obok wszystkich powyższych zalet

koni tych niezrównanych, mają one jeszcze na sobie i ów wybitny, pysznie oddany charakter konia polskiego“...

Nieszczęściem, Michałowski — jak o tém autor przekonywająco mówi w inném miejscu — „tak bardzo po za epoką swoją stoi i tak ją wyprzedza, że umierając pod koniec tego okresu, nieledwie żadnego wrażenia swemi utworami ani na dojrzałych, ani na uczących się artystów współczesnych mu nie robi“... A i „zrobić“ tego — dodajmy — nie mógł, skoro był ciągle zamknięty i odgrodzony kratką arystokratyczną od swych współtowarzyszy i pracowników na niwie artystycznéj plebejuszowskiego autoramentu. Ci ostatni z otwartą przyłbicą, a w pocie czoła dobijający się o chléb i uznanie w szrankach mniéj więcéj publicznego zawodu, sami téż jedni na swych barkach dźwigać musieli kamienie i cegłę pod podwalinę przyszłości malarstwa polskiego. Trud zaś nie był wcale łatwy, naprawa postępowała bardzo nie chyżo. D-r Mycielski początki dźwigania się naszego malarstwa z ruin kładzie na r. 1845, utrzymując, że mniéj więcéj na parę lat przed r. 1850 „poczyna się druga połowa owego okresu od 1830 do 1860 r., która stulecie malarstwa w Polsce zamyka, a największą liczbą zjawiających się w niéj młodych artystów bezpośrednio się wiąże i zlewa z epoką następną, którą nie tylko przygotowuje, ale téż w części stwarza“. Coraz pełniejsze i rojniejsze szkoły sztuk pięknych, warszawska i krakowska, wydają młodzież żądną sławy, pracowitą, wysokie o sztuce wyobrażenie w sobie pielęgnującą, która się niebawem rozsypuje po nowych akademiach zagranicznych w Monachium, Wiedniu, Rzymie, Petersburgu i we wszystkich rodzajach współczesnego malarstwa Europy pracuje, tworzyć zaczyna. W trzech głównych kierunkach rozwija się w owéj dobie sztuka europejska: religijnym, romantycznym i historycznym czyli właściwie historyozoficznym. Pierwszy najdobitniéj się uwydatnia w Rzymie (Comuccini, Overbeck), w Wiedniu i Düsseldorfie (Führich, Schadow); drugi — głównie w Paryżu, pod potężném tchnieniem Eugeniusza Delacroix; trzeci wreszcie — w Monachium, częściowo zaś w Wiedniu i Düsseldorfie (Cornelius, Caulbach, Schwind i t. d.), oraz w Paryżu, gdzie czas jakiś panuje i olśniewa historyczno-powieściowa maniera Pawła Delaroche'a, czyli t. zw. jego *juste-milieu*. Ze wszystkich tych trzech potoków obficie czerpią młodzi nasi artyści, kształcący się zagranicą. „Nazarenizm“ uprawiają u nas w pierwszym rzędzie: Leopold Nowotny (1822—1870), Roman Postępski (1808—1878), Mikołaj Strzegocki (1826—1891), Feliks Szynalewski (1825—1892) i inni,— bez większego wszakże powodzenia, gdyż na bladych i zimnych wzorach wycackane ich

obrazy nie są zdolne ani serc pobożnych podbić, ani téż zaspokoić wyrabiającego się stopniowo smaku warstw wykształceńszych. Bez porównania za to głębiéj i wdzięczniéj przyjmuje się u nas zagraniczna płonka malarstwa historycznego i wkrótce, do współki z przeszczepionym w tymże niemal czasie romantyzmem zachodnim, wydaje owoce przednie, bujne, zdrowe, w gatunku najwyraźniéj znamionującym naturę gruntu i wpływ klimatu, które, mniéj przyjazne dla bieżących, żywotnych zagadnień wieku, tém pieczołowiciéj przygarnęły ku sobie i wychowały plon zamarłéj, zdawało się już, przeszłości. Niezmiernéj to wagi zjawisko, najbardziéj ze względu na pewną ścisłą zażyłość i pokrewieństwo naszego malarstwa historycznego z realizmem, który gdzieindziéj stale a cierpko, przez usta celniejszych swych przywódzców, odmawiał obywatelstwa kreacyom artystycznym, osnutym na czémś, w czém serce bić przestało i krew w żyłach zaskrzepła. U nas inaczéj o tém mniemano, czego dowodem tacy artyści, jak Aleksander Lesser (1814—1884), Józef Simmler (1823—1868), Wojciech Gerson (twórca szeregu kompozycyiz dziejów Polski średniowiecznéj, ur. w r. 1831), Henryk Pillati (1832—1894), Cypryan Dylczyński (ur. w r. 1836), Ignacy Gierdziejewski (1826—1860), Władysław Łuszczkiewicz (ur. w r. 1828), Leopold Loeffler (1830—1898), Konstanty Szlegel (1819—1870), Floryan Lunda (1824—1888), Maksymilian Piotrowski (1813—1875) i inni, bez liku.

Obok historycznego i religijnego, w urodzajnéj téj epoce powstają, rozwijają się, doskonalą inne działy malarstwa: portret, krajobraz, *genre*. W portrecie wysuwają się i niemal odrazu, od pierwszego rzutu pendzla zajmują pierwszorzędne w malarstwie polskiém stanowisko: Leon Kapliński (1826 — 1873) i Henryk Rodakowski (1823—1894) — zajmujący poczesne stanowisko i w malarstwie historyczném. Z mniéj głośnych wymienić należy: Tadeusza Góreckiego (1825—1868), Aleksandra Stankiewicza (1824—1892), Wilhelma Leopolskiego (1830—1892), Andrzeja Grabowskiego (1833—1886), Marcelego Maszkowskiego (1837—1862), — wreszcie nieocenionego akwarelistę, autora wdzięcznych rodzajowych utworów o typach ludowych, Franciszka Tepę (1828—1889). W bezpośredniém sąsiedztwie z Tepą nie żal téż postawić koryfeusza naszego malarstwa rodzajowego i wojskowego, pierwszego na wielką skalę popularyzatora sztuki polskiéj, dzielnego rysownika, potrącającego współrzędnie o tematy historyczne i krajobrazowe, Juliusza Kossaka (urodzony w roku 1824). Tuż przy nim (rzadko przed nim) grupują się nieśmiało w początkach, coraz hardziéj późniéj rodzajowi malarze o tematach przeważnie ludowych: Józef Brodowski (ur. w r. 1828), Franciszek

Kostrzewski (ur. 1826), Elwiro Andriolli (1837—1893), Cypryan Norwid (1823—1883), Wincenty Ślendziński (ur. 1837), Jan Piotr Łuczyński (1816—1855), Karol Młodnicki (ur. 1836), Maksymilian Cercha (ur. 1818) — i najznakomitszy wśród tylu znakomitości, najbardziéj ludowy i sympatyczny Aleksander Kotsis (1836—1877). Na ostatku — chociaż bynajmniéj nie na szarym końcu duchowéj téj uczty — ukazują się pejzażyści nasi o szczerze swojskim charakterze wsi polskiéj i starego polskiego miasta: Alfred Schuppé (ur. 1812), Józef Szermentowski (1833—1876), Aleksander Gryglewski (1830—1879), Saturnin Świerzyński (1820—1885), Albert Żamett (1820—1875), Józef Marszewski (1820—1883), — że już pominiemy tych, co krajobrazowość połączyli z rodzajowością lub historyą, jak np. Wojciech Gerson.

„Wszyscy ci malarze — młodzi jeszcze przed laty czterdziestu, dziś starzy lub w mogile—po krótszych lub dłuższych studyach zagranicą, wracają około r. 1860 na dobre do kraju i we wszystkich swych rodzajach pracują tu daléj, zdobywają się niekiedy na utwory wielkiéj piękności i stanowią w tym okresie nowym, do dziś dnia trwającym, tło prawdziwego malarstwa polskiego, a zarazem i towarzystwo bardzo szlachetne, pełne wszelkiego rodzaju zasług, dla dwu gwiazd potężnych, którym na imię: Grottger i Matejko", — temi słowy zamyka dr. Mycielski właściwą historyę lat stu malarstwa w Polsce (od r. 1764), — dzieło rozległe, bardzo starannie rozwinięte w szczegółach i drobiazgach, często nad wyraz ciekawych, zawsze pouczających, niekiedy zupełnie nowych, przedtém nieznanych. Styl książki, nie zawsze zrównoważony i potoczysty, cokolwiek oszpecony składnią w części niemiecką (czasownik niemal stale na końcu zdania), w części łacińską (łamany szyk wyrażeń), skupia się w sobie i czyści tam wszędzie, gdzie autor, podniecony doniosłością przedmiotu, nie wstydzi się swego wzruszenia i daje się unosić boskiemu uczuciu wdzięcznego uznania lub chluby. W ogólności, wysłowienie d-ra Mycielskiego jest dokładne, plastyczne, prosto i jasno motywowane, szkolne, prawie elementarne. Rzadka i w naszych czasach, w naszém położeniu drogocenna zaleta! Każe ona żałować, że najświeższy okres naszego malarstwa — od Matejki i Grottgera (Siemiradzki, Brandt, Gierymscy, Chełmoński, Wierusz-Kowalski, Czachórski, Fałat, Benedyktowicz, Malczewski, Rosen, Szymanowski, Wyczółkowski... i t d., bez końca) sumarycznie tylko i w nader pobieżnym rzucie oka, stanowiącym epilog, uwzględnionym być mógł i został. Jest on bowiem niezbędném dopełnieniem całości, jéj koroną, jéj światłem. Bez niego nie wiemy nawet

dobrze, na czém właściwie polega i z jakich pierwiastków się składa zasadnicze określenie malarstwa polskiego, pojętego jako odrębna, wyborowa, celowa cząstka „malarstwa w Polsce". Wąs zawiesisty, lub podgolona czupryna szlachcica, barwny gorsecik dziewczyny wiejskiéj, krakowska uprząż na tłustym mierzynku żmujdzkim — to dopiéro jedna połowa, — to dopiéro zaledwie ciało sztuki narodowéj. A gdzie duch? — gdzie ów wiotki, powiewny, radosny posłaniec niebios, co u Matejki tak wymownemi oczyma spogląda na teraźniejszość naszą z pod płyt cmentarnych.

St. Fiat.



JAN KOCHANOWSKI

w świetle ostatnich wyników krytyki historycznej *).

„Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.“ Przez Romana Plenkiewicza. Warszawa, 1897 roku. — Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie“. Wydanie pomnikowe. Tom czwarty.

W tém błogiém przeświadczeniu, gdy nadeszła Wielkanoc 1571 r., udał się do Czarnolasu. Tutaj, nie zwlekając, zaraz przystąpił do budowy domu, a miał to być piękny, gontem kryty dwór z dębów czarnoleskich, wzniesiony na podmurowaniu, z piwnicą, z obszerną sienią i kilką komnat. Budowa szła raźno, a poecie serce rosło, gdy patrząc na swą nową siedzibę, roił, że tu niebawem sprowadzi Hannę. Z myślą o niéj, zaczął przyozdabiać wykończone izby, a jeśli nie stać go było na obijanie ścian makatami, to nie znaczy to wcale, ażeby ich nie starał się przybrać w mniéj kosztowne opony, ażeby stołów nie zamierzał ponakrywać dywanami, a ław i stołków — pokrowcami. „Jeżeli zaś kto, to poeta mógł ich nagromadzić niemało. Stosunki jego z możnowładcami opłacały mu się niejednym sutym podarkiem. Ko-

*) Patrz „Ateneum“ za luty r. b., str. 257.

sztowna broń i rzędy na konie, pierścienie, łańcuchy, roztruchany, kubki szczerozłote, nalewki i kobierce były nieraz jego wierszy nagrodą. Miał więc czém przystroić dom na przybycie Hanny..." Gdy nareszcie dwór stanął gotowy, poeta, lubując się jego widokiem, napisał ów znany wiersz *Na dom w Czarnolesie:*

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoie:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoie.
Inszy niechay pałace marmurowe maią,
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, panie, niechay mieszkam w tym gniaździe oyczystém,
A ty mię zdrowiem opatrz, y sumieniem czystém.

W tymże czasie powstała i fraszka *Do poetów*, najprawdopodobniéj Górnickiego i Trzecieskiego, którzy przyjechali zobaczyć nową chudobę Jana, fraszka, świadcząca o swobodnym nastroju umysłu autora, który, rad swoim gościom, wyobrażał sobie, jak to będzie rozkosznie, gdy oprócz serdecznych przyjaciół i Hanna zasiędzie do wieczerzy. „Będzie sér, będzie szołdra, będą wonne śliwy...", a jeśli i muzyki nie zbraknie, wtedy i Hannie chyba nie uprzykrzy się z nimi... Tymczasem, oddalony od niéj, co tydzień wyprawiał do Warszawy *tabellariusa* z listami do narzeczonéj, pośrednikiem zaś, który mu ułatwiał to korespondowanie z panną, był ksiądz St. Fogelweder: na jego ręce szły listy z Czarnolasu, na jego ręce szły listy do Czarnolasu. A nietylko listy przywoził z Warszawy ów *tabellarius* Kochanowskiemu: zdarzało się, że mu przywoził i różne upominki od panny. Raz np. przywiózł mu od niéj lutnię, a poeta, otrzymawszy ten podarunek, ucieszył się nim podwójnie: przedewszystkiém dlatego, że był to dar ofiarowany mu przez Hannę z własnego popędu, a powtóre, że w samym wyborze podarku nietrudno było dopatrzéć się głębszéj myśli. „Jeżeli bowiem dotąd poeta starą swą lirę jedynie na smutne tony nastrajał, to z odmianą na lepsze, z nowém życiem, z nową nadzieją, czyż nie było właściwém, aby, jak ton pieśni, i narzędzie muzyckie odmienił?" [1]).

A tymczasem na dworze promieniała wiosna rozkoszna, pola pokryły się zielonemi kobiercami zbóż, wszystko budziło się do życia, uśmiéchało się, dążyło do rozkwitu. I w sercu poety panowała pogoda wiosenna, świéciło słońce, bieliły się wonne kwiaty nadziei. Rozumiał, że maluczko, a będzie szczęśliwy, że tylko patrzéć, jak Hanna

---

[1]) Cały ten epizod z lutnią opiéra prof. Plenkiewicz na fraszce 33 ks. III w któréj poeta między innemi pamiątkami, pozostałemi mu po Hannie, wymienia i lutnię. Mogła przecież Hanna lutnię tę ofiarować poecie równie dobrze w Warszawie, jak przysłać mu ją do Czarnolasu.

zjedzie do Czarnolasu. I żył szczęściem, którego sądził się bliskim, i ciesząc się tą sielską teraźniejszością, którą uważał za krótki prolog do jeszcze piękniejszéj przyszłości, napisał cudny wiersz do Hanny, który, bardzo być może, że jéj wraz z listem, albo zamiast listu, wysłał przez owego *tabellariusa* do Warszawy.

. . . .
Hanno, tobie kwoli śpiewam,
Skąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amphiona
I lutnistę Ariona.
. . . .
Ty mię pochwal, moia pani,
Nie dbam, choć kto inszy gani.

A jeśli me niskie progi
Będą godne twoiey nogi:
Nogi piękney: nie potrzeba.
Dosięgę już głową nieba.

Samy cię ściany wołają,
Y z dobrą myślą czekają:
Lipa stoiąc w pośrzód dworu,
Wygląda cię coraz z boru.

Każ bystre konie zakładać,
A sama sie gotuy wsiadać:
Teraz naweselsze czasy,
Zielenią się piękne lasy.

Łąki kwitną rozmaicie:
Zająca już nie znać w życie,
Przy nadziei oracz ścisły,
Że będzie miał z czém do Wisły.
. . . .
Kwap się póki iasne zorze
Nie zapadną w bystre morze:
Po chwili ćmy czarne wstaną,
Co noc noszą nienaspaną.

Ta wzmianka o „ćmach czarnych" była wyrazem różnych niepokojów, które niekiedy w noce „nienaspane" obsiadały duszę poety, strasząc go różnemi przywidzeniami i przeczuciami. Obawiał się zawiści ludzkiéj, która mu mogła pozazdrościć jego szczęścia, a niemniéj lękał się intryg, które, praktykowane po wszystkich dworach, nie były obce i dworowi warszawskiemu. Wiedział, że nie jest bezpiecznie być nieobecnym przy narzeczonéj, któréj uroda była oskomą dla tylu innych, a wiedział także, że bardzo szerokie koła interesowały się jego matrymo-

nialnemi zamiarami (o których wieść doszła aż do Wiednia), gdyż byli tacy, którym mniéj zależało na jego szczęściu, aniżeli na beneficyach. Ale te „ćmy czarne", jakkolwiek go prześladowały chwilami, nie zawsze mogły się ostać wobec listów Hanny, z których stęskniony poeta czerpał otuchę. Że tak było, dowodzi elegia II księgi III, przypisana Myszkowskiemu, z którym Kochanowski również, jak z Hanną i Fogelwederem, pozostawał w korespondencyi, elegia, napisana w jednéj z tych błogich chwil, kiedy poetę nie dręczyły najmniejsze wątpliwości o jego przyszłém szczęściu, kiedy był pewny, że każdy dzień zbliża go do Hanny. „Tu, Myszkowski, jeżeli kiedy zechcesz uniknąć wrzawy miejskiéj, zawróć wartkie koła swéj kolasy i nie gardź, bogaczu, progiem lichego domku, bo i ubogie chaty mają swe bóstwa opiekuńcze... Tu cię spokój miły, tu długie czekają wczasy, tu lekkie potrawy i wdzięczna rola, słodkie kwilenie ptasząt i powietrze zdrowe, przezroczyste jeziora i cieniste gaje... Pazyfila zaś, cokolwiek na cały rok zgromadziła, zastawi przed tobą, kiedy skromną strzechę nawiedzisz, i bacznie przy obiedzie zważać będzie na twe skinienia i z winem napoczęte kielichy podawać; skromnie téż poprosi, byś zechciał ubóstwu przebaczyć." Tak sobie wyobrażał to swoje przyszłe szczęście, a im więcéj myślał o niém, tém bardziéj zniechęcał się do życia dworskiego, a zapalał do cichego żywota ziemianina. „Miła mi mierność moja (pisał w téjże elegii); jéj rad jestem tak, jakbym twemi, bogaty Krezusie, władał królestwy. Czyja wola, niech oblega progi dojutrków królujących: ja, biédny, ubogi zagon lemieszem odwracać będę i ufną ręką pewne ziarno posieję." Nadto (myślał sobie) nie będzie zaniedbywał pisania, do którego wieś usposabiała lepiéj, niż wystawanie u progu komnaty królewskiéj, lub rozpustne pochulanki z dworzanami... Tak nastrojony, czując przypływ weny poetyckiéj, tworzył więcéj niż kiedykolwiek, pisał szereg pieśni, zaczął tłómaczyć psalmy Dawida. W ten sposób upłynęło mu lato r. 1571.

Tymczasem Hanna opuściła dwór królewny, ażeby czas jakiś „przy pani matce" pomieszkać, z czém w parze szło również i szykowanie wyprawy. Zdaje się, że poeta często odwiedzał Hannę, gdy przebywała u rodziców, bo inaczéj nie pisałby, że wrota jéj domu były „świadome jego c z ę s t y c h d r ó g". Cóżkolwiekbądź, był zadowolony ze swych konkurów, a po każdém widzeniu się z Hanną, ku któréj rozpłomieniał się coraz namiętniejszym afektem, z wrastającą lubością marzył o swém weselu. Wesele to, ze względu, że Hanna była dworką królewny, spodziéwał się obchodzić nie gdzieindziéj, jeno na zamku warszawskim, a więc i z pewnym przepychem... Szło tylko o wyzna-

czenie terminu, o to, by rodzice narzeczonéj, po uprzedniém porozumieniu się z królewną, oznaczyli dzień zaślubin.

Nagle wybuchła zaraza w Warszawie, zaczém poszło, że musiano odłożyć gody weselne. Była to fatalność, ale poeta, już pewien swego, rad nie rad pogodził się z tą chwilową przeszkodą: skoro zwyciężył wszystkie przeciwności ziemskie — myślał sobie — to nie potrzebuje się lękać téj zawady ze strony nieba. Co się odwlecze, to nie uciecze! Tak rozumując, był dobréj myśli, ba, nawet mu nie zbywało na humorze: humoru dowodził jego list do Fogelwedra, pełen różnych łacińsko-polskich konceptów, elegia zaś, poświęcona temuż Fogelwedrowi, świadczyła o niezamąconéj pogodzie umysłu jéj autora: z listu wynika, że poeta, prócz tęsknoty za ukochaną, nie znał innych smutków, a w elegii „żartował sobie" na temat „poważnéj u dworu pracy" swego przyjaciela i powiernika, którego przepraszał jednocześnie, że go „nudził" i „trapił" swemi sprawami osobistemi. „Jak młodzian miłością płonący, któremu dziewczyna z nadejściem zmroku kazała oczekiwać swego przybycia, pragnie, by jaknajprędzéj złote słońce zaszło, sądzi bowiem, że ono jedno przeszkadza jego życzeniom", podobnie i on téj jesieni czuł się w przededniu szczęścia... „Tak my tam na wsi (pisał do Fogelwedra), kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiądziemy, a lada co i mówimy i piszemy."

Nagle zapadło się wszystko: Hanna odesłała mu pierścionek. Właściwego powodu, który ją skłaniał do zerwania z niekochanym i po za czterdziestkę wybiegłym „proboszczem poznańskim", nie podała żadnego... Dopiéro teraz zrozumiał Kochanowski, co leżało na dnie owego dziwnego zachowania się Hanny, gdy u niéj był po raz ostatni. Rozżalony, chwycił za pióro, a pieśń, którą skréślił pod wrażeniem fatalnéj wieści, najlepiéj maluje jego chwilowy nastrój:

Nie za staraniem, ani prze mą sprawę,
Miła, po tobie znam taką postawę:
Szukay, iako chcesz, nie naydziesz przyczyny,
Chyba żeć milszy podobno kto iny.

A ja co mam rzec? nie chcę się przeciwić:
Temu się iedno nie mogę wydziwić,
Zkąd tę niestałość białegłowy maią,
Że się, iako wiatr letni odmieniaią.

Niedawne czasy, gdy mię poczytano
W liczbę fortunnych, y za tego miano,
Który mógł wszystko otrzymać u ciebie,
A mnie się zdało, żem był wszystek w niebie.

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieią,
Straciłem wszystko zaraz y z nadzieią:

Nie wiem, co mię za wiedźma osypała
Y lichem zdradnych słów oczarowała.
Niech ci się, miła, wszystko dobre wodzi,
Z kimkolwiek przestać twoie serce godzi.
Ale rozeznać umiey przyjaciela,
A trudno naleźć masz jednego z wiela.
Nie dufay temu, kto gładkość miłuje,
Bo ten na słabym gruncie się buduje:
Słońce iednako y padnie y wschodzi,
Nam zawżdży z laty cokolwiek odchodzi.
A gdy czas przyydzie ostatniey potrzebie,
Ledwie się naydzie, kto ciało pogrzebie.
Takim ia chcę być przyjacielem tobie.
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie.

Przypuszczenie poety, że znalazł się ktoś inny, co pod jego nieobecność zdolał zawładnąć sercem Hanny, a przynajmniéj był lepszą partyą od niego, okazało się słusznem. Mimo to, wzgardzony poeta nie odrazu dał za wygranę, lecz pojechał do Hanny, ażeby z jéj własnych ust dowiedzieć się o przyczynie takiego obrotu sprawy. Pojechał, scena zaś, jaka się rozegrała pomiędzy nim a Hanną, nie obeszła się bez skarg i łez z jéj strony; Kochanowski jednak, nie przekonany ani temi „łzami krokodylowemi" Hanny, ani „zmyślonemi skargami" jéj rodziców, odjechał w tém przeświadczeniu, że mu za jego szczere uczucia odpłacono „niecnotą y fałeszną zdradą", a kiedy mijał wrota, prowadzące do folwarku swych krzywdzicieli, patrząc na nie, pewny, że je widzi po raz ostatni, takie im rzucił pożegnanie:

Bóg was żegnay, niewdzięczne, y nieludzkie wrota,
Świadome mych częstych dróg, y mego kłopota:
Boday tu pajęczyna, y pleśń na was padła,
A te niewierne zamki rdza plugawa ziadła.

. . . .

Cierpiałem ia tak wiele, że mię wstyd powiadać,
A mógłby mi bezpiecznie każdy głupstwo zadać:
Żem sye dał za nos wodzić czas tak bardzo długi,
Bacząc, że w małey wadze były me posługi.

Chciałem złość jakokolwiek wytrwać uprzeymością,
A zwyciężyć niewdzięczność swoią statecznością:
Ale moia uprzeymość, y statek był próżny,
A iey niebaczny umysł zawżdy memu różny...

Do domu powrócił rozżalony i rozgoryczony, pełen zwątpienia o sobie. Ale dotkliwie zadraśnięty w swéj miłości własnéj, pocieszał się myślą, że „ludziom złym będzie swa zapłacona wina", a tymczasem choć „cierpiał, jako mógł" i „frasował się ustawnie", starał się przebo-

léć doznaną krzywdę, zapomnieć o płochéj dziewczynie. „Mężem być trzeba...”

Ale jeszcze się nie zdążył uspokoić po odniesionéj klęsce, kiedy go w kilka tygodni niespełna, bo jeszcze przed końcem r. 1571, doszła wiadomość z Warszawy, że Hanna wyszła za mąż, a wesele odbyło się na zamku, w obecności królewny i króla [1]). Choć to było do przewidzenia, jednakże na wieść o tém, poeta nie umiał ukryć swéj boleści: dopiéro teraz przekonał się, jak namiętnie kochał, jak się czuł nieszczęśliwy z powodu utraty téj dziewczyny:

Muszę wyznać, bo sie już nie masz na co chować:
Nigdybych był nie wierzył, bych tak miał żałować,
Tego zwłaszcza, co nigdy mym własnym nie było:
Poprawdzie mi nie prawie źle serce tuszyło.

Aleciem barzo nagle wypadł z tey nadzieie,
A moiey sie przygodzie nieprzyiaciel śmieie:
Kto drugi ma bez prace, o co snadź dbał mało,
A mnie za me staranie złe szczęście podkało.

Samem swą własną ręką tę winnicę grodził,
Aby iey był ani zwierz, ani zły ptak szkodził.
Polewałem, żeby iey słońce nie suszyło,
Nakrywałem, żeby iey zimno nie mroziło.

A kiedy mię nalepsze miały podkać gody,
Nie wiem co za zły człowiek oberwał iagody.
Y używa z rozkoszą, czego dostał snadnie,
A mnie patrząc ieno się serce nie rozpadnie.

Bodayże nie przechował, a boday poleżał:
Nie wiem iako mię do gron tak pięknych ubieżał.
Ja sobie tak dobrych lat doczekać nie tuszę:
Podobno, iako niedźwiedź, łapę lizać muszę.

Widząc przecież, że nie pomogą żadne gorzkie żale, a czując jednocześnie, jak ta boleść podkopywała jego zdrowie, usiłował nie frasować się dłużéj, „być niepożytym we wszelkiém nieszczęściu”, zwłaszcza, że w jego ostatniéj klęsce „jużci nie cnota traciła swe myto”.

---

[1]) „Cyrus, który wciąż na dworze polskim w charakterze posła cesarskiego przebywał i o najdrobniejszych szczegółach dotyczących dworu, do Wiednia na gorąco donosił, pisze pod d. 26 grudnia 1571 r., iż na weselu, które królewna Anna wyprawiła dla jednéj z panien, należącéj do jéj fraucymeru, obecnym był i król Zygmunt..“ Na téj informacyi, podanéj przez Cyrusa, opiéra się hypoteza prof. Plenkiewicza, że to właśnie Hanna była ową panną, któréj królewna w tych czasach wyprawiła wesele na zamku. Pewności jednak, że to było wesele byłéj narzeczonéj Kochanowskiego, nie ma żadnéj. Ale prawdopodobieństwo, że to mowa o niéj właśnie, jest wielkie.

Przeto choć drogo,
Szczęście się z tobą
Obchodzi, sobą
Nic nie trwóż,

sowicie bowiem „Bóg zwykł nagradzać temu, kto zdradzać nie zwykł nikogo". Jednocześnie pocieszał się myślą, że Hanna nie była żoną dla niego: zakochana w sobie, próżna i płytka, była to pospolita dusza w piękném ciele, a choć to ciało było powabném rzeczywiście, to jednak nie w tym stopniu, jak to się wydawało Hannie. Bo nie wszystko było prawdą, co on, w uniesieniu miłosném, wypisywał o jéj piękności, kiedy się sadził na wierszowane pochlebstwa, których jéj próżność tak była żądną.

Próżna twa chluba, nie kochay sie w sobie:
Nie wszytkoć prawda,com pisał o tobie.
Miłość mię zwiodła, y przez mię mówiła,
Że nad cię nigdy wdzięcznieysza nie była.
....Teraz w mych oczach wszystko się zmieniło
Obłudne serce wszytko pokaziło...

Złudzenie pierzchło, ale bolesny cierń został w sercu. Poeta nie mógł spokojnie myśléć o Hannie, a kiedy sobie przypomniał o niéj, czuł niesmak i gorycz.

Czego mi tedy stateczne namowy
Nie mogły wybić żadną miarą z głowy:
Czegom zbydź nie mógł, przez zioła, przez czary,
To sam dziś wyznam na sie z prawey wiary:
Żem był zabłądził w swey niemądrey sprawie,
A byłcim, jeśli komu, jak żyw prawie [1]).
Ale żeś tego wdzięczna być nie chciała,
Daley nie będziesz ze mnie sługi miała.
To com ci służył, niech iuż w niwecz idzie,
Bo jednak ten czas kiedykolwiek przziydzie,
Że ty wspomniawszy na me powolności,
Musisz zapłakać nie raz od żałości,
A ia, bych ieno o tobie nie wiedział,
Y w pustych lesiech sam rad będę siedział.

„Rad będę siedział." Rad, bo jeśli chodzi o klucz do psychologii poety w tym czasie, to należy go szukać w ostatnich słowach powyższego fragmentu: one zawierały cały program, jaki sobie Kochanowski, po swéj matrymonialnéj porażce, ułożył na resztę życia. Rozczarowany, zniechęcony i zrażony do ludzi, a do niewiast zwłaszcza,

---

[1]) Byłem ci całą duszą oddany.

coraz bardziéj utwierdzał się w przekonaniu, które już raz wypowiedział w *Carmen macaronicum*, że nie ma jak żywot ziemiański. „Przed nikim nie zginam kolana, jestem wolny, nikomu nie służę, cieszę się swą wolnością i bezpiecznym pokojem.” Tylko, że wtedy, marząc o podobném życiu, wyobrażał je sobie na tle życia rodzinnego. „Same dzieci podają mi do stołu i żona cnotliwa, gotowa ze mną znosić wszystko, co szczęście przyniesie.” Teraz, pokosztowawszy zatrutych kołaczy białogłowskiéj niestateczności, zrezygnował z rozkoszy ojca i głowy rodziny, a pisząc, że „w pustych lesiech sam rad będzie siedział”, nie wątpił, że i samotny, siedząc na roli, będzie się czuł szczęśliwszy, aniżeli gdyby po tém wszystkiém, co zaszło, wrócił na dwór. Tylko by się naraził na złośliwe drwiny swych towarzyszów dworskich, którzy i tak, gdy się rozeszła wieść, że jego Hanna wychodzi za innego, a jemu dała odkosza, śmieli się z niego, jak dawniéj naigrawali się z jego niefortunnych konkurów... Wiedział, że i tak „nieprzyjaciel śmiał się jego przygodzie...” Toż musiano sobie stroić żarty, kiedy się odbywało wesele Hanny! I w takich warunkach miałby wracać na ten „zwodniczy” i „zawodny” dwór, po którym się tyle spodziewał niegdyś, a na którym wogóle zawiódł się tak boleśnie. A zresztą dosyć już miał tego czczego i próżniaczego życia, urozmaicanego plotkami i intrygami, pijaństwem i rozpustą! Gdyby nie Hanna, już by je dawno porzucił!

W takim nastroju ułożył Elegię XV księgi 3 éj, streszczającą się w znamiennym wykrzyku: „Żegnaj dworze zwodniczy! Nie dbam o twoje wielkie obietnice. Wolność droższa mi nad perły...” Równocześnie wrócił do pracy nad Psałterzem, tylko o ile z początku, gdy przystępował do tłómaczenia tych Dawidowych natchnień, nosił się z myślą dedykowania swego przekładu królowi (jak tego dowodzi list do Fogelwedra), o tyle teraz, ostatecznie zrażony do dworu, pozwalał dojrzewać innemu zamiarowi, który pomijał króla, a miał na celu zaszczytne wyróżnienie Myszkowskiego. Prawie wszystko bowiem, co miał, co zyskał w ciągu swéj służby dworskiéj, zawdzięczał Myszkowskiemu, nie królowi... Bądź co bądź, nastrój psychiczny, w jakim obecnie zabrał się do kontynuowania swéj pracy, tak odpowiadał smutkowi, wiejącemu z psalmów króla-proroka, że poeta, przekładając je, znajdował niemałe ukojenie w przygnębiającym ucisku ducha. I on bowiem, jak psalmista, mógł powiedziéć o sobie:

...od wszystkiego świata opuszczony,
Pełne mam serce nieznośnéj żałości.

I on, doznawszy krzywdy od ludzi, mógł skarżyć się, jak Dawid w psalmie XXXV-ym: „Lecz oni, gdym ja chorował, weselili się

i zbiérali przeciwko mnie, jakoby byli dla mnie utrapieni, czegom ja nie spostrzegł". I on, wspominając różne przykrości, których doświadczył od zawistnych dworaków, mógł wołać w oburzeniu: „Z obłudnikami, z naśmiewcami, z pochlebcami zgrzytali na mnie zębami swemi." Jak dalece poeta nie mógł wyjść z siebie, nie mógł zapomnieć o doznanych krzywdach, kiedy mu wypadło tłómaczyć powyższe ustępy, o tém świadczy dowolność, z jaką je przełożył, a która mu dała możność napiętnowania swych krzywdzicieli:

A oni się w méj pladze weselili
I schadzki o mnie tajemne czynili,
Chasza nikczemna!
Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmojadowie.
. . . .
Panie, kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz.
Widzisz, o Panie, jawną krzywdę moją...
Wstań a rozciągnij swój sąd sprawiedliwy,
A uznaj, kto z nas praw jest, a kto krzywy.
. . . .
Osądź mię według swéj sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętéj zazdrości
Pociechy ze mnie.

Te osobiste skargi nietylko przekształcały ton i formę oryginału, lecz wprowadzały „nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia" [1]). Podobnie stało się z psalmem XXXVIII, w którym poeta-tłómacz jakby wyrzucał swym bliskim, że niedość współczuli jego nieszczęściu.

---

[1]) Zob. „Ateneum" za październik r. 1897: *Artyzm Jana Kochanowskiego* przez Br. Chlebowskiego, za którego pracą *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów* idzie także i prof. Plenkiewicz. „Każda zwrotka w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie *crescendo* oburzenia czy protestu, przerwane, jakby potężnym akordem w innéj tonacyi, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzyka, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć, od prośby pokornéj do wybuchu gniéwu i nienawiści." Tak o tym psalmie pisze pięknie Br. Chlebowski, a prof. Plenkiewicz, zestawiając jego tekst z oryginałem, dodaje: „Jak widzimy, podobnych epitetów, jak chasza nikczemna, głodni pochlebce etc., nie ma w obu wersetach, ani w żadnym ze znanych przekładów Biblii, nie wyłączając Psałterza Floryańskiego. Nie trudno też odgadnąć, kogo ową tłuszczą podłą nazywa poeta. Również tekst nic nie mówi o głodnych darmo-jadach dworskich: to już dodatek poety."

Bliscy moi zdaleka na mój ból patrzali,
Powinowaci zgoła wszyscy mnie nie znali,
A zły człowiek tymczasem czynił o mnie radę,
I mówił, co chciał, i zmyślał zdradę!...

Ale jak nie ma reguły bez wyjątków, tak i w tym razie, jeżeli chodzi o „bliskich" i „powinowatych" poety, znaleźli się tacy, którzy na jego „ból" na patrzyli obojętnie „zdaleka", lecz głęboko brali go do serca. Do takich, oprócz niezamężnéj siostry, Anny, która mu prowadziła gospodarstwo domowe, i oprócz Mikołajowstwa Kochanowskich, z którymi, jako swymi najbliższymi sąsiadami, żył w przykładnéj zgodzie i przyjaźni, należał przedewszystkiém Myszkowski, który ze swéj rezydencyi w Płocku raz po raz przypominał się poecie. Kochanowski, wdzięczny z natury, umiał ocenić te dowody życzliwości ze strony swego dostojnego przyjaciela i mecenasa. Ujęty niemi, a pomny wszystkich dobrodziejstw, jakie zawdzięczał Myszkowskiemu, napisał *Muzę*, poemacik, w którym się poleca opiece mieszkanek Helikonu, prosząc je, aby mu pozwoliły opiewać szlachetne czyny biskupa. Bo kogóż miał unieśmiertelniać on, który „za cześć poczytał sobie, że się dróg innych, niż pospólstwo, chwytał", on, który „sobie śpiewał a muzom", a który, wzgardziwszy złotem. o to dbał tylko, aby po swéj śmierci

był u ludzi w powieści właściwey,
A nie podlegał wszytek śmierci zazdrościwey.

Bo choć za życia mało znał takich, „coby serce ucieszyć chcieli jego pieśniami", ale za to wielu takich, co „łapając grosza zewsząd, a podobno k rzeczy", nie wahali się twierdzić, że z rymów nie ma żadnéj korzyści „krom próżnego dźwięku", to jednak miał nadzieję,

że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty:
A co mi za żywota uymie czas dzisiejszy
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Lecz będąc pewnym, jako poeta, swéj nieśmiertelności, pragnął „uczcić pieśniami swemi nad złoto droższemi" tych przedewszystkiém, którzy jego prace zaczęte „szczęścili swą przyjaźnią", a do takich należał przed innymi Myszkowski,

Który swą hoyną ręką podeprzéć mię raczył.
Nie przeto, żebym przed nim stał w pacholczym kole,
Albo y przy nastółce ciągnął się przez pole,
Ale żebym wygnawszy niedostatek z domu,
Tym głośniey śpiewał, a nie podlegał nikomu.
Tę łaskę jego, proszę, siostry wiekopomne,
Pomnicie opowiadać na czasy potomne,

bo już Horacy powiedział, że tylko ten przejdzie do nieśmiertelności, kto znalazł swego poetę, opiewającego jego czyny.

Nie sama od przyiaciół, ni od matki łona
W opce kraie Helena morzem uniesiona.
Nie ieden Menelaus o żonę się wadził;
Nie pierwszy Agamemnon tysiąc naw prowadził.
Nie raz Troia burzona: przed Hektorem siła
Mężnych było, którym śmierć przy oyczyźnie miła.
Ale wszyscy w milczeniu wiecznêm pogrążeni,
Że poety zacnego rymy przebaczeni.

Z tych pobudek zrodziła się *Muza*, jedno z arcydzieł Kochanowskiego, utwór, w którym się wzniósł na wyżyny, i filozoficzne, i artystyczne, na jakich jeszcze nie przebywał dotąd. „Czy jednak sama wdzięczność dla Myszkowskiego, zapytuje prof. Plenkiewicz, na te wyżyny talent jego podniosła i w takiéj go objawiła potędze? Wdzięczność bezwątpienia, o ile jest rzadkiém, o tyle silném uczuciem, ale silniejszą od niéj jest zawiedziona miłość, która, jeżeli nie złamie skrzydeł, do tym silniejszego lotu pobudza... *Solus amor docuit blandos me fingere versus* [1]), powiada sam o sobie poeta; ale gdy zmysłowa miłość dla Lydii trawiła go tylko ziemskim płomieniem; miłość dla Hanny, z saméj swojéj natury, nie mogła sprawić w jego duchu podobnych, jak tamta, spustoszeń. Pożar pierwszéj spopielał w samym zarodzie każde podnioślejsze natchnienie; płomień drugiéj przetopił tylko złoto jego serca i wydzielił z niego wszystkie żuzle, które tam z lat dawniejszych osiadły. Więc téż poeta z próby ostatniéj wyszedł czysty, bez skazy, nie uroniwszy nic z swojéj godności człowieka. Dwie te miłości są epokowemi wypadkami w jego życiu; tylko pierwsza trzymała go przy ziemi, druga zaś podniosła na wyżyny, których już nie miał nigdy opuścić."

Nie znaczy to jednak, ażeby Kochanowski, oczyszczony w ogniu téj zawiedzionéj miłości, łatwo i prędko przestał cierpiéć z jéj powodu. Tak nie było bynajmniéj. Zakopał się w swych „głuchych lesiech", a więcéj oddany książkom, rozmyślaniu i poezyi, ludziom udzielał się jaknajmniéj. Za towarzyszkę miał swą siostrę Annę, pod któréj dobroczynnym wpływem powoli zabliźniała się jego rana serdeczna, ale towarzystwo jéj, choć umilało mu pustkę domową, łagodząc boleść, nie usuwało ciernia, który sercu dolegał. Reszty miał dokonać czas, ów „doktór każdemu", lecz nie brakło także wypadków, które iskrę téj „opętanéj miłości" rozdmuchiwały na nowo. Do takich wypadków,

---

[1]) „Sama miłość nauczyła mię słodkie składać wiersze." Elegia I, ks. I.

niewinnych napozór, należało wesele brata poety, Andrzeja, z Zofią Sobieską, wesele, które miało się odbyć zaraz po Trzech Królach r. 1572. Kochanowskiemu, jako jedynemu nieżonatemu bratu pana młodego, wypadło być starszym drużbą! Odmówić nie mógł, drużbować musiał, ale mu to drużbowanie mocno musiało iść nie w smak, zważywszy, iż w całéj okolicy wiedziano o jego przygodzie... Mimo to nie mógł nie brać udziału w weselu brata, musiał wystąpić publicznie, a tém samém narażać się na złośliwe uśmiechy bliższych i dalszych sąsiadów, wytrzymywać ich znaczące spojrzenia...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Czarnolesie (1572 — 1584).

Żywot ziemiański poety. — I. Żniwo śmierci. — Sytuacya polityczna. — Kochanowski w Krakowie. — Wybór Henryka. — Nadzieje poety. — Powrót do Czarnolasu. — Rozmowy z siostrą. — Dorota Podlodowska. — Geneza *Sobótki* i *Dziewosłęba*. — Wjazd króla Henryka. — Znajomości. — Rozczarowanie. — Powrót do domu. — Postanowienie ożenienia się. — Ucieczka Henryka. — Ślub poety. — II. Miodowe miesiące. — Zjazd w Stężycy. — Myszkowski w Czarnolesie. — Odwiedziny Olbrachta Łaskiego. — Odpowiedź Kochanowskiego na wiersz Desportes'a *Adieu à la Pologne*. — Napad Tatarów. — Na sejmie konwokacyjnym. — Przekład *Psałterza*. — 18 kwietnia 1576 r. — Jan Zamojski w Czarnolesie. — *Odprawa posłów greckich*. — Ponowna praca nad Psałterzem. — Śmierć Kacpra Kochanowskiego i mowa pogrzebowa Jana. — Życie rodzinne. — Zajęcie Inflant. — Wojna. — Dwa listy od Zamoyskiego. — *Orfeus Sarmaticus*.—Zaślubiny Jana Zamoyskiego.— Nowe żądanie Zamoyskiego. — *Dryas* i *Pan*. — Podróż do Wilna. — Myszkowski mianowany biskupem krakowskim. — Kochanowski w Krakowie. — W Promniku.— Powrót na wieś. — Znowu u Myszkowskiego. — Jasne dni w Bodzentynie. — W domu. — W Krakowie. — *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*. — Druk Psałterza. — Oblężenie i wzięcie Połocka. — *Liryca* łacińskie. — Przywiléj królewski. — Woyski ziemi sandomierskiéj. — Poeta oficyalny. — Dostatek. — Śmierć Urszuli. — *Treny*. — Trzy nowe utwory dla Zamoyskiego. — Druk *Trenów*. — Śmierć drugiéj córki. — Wojna na północnym wschodzie.—Batory pod Pskowem.— Smutny nastrój poety. — Złe wiadomości polityczne. — *Epinicyon*. — Epitalamium na ślub Zamoyskiego z Batorówną. — *Jezda do Moskwy*. — Duchowy upadek. — III. Przeczucie śmierci. — Rok 1583. — Zbiorowe wydanie dzieł. — Układy z Janem Januszowskim. — *Fraszki*. — Śmierć Jakóba Podlodowskiego. — Ostatnia podróż do Lublina. — Śmierć. — Kilka słów o książce prof. Plenkiewicza. — Ogólna charakterystyka Jana Kochanowskiego, jako człowieka i poety. — Jego stanowisko w poezyi polskiéj. — Zakończenie.

„Łany ojczyste uprawiam.” Temi słowy zaczyna się Elegia XV księgi 3-éj, napisana w chwili, gdy już poeta zdecydował się osiąść na wsi, gdy się utwierdził w przekonaniu, że więcéj ma w sobie danych na

ziemianina, aniżeli na królewskiego sługę. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: życie wiejskie, spokojne, niezależne, nadzwyczaj odpowiadało jego charakterowi, jego dążeniu do psychicznéj równowagi i harmonii, a jeśli chodziło o poezyę, o pracę umysłową, to na wsi, gdzie mu było wolno „wszystkie godziny według własnego rozłożyć upodobania", mógł pracować o wiele lepiéj, niż na dworze, w rozstrajającéj atmosferze zawiści i intryg. To też, odkąd powrócił do Czarnolasu, pisał więcéj, niż kiedykolwiek. Przekonał się również, że gospodarzowi, doglądającemu pracy w polu i gumnie, nic nie przeszkadza być wykształconym humanistą i poetą, rozmiłowanym w pisarzach greckich i rzymskich. „Więc albo się Sokratesa naukom przysłuchuję (pisał we wspomnianéj elegii), by duch nawykał z nich własnych pozbywać się błędów; albo składam pieśni, zgodne z tworami łacińskiéj Muzy, które mój Sarmata miękim głosem śpiéwać będzie; nie wstyd mi téż płodnych hodować owieczek; większy wstyd, sądzę, czyimś mienić się sługą." Wieś, jego zdaniem, była początkiem wszystkiego, z niéj wyszła cywilizacya, ona jest rozsadnikiem cnót, podobnie, jak pańskie i królewskie dwory szerzą zgorszenie i złe obyczaje. „Wprzód były wsie, niż grody obwiedzione murami; bez nich cierpianoby głód po miastach wieżonośnych." Dlatego wolał żyć na wsi... W tém uczuciu, podobnie, jak przed paru laty napisał w *Carmen macaronicum* „kilka słów na pochwałę żywota ziemiańskiego", tak obecnie, tylko patrzéć, jak napisze w *Sobótce:*

Wsi spokoyna, wsi wesoła.
Który głos twey chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki,
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twey pieczy uczciwie,
Bez wszelakiéy lichwy żywie:
Pobożne iego staranie
Y bezpieczne nabywanie.

Inszy sye ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżey niż na piędzi.

Oracz pługiem zarżnie w ziemię:
Ztąd y siebie, y swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatrnie swóy dobytek.

I.

Ale i na wsi życie nie bywa całkiem wolne od utrapień: wystarczy mieć przyjaciół, rozrzuconych po różnych stronach kraju, i otrzymywać smutne wiadomości o ich zejściu ze świata. A zdarzyło się właśnie, iż poeta, odkąd osiadł na stałe w Czarnolesie, takich żałobnych wieści otrzymał cały szereg: umarł Royzyusz, umarł Jan Leopolita, umarł Stanisław Grzepski, umarł Padniewski. Pod wrażeniem tych smutnych nowin, zwłaszcza pod wrażeniem dwóch ostatnich, Kochanowski napisał trzy epigramaty: jeden na śmierć „wymownego" Grzepskiego, na którego złotoustą mowę „zarówno Grajowie, jak i Auzonowie, nadstawiali uszu", i dwa na zgon biskupa krakowskiego, w którym bądź co bądź widział swego pierwszego protektora.

Niebawem jednak, bo już w połowie lipca 1572 r., przyszła koléj na zgon donioślejszego znaczenia: w Knyszynie zmarł Zygmunt August. Cały kraj przywdział żałobę po ostatnim z Jagiellonów, spodziéwając się może, iż ta bolesna strata wywoła jakie podniosłe *requiem*, skréślone natchnioném piórem czarnoleskiego wieszcza, ale niedawny sekretarz nieboszczyka, rzecz szczególna, jakoś nie uderzał w swój poetyczny bardon. I nie uderzył... Tymczasem zaczęło się pamiętne bezkrólewie, podczas którego, gdy się zastanawiano nad pytaniem: w jaki sposób dokonać obioru króla?... niepopularny dotychczas Zamoyski, ogłosiwszy zasadę wolnéj elekcyi *viritim*, odrazu stał się najpopularniejszym mężem w całéj Polsce. Kochanowski, jak się okazuje z jego *Marszałka*, był przeciwny temu pomysłowi; mimo to, zjechawszy na sejmik wiślicki, dał się unieść przeważnemu prądowi, tak, że gdy zwołano sejm konwokacyjny do Warszawy na dzień 15 stycznia 1573 r., ruszył do stolicy Mazowsza. Tu zetknął się z Myszkowskim, a że ten pospołu z Jędrzejem Dudyczem i Janem Firlejem, usilnie pracował nad przeprowadzeniem kandydatury rakuskiéj, więc i poeta, jako serdeczny przyjaciel wszystkich trzech, odrazu przejął się sympatyami dla arcyksięcia Ernesta, wotując przeciwko jego współzawodnikom. Obrano jednak Henryka Walezego, królewicza francuskiego. Gdy poselstwo wyruszyło do Paryża po króla, Kochanowski wrócił do domu, a niebardzo ubolewając nad upadkiem swego kandydata, niemało spodziéwał się po owym „panu Gawęckim" (jak Henryka nazywała gardłująca za nim, a przekupiona przez Montluca, szlachta mazowiecka): zdawało mu się, że nietylko Rzeczpospolita, ale i on, jako poeta, mógł nie wyjść źle na wyborze Walezego. „Ten młody książę wyrósł w tradycyach, które od czasów Franciszka I-go starannie pielęgnowano na dworze

francuskim. Od kolébki żył w atmosferze poezyi... Czemużby, powołany na tron nad Wisłą, nie miał tu podnieść nauk, zaopiekować się młodą muzą słowiańską?" Ożywiony podobnemi nadziejami, proboszcz poznański, ledwo się znalazł pod dachem swego czarnoleskiego dworku, odrazu został nagabnięty przez cały chór ciotek, sióstr i bratowych, aby się żenił. Być może, iż wszystkie szturmy, które te zacne białogłowy przypuszczały do niego, rozbiłyby się o jego niemożność zdecydowania się na ten krok ryzykowny, gdyby nie siostra Anna, która, mieszkając przy poecie, miała niemałą przewagę nad nim: jéj namowy, żeby porzucił stan kawalerski, nie pozostały bez wpływu. „Poeta żywił dla niéj nietylko głębokie przywiązanie, lecz miał i ufność w jéj rozum, oparty na doświadczeniu i instynkcie niewieścim. Jeśli téż w radach innych widział zwykłą niewiastom chęć swatania, to w jéj namowach odgadywał siostrzaną troskę o zapewnienie mu szczęścia." Cóż, kiedy różnili się zasadniczo w poglądach na kwestyę małżeństwa: poeta, choć sam nie młody, chciał żony młodéj i pięknéj, któraby go pociągała swoim powabem, a przytém i materyalne względy brał w rachubę: mianowicie nie chciał brać panny ubogiéj, wiedział bowiem, że ożeniwszy sią, utraci swe beneficya duchowne, że będzie musiał zrzec się lwiéj części swoich dotychczasowych dochodów, a żyć z tego tylko, co mu przyniesie gospodarka, lękał się. Wbrew przeciwnego zdania była Anna, która dowodziła w ten sposób:

— A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia,
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba:
Jako wstydu, a cnoty...
Bo acz to wszytko dobre, y ma swe przysmaki,
Ale z cnotą złożywszy, póydzie między braki.
Cnota tedy ma przodek, iako w każdey rzeczy,
Tak y w małżeństwie, y tę naprzód miey na pieczy.
Bo gdzie ta iest, by dobrze nic więcey nie było,
Człowiekowi z nią samą żyć na świecie miło.
Gdzie tey nie masz, tam wszytko swoją cenę traci:
Zacność precz, a uroda przez niey iuż niepłaci [1]).

---

[1]) Zob. *Dziewosłąb* Kochanowskiego, napisany na krótko przed ożenieniem poety, a który powstał pod wpływem rozmów z Anną. Dowodzi tego zakończenie poemaciku, gdzie poeta mówi wyraźnie:

Tom ia pisał na siostry swey miłey żądanie,
Które u mnie tak ważne, iako rozkazanie.
Y sama się do tego dobrze przyłożyła:
Naleść rym, to nawiętsza moia praca była.

Jakkolwiek niełatwo, to jednak, rozważywszy argumenty siostry, poeta dał się przekonać w końcu, ale w połowie tylko. Zgadzał się, że dla cnotliwéj i zacnéj żony można się wyrzec posagu; zgadzał się nawet i na to, co mówiła siostra, że „jeżeli chcesz mieć dostatek przy żonie, to wyórz go z roli, a ostatek Bogu poruczaj"; ale poczyniwszy tyle ustępstw, jednéj rzeczy wymagał bezwarunkowo: musi mieć *piękną* żonę. Innéj nie pojmie.

— Proszę cię, miało li-by kiedy przyyść do tego,
Niechaj nic nie miłuję, co jest szkaradnego,
Ostatek na twą łaskę puszczam. Niemieć złota
Jeszcze nie szkoda, ale szkoda co sromota.

Usłyszawszy podobną gotowość z ust brata, Anna podsunęła mu myśl ożenienia się z Dorotą Podlodowską. Była to panna jakby stworzona dla niego. Nie pierwszéj ale i nie przekwitłéj młodości, bo 26-letnia, pochodziła z zacnego i znanego gniazda, o którém Rey wspomina w swoim *Zwierzyńcu*, nazywając ród Podlodowskich „mnożnym, jak zające, choć się z ich obyczajami nigdy nie rodzili", a ojciec jéj Stanisław przydomku *Lupa*, dokładnie znany z *Dworzanina* Górnickiego, cieszył się, jako podstoli sandomierski, wielką popularnością wśród okolicznéj szlachty. Niezmiernie prawy i uczciwy, był to namiętny konserwatysta, przeciwnik obyczajów włoskich, a rubaszny i jowialny w sposobie wysławiania się; wszystko, co miał na sercu, miał i na języku. Serce miał poczciwe, szczeropolskie! Żona jego, Elżbieta Bijejkowa z Falęcic, Mazurka z ziemi Czerskiéj, była kobietą religijną, a jako Mazurka, wcale nie skłonną do przyjmowania nowinek. Ztąd poszło, że Dorota otrzymała wychowanie w duchu ultra-katolickim. Nadto, od dziecka wychowywała się w zasadach uległości, prostoty obyczajów, surowego przestrzegania uczciwości i cnoty. Czy zasługiwała, jak Hanna, na miano „uczonéj białogłowy"? W ogóle pani Podlodowska bardzo dbała o wykształcenie swych dzieci. Młodszy z jéj synów, Grzegórz, kształcił się w uniwersytecie, współcześnie z Kochanowskim. W téj chwili gospodarował na paru wsiach ojcowskich, dzierżąc urząd starosty radomskiego. Z Kochanowskim, z którym także kolegował w kancelaryi królewskiéj, sympatyzowali zawsze, a ponieważ jeden z jego stryjów, Wawrzyniec, był ożeniony z Katarzyną Białaczowską, więc ich łączyło nawet pewne dalekie powinowactwo. Jak stały sprawy majątkowe Podlodowskich? Podstoli sandomierski, umierając, zostawił dość znaczny majątek, bo oprócz rodzinnego Przytyka, był posiadaczem kilku mniejszych i większych wsi i folwarków, z których jednak kilka, jako królewszczyzny, zakwestyonowano po jego śmierci. Mimo to nie

była Dorota panną bez grosza: tyle tylko, że wiano, które mogła wnieść swemu przyszłemu mężowi, nie było wielkie. Zdaniem jednak Anny, przemawiało to raczéj za Dorotą: bo nie trzeba brać żony znacznie bogatszéj od siebie, lub świetniejszéj pochodzeniem: najlepiéj niech się żeni równy z równą.

Podlejszą [1]) żonę poymiy, tak ja radzę tobie,
Bowiem inaczéj równi nie będziecie sobie.

Ale poeta, godząc sie w zasadzie na rozumowania siostry, miał różne argumenty, któremi motywował swoją niemożność zdecydowania się na krok stanowczy. Przedewszystkiém nie znał Doroty, nie mógł wiedzieć, czy mu się spodoba dostatecznie. Powtóre nie miał pewności, czy przez pannę dobrze przyjęty będzie. To go odstręczało od występowania w roli jawnego konkurenta. Następnie, zapominać nie należało, nie był już młodzieniaszkiem, miał lat 42, a wszyscy wiedzieli o jego narzeczeństwie z Hanną. To także nie była okoliczność zachęcająca do ponownego próbowania szczęścia. „Gdyby zresztą ową Dosię gdzie spotkał przypadkiem, zawiązał znajomość bez nasuwania ludziom domysłów, że o nią się starać zamierza, ha! to rzecz inna. Ale zalecać się bez pewności, czy go nowy zawód nie spotka", nie bardzo by mu się uśmiechało.

Anna tedy, przyzwawszy na pomoc Mikołaja i Barbarę Kochanowskich, uciekła się do fortelu. Z końcem czerwca przypadał dzień św. Jana Chrzciciela. W dniu tym, według prastarego zwyczaju, palono Sobótki po wsiach. W Czarnolesie także. A nużby tak, z powodu téj uroczystości, sprosić bliższych i dalszych sąsiadów, a w téj liczbie i Podlodowskich z Dorotą. „O to, by się panna przybyć wzdragała, nie było chyba obawy. Nie poeta podejmować miał gości, lecz państwo Mikołajowie; nie jedna Dorota miała być zaproszona, lecz wiele panien z sąsiedztwa: wszystko więc tak się składało, że spotkanie młodych ludzi w tych warunkach mogło łatwo nastąpić". Jakoż gdy nadszedł dzień św. Jana, odbyło się ukartowane przyjęcie u Mikołajów, na które ku niemałemu zdziwieniu poety, pomiędzy zjeżdżającymi się gośćmi, przybyli i Podlodowscy „z panną uderzającéj urody". Kochanowski z ciekawością przyglądał się Dorocie, wrażenie zaś, jakiego doznał, kiedy się zbliżył do niéj, odrazu wypadło na jéj korzyść. Gdy ją porównywał z innemi pannami, tylko zyskiwała na tém porównaniu.

---

[1]) Niższego stanu.

Nieprzepłacona Doroto,
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami
Toś ty jest między dziewkami.

Była to panna słusznego wzrostu, ślicznie zbudowana, o rysach regularnych, rasowych, a oczy jéj czarne, jak węgle, ocienione ciemnemi rzęsami i brwiami, tém większą były ozdobą jéj pięknéj twarzy, że była to świéża twarz złotowłoséj blondynki...

Twoia kosa rozczosana,
Jako brzoza przyodziana:
Twarz iako kwiatki mieszane,
Leliowe, y różane.
　　Nos jako sznur upleciony,
Czoło iak marmor gładzony:
Brwi wyniosłe y czarnawe:
A oczy dwa węgla prawe.
　　Usta twoie koralowe:
A zęby szczere perłowe:
Szyia pełna, okazała:
Piersi iawne, ręka biała.

Wobec tak niepowszedniéj urody, cóż dziwnego, że poeta, zbliżając się do panny, przystępował z jaknajlepszém usposobieniem, skłonniejszy do odkrywania zalet, aniżeli wad jéj charakteru, a nawet do uwierzenia, że tych wad nie posiadała zgoła. I nie rozczarował się pod tym względem: Dorota, nietylko nie straciła przy bliższém poznaniu, ale, przeciwnie, zyskiwała ogromnie, im dłużéj się z nią przestawało. W rozmowie była przyjemna, swobodna, pełna wdzięku, a to, co mówiła, świadczyło o umyśle wykształconym, a duszy prawéj i szlachetnéj. To téż poeta, zachwycony rozmową z nią, omal nie powiedział jéj, jak w *Sobótce*:

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnéy rozprawie...

Nadto przekonał się, że urocza podstolanka, choć obdarzona tak niezwykłą urodą, nic nie miała téj zbytniéj pewności siebie, która tak często cechuje kobiéty piękne.

A co cię skutniejszą czyni:
Nie masz w tobie nic hardości,
Co więc rzadko przy gładkości.

Tą skromnością, z którą jéj tak było do twarzy, był ujęty najbardziéj:

Tymeś ludziom wszystkim miła
I mnieś wiecznie zniewoliła:
Przeto cię me głośne strony,
Będą sławić na wsze strony.

Okoliczności, na których tle oglądał dnia tego Dorotę, niezmiernie sprzyjały rozbudzeniu się w nim uczuć miłosnych. Bo jeśli piękna podstolanka już i w biały dzień czarowała go swą urodą, to przy świetle rozpalonych Sobótek, gdy goście i domowi „sypali się ku ogniowi", mogła mu się wydać jeszcze piękniejszą... Jakoż doznał błogiego uczucia, że „w tę noc świętojańską znalazł kwiat cudowny paproci, który mu wielkie skarby otworzy, nie w klejnotach i złocie, ale w sercu zacnéj, nad wyraz pięknéj duszą i ciałem niewiasty".

Pod wrażeniem téj nocy, mającéj stanowić epokę w jego życiu, napisał swoją *Sobótkę*, poemat, o którym powiada prof. Plenkiewicz, że przezeń Kochanowski daleko więcéj zbliża się do Goethego, niż przez *Odprawę posłów greckich*. W tymże czasie powstał *Dziewosłąb*, który, jako echo rozmów poety z siostrą, może służyć za dowód, że jego autor dużo przemyśliwał teraz o małżeńswie w ogóle, a o Dorocie w szczególności.

Nie mało téż myślał o Henryku Walezym, którego przyjazdu oczekiwał z niecierpliwością, tusząc, że nowy król, jako rozdawca przywilejów, wynagrodzi mu stratę beneficiów duchownych na wypadek jego ożenienia się: bo nosząc się z matrymonialnemi zamiarami, poeta nie rezygnował z dostatku, w jakim żył, będąc proboszczem poznańskim. Niedostatku się lękał... Temi pobudkami powodowany, pragnąc w chwili przyjazdu nowego monarchy polecić się jego łaskawości i szczodrobliwości, napisał odę łacińską *Do Henryka Walezego bawiącego we Francyi*, wzywając tego „największego z królów, na najpiękniejsze powołanego królestwo", ażeby nie zwlekał, lecz wyrwawszy się z tkliwego uścisku stroskanéj matki, uciekł przed łzami zasmuconych sióstr i jaknajprędzéj „na dzielnym rumaku pokazał się na sarmackich równinach, pośród orszaku matek z pacholętami i śród pospóltwa, zbiegającego się w zbitych tłumach, by zobaczyć nowego króla". W téj nadziei, z początkiem r. 1574, wyruszył do Warszawy. Tutaj przyłączył się do żałobnego orszaku 60-ciu dworzan, jadących — konno — za trumną Zygmunta Augusta, i po dwutygodniowym pochodzie, w dniu 14 lutego, stanął wraz z całym konduktem pogrzebowym w Krakowie, gdzie śmiertelne szczątki ostatniego z Jagiellonów złożono w grobach na Wawelu. Kochanowski, biorąc udział w tym pogrzebie, miał podwójne wyrachowanie: przedewszystkiém, za dawną służbę,

zwłaszcza za ostatnie lata, przypadała mu należność. „Liczył téż i na to, że król nieboszczyk, pomnąc na jego 7-letnie zasługi, obdarzył go w testamencie jakim zapisem. Wypadało przeto wraz z innymi się stawić, by nie powiedziano, że do brania jest, a obowiązku nie pełni.” Nadto zależało mu i na tém jeszcze, ażeby, żegnając swego dawnego pana, jednocześnie być przy powitaniu nowego, być obecnym przy jego wjeździe do stolicy. Wjazd ten, nadzwyczaj uroczysty, odbył się przy słonecznéj pogodzie d. 16 lutego 1574 r. Kochanowski, kiedy pospołu z innymi dworzanami „uzarskim strojem przybranymi” jechał konno za pocztami senatorów, jechał z tém błogiém przeświadczeniem, że nowy król okaże się hojniejszym od starego, że inaczéj oceni poetę. Nie wątpiąc o tém, napisał epigramat *Do króla Henryka Walezego przybywającego do Krakowa*, w którym opisał tę chwilę „gdy całe miasto wysypało się na powitanie wielkiego króla, gdy lud i senat i rycerstwo z okrzykami go przyjmowało”; a pewność ta wzrastała w nim, gdy niebawem znalazł się wraz z innymi dworzanami w orszaku koronacyjnym. Cóż dopiéro, gdy mu się udało za pośrednictwem biskupa poznańskiego, Konarskiego, być przedstawionym młodemu monarsze, gdy mu wręczył swoje utwory, sławiące jego dostojną osobę. Jak wielką wagę przywiązywał do téj prezentacyi, świadczy wiersz dziękczynny *Do Jadama Konarskiego*, napisany pod świéżem wrażeniem przyjazdu Henryka.

Ciebie rzesza, y uszy cesarskie słuchały,
Świeżo y król francuzki sławny, z którey strony
Przywiódłeś nam Monarchę pod zimne Triony.

Jednocześnie wszedł w stosunki z Francuzami, przybyłymi z Henrykiem, a w téj liczbie i z poetą francuskim, Filipem Desportes, cieszącym się pewną sławą, jako sonetysta i naśladowca Aryosta.

Lecz płynęły dni i tygodnie, upłynął marzec, a spodziewane łaski jakoś nie spadały na poetę. Na nic się nie przydały znajomości z Francuzami, z którymi tyle wina wypił podczas uroczystości koronacyjnych. „Przy kielichu *les bons camerades* obiecywali przypomnieć go swojemu panu; lecz po wytrzeźwieniu każdy myślał tylko o tém, by swe przy nim stanowisko na własną korzyść wyzyskać”. I królem także się rozczarował, widząc, że jako sekretarz królewski nie miał co robić przy boku nowego pana: Henryk bowiem, po za urzędowemi stosunkami, w których zaledwo senatorów przypuszczał do siebie, jaknajściśléj zamykał się w otoczeniu własnych dworaków francuskich. Niemniejsze rozczarowanie czekało poetę, gdy się dowiedział, jak zadecydowano wykonać testament Zygmunta Augusta. Testament za-

wierał ustęp o dworzanach „którzy ustawicznie służb naszych pilni byli”, ale gdy przyszło do spełnienia legatu, skończyło się na tém, że ani Kochanowskiemu, ani innym dworzanom, nie dostało się nic zgoła...

Zawiedziony, boleśnie dotknięty w swéj dumie, że „on, wieszcz poświęcony, nie znalazł należytego uznania”, wrócił do Czarnolasu, a już w czerwcu zrzekł się prelatury poznańskiéj, co się pozwala domyślać, że się w tym czasie zaręczył z Dorotą... Zadowolony ze swéj doli, do czego najwięcéj przyczyniało się błogie przeświadczenie o wzajemności ze strony panny, napisał swego *Marszałka*, który „w takim samym stopniu daje klucz do wyrozumienia w jego życiu nowego zwrotu, polegającego na umiłowaniu złotéj mierności, jak *Carmen macaronicum* do wyjaśnienia pobudek, które go do obrania stanu świeckiego skłoniły”.

To tylko krótko powiem: dochody szczupleysze,
Ale myśl bezpieczniejsza, y serce wolniejsze.

W tych słowach zamykała się jego teraźniejsza filozofia życia. Nie dbał „o pompę, ani o Infuły”, jak Nidecki (który niedawno, gwoli intratnych beneficyów, przyjął święcenia kapłańskie), a wzgardziwszy bogactwem, miłował „żywot spokojny i miarę”, nie wzbraniając się „pługu jąć czasem albo y woły poganiać”. Być może, iż rozumował by inaczéj gdyby nie był zakochany w pięknéj podstolance. Ale faktem było, że tylko marzył o tém, ażeby Dorotę jaknajprędzéj wprowadzić pod dach czarnoleskiego dworu. W końcu nadeszła owa upragniona chwila: oblubieńcy stanęli na ślubnym kobiercu. Stało się to w połowie r. 1574. „Poeta przebył ostatnią przemianę, sięgającą najgłębszych podwalin jego istoty, stworzył ognisko domowe, którego czci strzedz miała odtąd szlachetna, podniosłych uczuć niewiasta. Jako głowa przyszłéj rodziny, wnosił w nią stoicki pogląd na życie i ducha, wypróbowanego w zapasach ze zmienną losów koleją. Zarówno błędy młodości, jak i zasoby i rozczarowania wieku męskiego, tak często ze strun jego lutni odzywające się jękiem bolesnym, podnosiły go coraz wyżéj duchowo, aż stał się godnym istoty, mającéj odtąd być najczystszém źródłem jego natchnień i głowy jego koroną. Wreszcie w zgodném z nią pożyciu, opromienioném miłością, miał odnaleść wewnętrzną równowagę duchową, któréj dotąd szukał napróżno, ową harmonię, która jego utworom, w tym okresie życia poczętym i dokonanym, tak wysokie piętno artystyczne nadaje, słowem, osiągnąć najwyższą doskonałość, do jakiéj u nas wzniósł się wiek XVI w poezyi”.

II.

Tymczasem, kiedy kosztując słodyczy miodowych miesięcy, każdego dnia odkrywał nowe skarby w duszy Doroty, kiedy rozkochany w swéj pięknéj małżonce, uśmiéchał się na myśl, że nietylko sam kocha, ale i jest kochany na wzajem, skołatana Rzeczpospolita, odbieżaana przez Henryka, przechodziła przez ciężkie terminy, na które poeta, żywo interesujący się sprawami publicznemi, nie mógł patrzéć obojętnie. Rospoczęła się nowa licytacya na opuszczony tron polski, który w końcu, po długich sporach, ogłoszono za wakujący... Odbył się zjazd w Stężycy, a w zjeździe tym, naznaczonym na 12 maja 1575 r., uczestniczył i Kochanowski. Stąd oda łacińska *Na zjazd stężycki*, w któréj, obok opisu, jak „naród z twardych Sarmatów złożony, lekkomyślnego Walezego odjazdem czy téż ucieczką zawiedziony, na obszernéj rozłożył się równinie i rozbił namioty", taka jeszcze pod adresem owych „opuszczanych Sarmatów, poszukującym sobie sternika do zbłąkanéj łodzi" znajdowała się nauka polityczna: „Lecz wy zacni współobywatele, odrzućcie hojne obietnice książąt ubiegających się o tron: dzielnością bowiem, a nie podstępném bogactwem, sięga się po wysokie zaszczyty. Potém zaś, w czém was bardzo a bardzo upominam: jeżelić nam król potrzebny, toć nauczmy się słuchać i wyzujmy się z butnéj chęci przewodzenia. Na cóż bowiem zdadzą się dobre ustawy, jeżeli nikt do nich stosować się nie myśli, jeżeli wszystkim wolno rządzić Rzecząpospolitą i błahe prawa wedle upodobania stanowić?" Pod Stężycą spotkał się poeta z Myszkowskim, a jest wielkie prawdopodobieństwo, że teraz właśnie, ze Stężycy lub z pobliskiego Sieciechowa, biskup „zwrócił koła swéj kolasy" w stronę czarnoleskiego dworu, gdzie gościnnie podejmowany przez państwa Kochanowskich, zabawił dni parę...

Ledwo odjechał Myszkowski, kiedy nowy zaszczyt spadł na „lichy domek" poety: odwiedził go Olbracht Łaski, wojewoda Sieradzki, ażeby mu podziękować za zaszczytną wzmiankę, jaką o nim poeta umieścił w jednéj ze swoich elegii [1]). Kochanowski, wzruszony temi odwiedzinami swego „starego druha", nietylko przyjął go serdecznie, ale mu za ten wielki splendor, spadły na jego domostwo, podziękował czułym epigramatem łacińskim, w którym mu za najwyższą cnotę poczytał, iż choć „wielki człowiek, nawet wyższy nad swe stanowisko,

---

[1]) „Łaski, druh mój, niechaj ją (Sarmacyą) w łupy bogate przystroi, niech toczy bój ze Scytami, z którymi niemasz przymierza..."

biegły w radzie, a dzielny w boju", to jednak nie wzgardził „skromną chatą i lichą jarzynką ubogiego ogrodnika" [1]).

Wkrótce po odjeździe tych dwóch dostojnych gości przysłano poecie wiersz Desportes'a p. t. *Adieu à la Pologne*, wiersz obelżywy, który, tchnąc jadem, cały naród polski przedstawiał w najgorszém świetle, jako naród opojów i barbarzyńskich obyczajów... Kochanowski, któremu jeśli przysłano ten wiersz, to dlatego, żeby nań odpowiedział imieniem Polaków, niepozostał dłużnym odpowiedzi, wierszem zaś, zatytułowanym *Gallo crocitanti Amoibh*—Francuzowi *krakającemu* odpowiedź — dowiódł, że posiadał sztukę płatania na odlew. Niechęć jednak, którą w téj chwili pałał ku Francuzom i Henrykowi, była tak wielka, że nie poprzestał na tym jednym wierszu, ale niebawem napisał drugi, jeszcze złośliwszy: *De electione, coronatione et fuga Galli*, w którym w jaskrawych barwach schłostał ukoronowanego zbiega.

Tymczasem, d. 8 września, Tatarzy wpadli na Podole, i spaliwszy mnóstwo wsi i miast, uprowadzili 55,000 jeńców, nie licząc zabitych. „Była trwoga na ten czas po Polsce tak wielka, że ludzie wszędzie uciekali, Tatarów nie widząc, i do Krakowa był zbieg wielki". Pod wrażeniem téj klęski, oburzony niezaradnością tych, co powinni czuwać nad nietykalnością Rzeczypospolitéj, napisał Kochanowski swą słynną, pełną goryczy, a Juwenala godną Pieśń V ks. 2-éj, malującą i piętnującą nierząd ówczesnego społeczeństwa.

Wieczna sromota y nienagrodzona
Szkoda, Polaku: ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprośny
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żałosny.
. . . .
Zbóyce, niestety, zbóyce nas woiują,
Którzy ani miast, ani wsi buduią:
Pod kotarzami tylko w polach siedzą,
A nas nierządne, ach, nierządne! iedzą.

Wkrótce po napisaniu tego wiersza, z którym prawie jednocześnie powstały dwa inne, mianowicie Pieśń XIX ks. 2-éj, wzywająca do służenia „poczciwéj sławie" i łacińska oda *Do zgody*, będącéj „zbawieniem państw", wybrał się poeta w połowie jesieni, do Warszawy, na sejm konwokacyjny. Tutaj, wpadł w wir walki przedelekcyjnéj, idąc ręka w rękę z Myszkowskim i Dudyczem, którzy znowu, jak przed

[1]) Dowodu, że odwiedziny Łaskiego w Czarnolesie istotnie przypadają na pierwszą połowę r. 1575, nie posiadamy, o ile mi wiadomo, żadnego. Prof. Plenkiewicz przypuszcza, że Łaski zawadził o Czarnolas, wracając ze zjazdu Stężyckiego.

elekcyą Henryka, agitowali za kandydatem austryackim. Ale, jak i poprzednim razem, tak i teraz, nie byli pewni zwycięstwa, pomimo, że ostatecznie stronnictwo ich wraz z potężném stronnictwem Piasta zdystansowało inne. Cóż, kiedy szlachta, głosująca za Piastem, za Janem Kostką, wojewodą sandomierskim, lub Jędrzejem Tęczyńskim, wojewodą bełzkim, stawiwszy się zbrojno, niczém pospolite ruszenie, zaległa całe pole elekcyjne, w wojennem pogotowiu, grożąc wszystkim, którzyby nie chcieli głosować na rzecz Piasta. Wobec tego, a zwłaszcza wobec popularności, jaką się cieszyła ta kandydatura, niezmiernie kłopotliwém było położenie tych, co popierali innych kandydatów. Jeszcze trudniejsze było zadanie Myszkowskiego, który d. 18 listopada, przemawiając w senacie, usunął wszystkie kandydatury, a zalecając jedynie cesarza, jako monarchę, mogącego zadosyćuczynić potrzebom Polski, rozprawił się także i ze stronnictwem Piasta, wykazując, że król-polak nie na wiele się przyda Rzeczypospolitéj. W tym duchu należało działać na koło rycerskie, uparcie obstające za Piastem, na to zaś, ażeby działać skutecznie, wypadło działać przez kogoś, którego głos mógłby znaleść posłuch u szlachty. Nikt, zdaniem Myszkowskiego, tak dobrze nie nadawał się do téj roli, jak Kochanowski. Namówił go więc, ażeby agitował na rzecz rakuszanina, a zwalczał Piasta. Poeta zgodził się, lecz przyrzekł popierać nie starego cesarza, stojącego nad grobem, ale dwóch kandydatów młodych: arcyksięcia Ernesta, syna Maksymiliana, i carewicza Fiedora. Widocznie Myszkowski przystał i na ten warunek, skoro niebawem Kochanowski wystąpił z wielką oracyą do szlachty, oracyą, któréj, jak powiada Orzelski, „przez uszanowanie dla jego soby, wysłuchano powolném uchem", która jednak „zdawała się nieodpowiednią jego wziętości". Różne były przyczyny, że to publiczne wystąpienie poety, powszechnie uważanego za „człeka niegłupiego", przybrało tak niefortunny obrót. Przedewszystkiém stanął wobec zgromadzenia, które widząc w nim wysłańca Myszkowskiego, z góry było dlań uprzedzone niechętnie. Powtóre, stawał przed szlachtą, przeważnie z inowierców złożoną, która go uważała za odstępcę od różnowierczego obozu. Dlatego, kiedy poeta, chcąc sobie ująć swych słuchaczów protestantów, zaraz na samym wstępie powołał się na Pismo Św., wyrażając się, że „cale chrześciaństwo, zrodzone z siemienia Abrahamowego zostało"—przerwał mu Mikołaj Siennicki, podkomorzy chełmski, że „różne jest to duchowe królestwo, o którém mówi Paweł św., od ziemskiego królestwa monarchów świeckich." Ta opozycya Siennickiego, który, jako wieloletni marszałek izby poselskiéj, posiwiały w walkach sejmowych, był znakomitym mówcą, a nadto znał wszystkie arkana dyalektyki, głównie

się przyczyniła do niepowodzenia tego oratorskiego występu poety; Siennicki bowiem, stary gracz w walce na słowa, chwycił się znanéj taktyki, polegającéj na ciągłém przerywaniu mówcy, nękał poetę, nieobytego z życiem parlamentarném, nieustannemi wycieczkami, raz po raz zbijając jego słowa. Kiedy Kochanowski, godząc w elekcyę Piasta, dowodził, że „wstyd będzie Polakom, że po haniebnéj od nich ucieczce jednego króla, musieliby aż ze swego narodu obierać nowego, bo żaden obcy nie chce u nich panować", Siennicki przerywając mu, zrobił złośliwą uwagę, że „głos niechętnych umilknąć musi, bo oto cudzoziemce takich starań i intryg używają, ubiegając się o koronę" To słowo takich—wyraźnie godziło w poetę. Ten jednak niezbity z tropu, dorzucił śmiało, że „każdy szlachcic polski będzie się puszył nadzieją zostania królem", na co mu odpowiedział Siennicki: „Jeżeli go wszyscy uznają godnym korony i jeżeli będzie wola boska, być może, że tronu dostąpi". Znużony tą podjazdową walką, z któréj nie wychodził zwycięzcą, lecz zwyciężanym, zastrzegł sobie Kochanowski, pozostawiając Piasta na stronie, że nie myśli popiérać cesarza, któremu zgromadzeni są tak przeciwni, lecz proponuje arcyksięcia Ernesta lub carewicza Fiedora. „Obaj młodzi—mówił—przywykną słuchać senatu, jako młode źrebce, które biegły jeździec ujeżdża". Ale i te kandydatury nie znalazły uznania, raz dlatego, że „Piast we łbach wszystkich czwałował", a powtóre, że poeta nie znalazł odpowiedzi na argument Siennickiego, który podchwytując jego porównanie, rzekł: „Panowie nasi, są to jeźdźce bardzo różnéj fantazyi i humoru, a wyłączne przewodzenie jednego z nich, o ile trudne, o tyle niebezpieczne". Poeta umilkł, a gdy ani jeden głos nie podniósł się za nim, nie pozostawało mu nic innego, tylko opuścić zgromadzenie.

Kogóż wybrano ostatecznie? Wybrano dwóch: senatorowie „obwarowawszy się i dobrze opatrzywszy strzelbą" w d. 12 grudnia obrali królem Maksymiliana, a stronnicy Piasta, kiedy ich obaj kandydaci, wobec tumultu i obawy wojny domowéj, dobrowolnie cofnęli się z elekcyjnych szranków, poszli za myślą Zamoyskiego, który zaproponował wybór Anny Jagiellonki, przeznaczając jéj na małżonka Stefana Batorego, kandydata stronnictwa Zborowskich. Dnia 14 grudnia, gdy Siennicki wybór ten ogłosił, całe pole elekcyjne rozbrzmiało imionami Anny i Stefana; Kochanowski, kiedy mu wypadło przyłączyć się do jednego z dwóch stronnictw, z których oba były mu wstrętne, wolał głosować za kandydatem Myszkowskiego, niż popiérać kandydata Siennickiego, i dlatego d. 18 grudnia 1575 r. wbrew przekonaniom wygłoszonym w kole rycerskiem, położył swój podpis—obok podpisów Mikołaja Firleja i Piotra Kłoczowskiego — na akcie elekcyi Maksymiliana.

Swoją drogą, w głębi przekonania, był przeciwny zarówno Maksymilianowi, jak Batoremu, zarówno stronnictwu cezarianów, jak stronnictwu batoryanów. „Pierwsze, kierowane rachubą, miało na celu jedynie frymark korony; drugie, złożone z najróżnorodniejszych żywiołów, mogło być narzędziem polityki Zamoyskiego, który, jak na pierwszym sejmie konwokacyjnym, tak i obecnie, zdawał się mieć jakieś osobiste cele na oku. Dla poety, który po ucieczce Henryka wciąż o tém marzył, by porzuconą przezeń koronę osadzić na głowie potężnego dynasty, któryby przyćmiony blask jéj podniósł i w oczach świata poszanowanie dla niéj nakazał, co mógł znaczyć król wybrany nawet nie z książąt dziedzicznych, ale wojewoda, osadzony na księstwie, położoném gdzieś na szarym końcu Europy, i nie hołdownik, jak dawniéj cesarza, ale sułtana, od którego swoją godność otrzymał. Wprawdzie mówiono, że był dzielnym, bogatym, że choć lennik Porty, dał jéj uczuć potęgę swego ramienia; ale czyż to starczyło, by wobec butnego możnowładztwa zachował przynależną królewskiemu majestatowi powagę?... Samo małżeństwo z Anną, zaszłą już pod pięćdziesiątkę, zatém niezdolną do wydania potomstwa, wydawało się jedynie środkiem do wprowadzenia na tron człowieka, który ani królewskością rodu, ani powagą stanowiska, z którego sięgał po koronę, nie mógł potężnym imponować sąsiadom. Zamiast takiego króla, stokroć już lepiéj było popierać cesarza, którego wybór mógł przynajmniéj budzić poszanowanie dla państwa"... Te względy sprawiły, że z dwojga złego — jak mniemał—głosował za mniejszém, byle ojczyźnie oszczędzić dalszych rozterków wewnętrznych. Boć nie o siebie chodziło mu, ani o postawienie na swojém, gdy się angażował do polityki, która zresztą była zupełnie obca jego harmonijnéj i poetyckiéj naturze, ale o szczęście i pomyślność Rzeczypospolitéj, któréj był wiernym i przywiązanym synem. W tém uczuciu obywatelskiém, na krótko przed ukończonym sejmem, napisał swą Odę VI, w któréj ogłosił takie osobiste zapatrywanie na chwilową sytuacyę polityczną: „Ja, kapłan Muz i klaryjskiego Apollina, mało się o to troszczę, czy potężny cesarz władać będzie Sarmacyą, czy też berło dzielnemu Batoremu się dostanie. Kogokolwiek ojciec bogów i ludów na tron Augusta wyniesie, o to go tylko błagam, by wybór ten przyniósł szczęście méj ojczyźnie".

Po napisaniu téj ody, zatytułowanéj *Na zjeździe warszawskim*, a przeznaczonéj dla licznych uczestników tego burzliwego zjazdu, dla których zawierała szereg nauk moralnych i wskazań politycznych, poeta wrócił do Czarnolasu, do stęsknionéj za nim Doroty, i tu zająwszy się gospodarstwem, jednocześnie wziął się do pracy nad *Psałterzem*. Polityce dał za wygrane, a na zjazd w Jędrzejowie, naznaczony

na 14 stycznia 1576 r., choć na ten zjazd stawiły się tysiące szlachty, nie pojechał. Wolał zostać w domu, przy żonie i córce Ewie—bo już mu Bóg dał córkę—i stąd, pilnując wiosennych zasiewów, śledzić bieg wypadków, témbardziéj, że to, co się działo, nie odpowiadało jego aspiracyom politycznym. Oto Maksymilian, za którym on wotował w Warszawie, coraz bardziéj tracił szanse utrzymania się przy tronie, a szanse te, gdy przyszło do zjazdu jędrzejowskiego, zmalały do tyla, że poseł cesarski Rozenberg, widząc słabość stronników swego pana, zniechęcony powrócił do Wiednia, a tymczasem szlachta wyprawiła poselstwo po Batorego, który, odbywszy uroczysty wjazd do Krakowa, w d. 3 maja koronował się wraz z świéżo poślubioną Anną Jagiellonką. Tymczasem Maksymilian, także jadący na koronacyę do Polski, wybiérał się tak wolno, że nie dojechał w końcu... Zniecierpliwiony jego kunktatorstwem, które ostatecznie popsuło całą sprawę, Kochanowski, nie mogąc strawić koronacyi Batorego, napisał epigram łaciński, tak w nim upominając cesarza. „Potężny Batory już nosi królewską koronę, a ty, wielki cesarzu, wybacz: jeszcze zwlekasz. Jeden tylko człowiek zwlekaniem sprawę ocalił, dla innych prawie wszystkich zwłoka zgubną była”.

Ale łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i zakłopotanie poety, gdy wkrótce po koronacyi Stefana, który Zamoyskiego mianował swoim podkanclerzym, tenże Zamoyski któregoś dnia zajechał z nielicznym pocztem przed dwór Czarnoleski, a przyjeżdzał, jak się okazało, umyślnie, ażeby się rozmówić z poetą, i tak dla siebie, jak i dla króla pozyskać, przyczém ofiarował mu—na początek — kasztelanię połaniecką. Ale tu doznał zawodu, poeta bowiem, widząc, że kasztelaństwo o ile jest zaszczytném, o tyle pociąga znaczne koszta, a dochody przynosi niewielkie, podziękował za ten zaszczyt, gdyż—jak się miał wyrazić do swego dostojnego gościa — „nie chciał wpuszczać do swego domu pysznego kasztelana, którybyzjadł to, co Kochanowski zarobił” [1]). Nie znaczyło to jednak, ażeby wymawiając się od przyjęcia kasztelanii, nie był gotów ofiarować swego pióra królowi i Rzeczypospolitéj, jeśli ten król—jak mówił Zamoyski — istotnie jest mężem rzymskiego

---

[1]) Wkrótce po odjeździe Zamoyskiego, a w każdym razie jak przypuszcza prof. Plenkiewicz—pod wpływem wyrzutów ze strony niektórych osób, zarzucających mu, że nie przyjął kasztelaństwa, napisał poeta najprzód pieśń V, księgi I, a następnie fraszkę IV, ks. III. We fraszce téj, będącéj wolną przeróbką z Anakreonta, powiada Kochanowski:

Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

hartu, rwącym się do czynu, snującym wielkie projekty w celu podniesienia upadającéj powagi i potęgi Rzplitéj. Wtajemniczony w daleko sięgające zamysły królewskie, Kochanowski, choć do téj chwili niechętny Batoremu, wyraził gotowość uczynienia wszystkiego, co będzie w jego mocy, a coby królowi mogło ułatwić prowadzenie nawy państwowéj; nie wiedział tylko, czy on, poeta, nieświadomy spraw politycznych, zdoła przydać się na wiele. Jeżeli miał jakie wątpliwości pod tym względem, to je Zamoyski rozproszył natychmiast, żądając od niego, aby czémprędzéj napisał utwór, „w którymby naród mógł się jak we zwierciedle zobaczyć, poznać kardynalne swe wady i przerażony ich skutkami wszedł w samego siebie i o poprawie pomyślał". Ponieważ chodziło o to, ażeby te wady nietylko wytknąć, ale je unaocznić w działaniu, tak, by dochodząc do świadomości narodu przez zmysły, wstrząsnęły jego uczuciami i oddziałały na wolę, utworem więc, jakiego obecnie Zamoyski żądał od Kochanowskiego, była tragedya, możliwa do odegrania, np. podczas jednego z najbliższych sejmów. „Zadanie to jednak musiało wprawić w niemały kłopot poetę. Naprzód pisanie tragedyi stawało na poprzek wykończeniu *Psałterza*; powtóre, on sam, uprawiając dotąd przeważnie lirykę, dydaktykę, i próbując eposu, czuł, że nie był mistrzem po temu; wreszcie samo wynalezienie przedmiotu wymagało dłuższego rozmysłu. Tymczasem Zamoyski nie należał do ludzi, którzy coś robią w połowie. Na saméj obietnicy napisania tragedyi poprzestać nie chciał, ale pragnął upewnić się i co do wyboru osnowy i—jak się okazuje z listu poety — dopóty nie ustąpił, aż mu ją ten podał w głównych zarysach".

Zamoyski odjechał, a poeta, odłożywszy przekład *Psałterza*, nie zwłócząc, zabrał się do pisania *Odprawy posłów greckich*, bo taki miał być tytuł przyrzeczonéj tragedyi. W jakim nastroju przystępował Kochanowski do téj pracy? Przedewszystkiém był rad z siebie, że się nie połakomił na owo kasztelaństwo; bo

Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości,

a „serca nie zleczą żadne złotogłowy". Zdziwił się jednak, gdy ukończywszy pisanie swéj sztuki, próżno czekał na jakieś wezwanie podkanclerzego, aby mu przysłał rękopis. Tymczasem Zamoyski—jak się o nim pięknie wyraża prof. Plenkiewicz—nadto wiele miał na swéj głowie rzeczywistych tragedyi, ażeby się mógł jeszcze grecką zajmować: sprawy się wikłały, sejm nie radził o niczém, ale odmówił podatku na wojnę przeciw Gdańszczanom, którzy, obstając za Maksymilianem, nie chcieli uznać Batorego: słowem, sytuacya była trudna. Te były po-

wody, dla których *Odprawa posłów greckich* tak długo musiała leżéć pomiędzy papiérami poety. Ostatni, widząc, że Zamoyski jakoś nie zgłasza się po nią, i myśląc już, że dzieło pójdzie ostatecznie „molom na pokarm albo na trąbki do apteki", wrócił do przerwanéj pracy nad *Psałterzem*, a równocześnie przywdział żałobę po najstarszym z braci, Kasprze, zmarłym na samym początku r. 1577. Na pogrzebie, wobec licznie zebranych ziemian i członków rodziny, wystąpił z mową, w któréj podnosząc cnoty nieboszczyka, między innemi wyraził się o nim, że nietylko był bratem dla całego rodzeństwa, ale mu jakby zastępował ojca. „Bo po zeszciu rodziców naszych — mówił — mając on nietylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią (pierwszeństwo), wszystkie trudności nasze wspólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospolicie przypadają, wziął był na swoją pieczę i tak się z nimi sprawiał, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swéj nie wzięli... A nietylkoć w młodszych leciech i w niebytności drugich nam był radzien i pomocen, ale przez wszystek wiek swój trudności naszych wszelakich przestrzegał i bronił". Ale życie lubi kontrasty: wkrótce po tym pogrzebie wypadło urządzić chrzciny: urodziła mu się trzecia córka, Urszula. Wprawdzie życzeniem rodziców, a zwłaszcza ojca, było, aby im Bóg dał syna, ale skoro dał córkę, cieszyli się i z córki, témbardziéj, że „był to sobie taki sam robaczek, jak inne noworodki, tylko jakiś cichy, nie skrzeczący, bez zwykłych im lamentów". Jakby w przeczuciu, że „przyszło to, jak gwiazdka spadająca w noc letnią, jak aniołeczek, na czas tylko, na nietrwałe pociechy rodzicom pożyczony od Boga", poeta miał dziwną słabość do téj dzieciny: żadnéj z poprzednich córek, ani Ewy, ani Polikseny, nie kochał tak, jak Urszulkę. Swoją drogą pragnął mieć syna, a jeśli prawdą jest, co mówi stary Gerwazy w *Panu Tadeuszu*, że w czasie wojny zawżdy synowie się rodzą, to mógł się spodziewać męskiego potomka, ile, że był to czas wojny. Dzielny Batory, wyzwany oporem Gdańszczan, wyruszył przeciwko nim wojenną wyprawą, a gdy pod Elblągiem i Gdańskiem toczyły się krwawe walki, jednocześnie—w sierpniu 1577—nadeszła złowroga wieść, że car Iwan Groźny zajął Inflanty. Wobec tak trudnego położenia Batorego, zrozumiał Kochanowski, że „za temi czasów odwłokami (t. j. wojną gdańską) i jego tragedyi odwlec się miało", gdy nagle, d. 21 grudnia, zjawia się posłaniec z dwoma listami od podkanclerzego, w których tenże prosił o natychmiastowe wysłanie przyobiecanéj tragedyi, gdyż chciał nią uświetnić swoje zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną. Tymczasem *Odprawa* wymagała jeszcze przepisania na czysto. Poeta, przysiedziawszy fałdów, uskutecznił to w ciągu jednego dnia, tak, że już nazajutrz, wyprawiając posłańca z powrotem, mógł

pisać do Zamoyskiego: „Wczoraj dopiéro oddano mi dwa listy zaraz, któreś W. M. do mnie około tey Traiediey pisał", a już dzisiaj „dwudziestego wtórego dnia grudnia", odsyłał mu *Odprawę*, niespokojny, zali odpowié oczekiwaniom. „Jakom listy W. M. przeczytał, nie było czasu poprawować: bom wszytek miał *insumere* na przepisanie. *Quidquid id est*, a baczę że błazeństwo, y W. M. sam podobno rzeczesz: posyłam W. M. tym śmieley, chocia nie masz co, żem to ieszcze z przodku W. M. opowiedał, że to nie miało być *ad amussim:* bo mistrz nie po temu. Bardzobych to był rad uczynił, żebych był sam *praesens* W. M. teraz służby swe ofiarował, ale mi złe zdrowie nie da." Złe zdrowie! Coraz częściéj zacznie się skarżyć na nie, aż w końcu, stęskniony za owemi błogiemi czasami, kiedy to nic mu nie szkodziło, napisze swój melancholijny wiersz *Do zdrowia:*

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.

I jemu zaczynało się ono psuć coraz bardziéj!.. Tymczasem, ledwo wyprawił swą tragedyę, kiedy w parę dni późniéj otrzymał nowy list od podkanclerzego, naglący o napisanie utworu, któryby wobec już postanowionéj wojny przeciwko Iwanowi „uderzał silnie w struny bojowe i wstrząsnął odwykłym od orężnéj walki narodem." Chodziło o obudzenie wojennego zapału w szlachcie. *Odprawa posłów greckich*, jako mająca na celu powstrzymanie od wojny, nie odpowiadała potrzebom chwili. Co innego było przed rokiem, przed zajęciem Inflant, gdy szło jedynie o uplastycznienie wad i narowów społeczeństwa, a co innego dziś, gdy dach płonął nad głową. Zrozumiał to Kochanowski i, czyniąc zadość wezwaniu, napisał wiersz p. t. *Orpheus Sarmaticus*. Napisał go po łacinie, ponieważ chodziło o to, ażeby i król, obecny na uroczystości weselnéj, zrozumiał treść utworu, w którym poeta wskazywał dwa główne cele narodowi: wojnę z Turkiem, zagrażającym całéj Europie, i obronę najechanych Inflant. Dnia 12 stycznia 1578 r., w Jazdowie, odbyło się wesele Zamoyskiego. Gdy przyszła koléj na teatr i śpiewy, najprzód odegrano *Odprawę*, która *a nobilissimis quibusque adolescentibus acta fuit*, poczém Krzysztof Klabon odśpiewał *Orfeusza*. Wrażenie, zwłaszcza na młodzież, było ogromne. A nietylko na młodzież, lecz i na posłów, którzy, uniesieni zapałem patryotycznym, zgodzili się zarówno na wypowiedzenie wojny, jak i na dwuletni podatek. Wkrótce potém, bo jeszcze przed 6 marca, oba utwory, i *Odprawa posłów greckich*, i *Orfeusz*, wyszły w Warszawie, wydruko-

wane sumptem podkanclerskim. Ale Zamoyski, widząc, jakim atutem były pisma Kochanowskiego, gdy chodziło o wpływ na umysły, wnet pośpieszył z nowém żądaniem. Oto zależało mu na dwu utworach łacińskich, któremiby mógł króla, wybierającego się do Lwowa, uczcić w Zamchu podczas łowów. W ten sposób powstały *Drias Zamchana* i *Pan Zamchanus*, utwory, które lubo zatrącały o politykę, jednak i poetycznych ustępów zawiérały sporo. Jakoż, dnia 8 maja odśpiéwane wobec króla, zyskały ogólny aplauz, poeta zaś, przywiązując szczególną wagę do zapatrywań politycznych, wypowiedzianych w *Dryadzie*, sam ją przetłómaczył na polski, ażeby z nią i szersze koła zapoznać.

Ale zanim się wziął do tego tłómaczenia, najprzód, w końcu kwietnia mniéj więcéj, pojechał na Litwę, nie mogąc odmówić zaprosinom Mikołaja Radziwiłła Rudego, którego syn, Krzysztof, miał zawrzéć nowe związki małżeńskie z Katarzyną Ostrogską. I ojcu i synowi bardzo zależało na tém, ażeby Kochanowski, którego obaj uważali za swego serdecznego przyjaciela, był obecny na uroczystości zaślubin. Poeta jednak, mimo najszczersze chęci, nie mógł zostać tak długo, zważywszy, że wesele miało się odbyć d. 27 lipca, on zaś, jeśli o tyle wcześniéj z domu wyjechał, to dlatego, że chciał—a do pewnego stopnia musiał — być obecnym w Krakowie, na uroczystości ingresu Myszkowskiego, który po śmierci Franciszka Krasińskiego, został mianowany biskupem krakowskim. Widocznie, że Radziwiłłowie uwzględnili położenie poety, bo kiedy się miała odbyć pomieniona uroczystość, znalazł się przy boku Myszkowskiego, w Krakowie, gdzie swą obecność zaznaczył w Elegii X ks. III. „Myszkowski! pośród tylu orszaków konnych i pieszych, co tłumnie naprzeciw biskupa swego wystąpiły, pragnąc oblicze oglądać i słodkie twoje słowa usłyszéć, i mnie także przez rozkoszny Bug, przez twoje wody, o Wisło wspaniała, miłość przywiodła.” Tutaj, na dworze biskupim, w otoczeniu dawnych znajomych, a przedewszystkiém w miłém towarzystwie Myszkowskiego samego, który go, jako wierny, wypróbowany przyjaciel, wyróżniał na każdym kroku, jako pierwszorzędnego poetę, kosztował słodkich wczasów. „Ten biskup, książę siewierski, gdy innych, znużony ceremoniałem przyjęcia, rad był co najrychléj pożegnać, jego, jako powiernika swéj myśli, zatrzymywał w swym domu, tak, że obydwom zdawać się mogło, że znowu wróciły te chwile, które niegdyś spędzali razem na dworze Zygmunta.” Ale K r ó l - d o j u t r e k już odpoczywał w swéj trumnie, a tymczasem o Batorym, właśnie przebywającym we Lwowie, dochodziły tak zadziwiające wieści, o jego dzielności, przedsiębiorczości i energii, że nawet taki rozgorzały rakuszanin, jak Myszkowski, przedzierżgnął się w za-

palonego wielbiciela Stefana. I nietylko sam zmienił się, ale i na Kochanowskiego, z którym wiele rozmawiał o królu, wywarł stanowczy wpływ w tym kierunku. O czém także mówili często, to o *Psałterzu*, który już był doprowadzony tak daleko, że można było teraz, korzystając z pobytu w Krakowie, wejść w układy z drukarzem, Łazarzem Andrysowiczem. Na druk łożył Myszkowski... Tymczasem, z nadejściem lata, rozpoczynając objazd swych dóbr biskupich, udał się do letniéj rezydencyi w Promniku, a poeta pojechał z nim razem. W Promniku, w rozkosznéj renesansowéj willi, niegdyś wzniesionéj przez Samuela Maciejowskiego, a unieśmiertelnionéj przez Górnickiego w *Dworzaninie*, powstała Oda X *Na wieś Promnik*, dowodząca niezbicie, że się tu nie przykrzyło poecie: „Witaj mi, wiosko, co kosztem szczodrego Maciejowskiego wzniesiona, dziś w Myszkowskim, podporze dostojnego senatu, otrzymałaś nowego pana, nieustępującego poprzedniemu właścicielowi! Witaj mi, ustronie pracy, rodzicielko ciszy, pokoju duszy, odpoczynku po troskach, matko wczasów, gościno muz! Witajcie mi i wy, łąki, na których nigdy nie wysychają strumyki!..." Dobrze mu było w Promniku. Nie zapomniał przecież, że w domu tęsknie wyczekiwała żona... Wróciwszy do niéj, ledwo cokolwiek zagrzał miejsce, którego mu i tak długo zagrzéwać nie pozwalały częste wycieczki do przyjaciół i możnych sąsiadów, kiedy po krótkim czasie znowu otrzymał list od Myszkowskiego, gwałtem zapraszający go do Bodzentyna. Cóż miał robić? Pojechał... Ale zbliżał się czas żniw, a Dorota, wogóle nierada jego wyjazdom, naglila, żeby wracał. Wzruszony jéj czułemi listami, poeta pożegnał się z biskupem, a na wyjezdném, dziękując za gościnę, wywzajemnił się następującym wierszem:

Jaką rozumiesz zazdrość ziednałeś sobie,
Zacny Biskupie, w moiey małey osobie:
Żeś mię z domu wyciągnął w te dalsze strony,
Od małych dziatek, y od teskliwey żony?
Nie myślić ona o tym, że ia przy tobie
Głowy nie ufrasuię bynaimniey sobie:
Że w twym pałacu mieszkam, że przy twym boku
Siadam: koń móy, sługa móy, na twym obroku...

---

[1]) Na jednéj z takich wycieczek, które zawsze odbywał konno, w towarzystwie pachołka, o mało co nie postradał życia. Mianowicie koń jego, którego był sobie kupił niedawno, potknął się, a tak fatalnie, że poeta, wysadzony z siodła, zleciał i potłukł się boleśnie. Rozgniewany na swego wierzchowca, sprzedał go jakiemuś dostawcy koni do żup solnych w Bochnii czy Wieliczce, gdzie biédne konisko musiało „do śmierci kręcić maszynę ustawioną ponad ciemnym szybem i ciężko się z bryłami soli mozolić."

Rychley, niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, frasuie swe serce doma:
Żebych iakiey choroby nagłey nie użył,
Nie maiąc ktoby mi iey sercem służył.
Ciężar także domowy społeczny nama
Teraz w mey niebytności musi nieść sama:
Strzegąc w domu porządku, waruiąc szkody,
Dziatek lichych pilnując, zakładów zgody.
. . . .
To, y czego jest więcey, zawżdy w miłości
Serca trapi, chocia też zstawa ufności.
A ty nie bądź przyczyną, biskupie drogi,
Niczijey, lubo słuszney, lub płoney trwogi.
Ale złącz, iakoś rozwiódł, bo acz oboie
Twóy urząd niesie, wszakże wyroki twoie
Na ludzkiey chęci wiszą: y ia, y ona,
Nie pragniewa do śmierci być rozdzielona.

Na wsi wrócił do normalnego trybu życia, a to życie układało się pomyślnie, bezkłopotliwie. „Stodoły z każdym dniem coraz bardziéj pod ślemiona wypełniały się zbożem; w sadach pięknie dojrzewały owoce, a wszystko to budziło uczucie zadowolenia i dosytu w duszy ziemianina poety, który z pod swéj cienistéj lipy mógł ogarniać wzrokiem swoje dziedzictwo, i cieszyć się widokiem córek, biegających w ogrodzie, lub wiodących ku niemu spragnioną pieszczot Urszulkę.” Pod jesień przybyła mu czwarta córka, a kiedy się uporał z drobniejszemi pracami, jak np. *Epitalamium* na ślub Krzysztofa Radziwiłła, zabrał się do ostatecznego wykończenia *Psałterza*, aż wreszcie, dokonawszy całkowitego przekładu tych natchnień króla-proroka, skreślił dedykacyę, w któréj swe dzieło przypisał Myszkowskiemu.

Żniwa swego pierwszy snop tobie ofiaruję,
Cny Myszkowski, którego dobrodzieystwem czuię
Uwiązane swe serce...
Tym, żeś mi serca dodał, żem sye rymy swemi
Ważył zetrzéć z Poëty coznakomitszemi,
I wdarłem sye na skałę piękney Kalliopy,
Gdzie dotychczas nie było znaku polskiey stopy,
Y teraz ci z Libanu niosę Dawidowe
Złote gęśli, a przy nich Polskie pieśni nowe...

W grudniu, mając cały skrypt gotowy do druku, pojechał do Krakowa. Przybywszy tu, nietylko stykał się z Myszkowskim, któremu przedstawił rękopis ukończonego dzieła, ale i z Zamoyskim, który mu wyjednał posłuchanie u króla, a następnie skłonił do podjęcia pracy z zakresu ortografii, ażeby zapobiedz prostemu widzi mi się drukarzy.

Poeta zgodził się i sporządził referat w téj kwestyi p. t. *Orthographia polska Jana Kochanowskiego*, referat, który jednak nie musiał zadowolnić Zamoyskiego, skoro go zaraz nie wydrukował... [1]). Tymczasem rozpoczął się druk *Psałterza*, a poeta wrócił do Czarnolasu, ażeby tam zażywać spokoju u domowego ogniska. Ale nie wszędzie było tak spokojnie, jak w zacisznym Czarnolesie. Już upłynęło parę miesięcy, jak król wyruszył pod oblegany w téj chwili Połock. Niestety, oblężenie szło nie tak, jak przewidywano z początku. Miasto broniło się zaciekle, tak, iż wobec niepomyślnych wieści, nadchodzących z królewskiego obozu, zaczęto przebąkiwać, iż król zamyśla zwołać pospolite ruszenie. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła poetę, wiedział bowiem, że jako osiadły ziemianin, był obowiązany, po rozesłaniu trzecich wici, stanąć w rynsztunku bojowym. Nie uśmiechało mu się to, wogóle bowiem, jako wykwintny humanista, nigdy nie czuł pociągu do hazardów wojennych. a dziś, jako ojciec rodziny, coraz bardziéj podupadający na zdrowiu, tém mniéj miał ochoty do wojaczki. To téż, gdy nie ustawały się szerzyć pogłoski o pospolitém ruszeniu, a w województwie zawakował urząd wojskiego ziemi sandomierskiéj, Kochanowski wystąpił ze swą kandydaturą, wojscy bowiem, nawet wówczas, gdy wszystkich powoływano do obrony krajowéj, jeszcze nie potrzebowali służyć wojskowo. Tymczasem nadeszła radosna wieść o zdobyciu Połocka. Upojony tém zwycięstwem Batorowego oręża, poeta uderzył w struny lutni, pisząc polską Pieśń XIII ks. 2-éj, i łacińską Odę XII.

Znowu tedy, skąd był wyszedł,
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana, króla polskiego.
    Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste,
Puściły żelazne brony.
A ty królu niezmożony,
    Nietylko zamki budowne,
Y twierdze bierzesz warowne;
Ale, co chwalniejsza tobie,
Jesteś silen y sam w sobie.

Wiersze te nie były jedynemi, które poeta pisał w onym czasie, ile że był to okres w jego życiu, gdzie tworzył więcéj, niż kiedykolwiek. Gdy umarł kardynał Hozyusz, Kochanowski, podkréślając swe uwielbienie dla tego filaru katolicyzmu w Polsce, napisał epigramat, w którym

---

[1]) Pracę tę, już po śmierci Kochanowskiego, wydał w r. 1594 Jan Januszowski, zeznając, że jéj rękopism z rąk Jana Zamoyskiego otrzymał.

z entuzyazmem podnosząc Hozyuszową „żarliwość w obronie wiary”, stawiał go za „wzór obyczaju i cnoty”. Równocześnie przygotowywał do druku rozpoczętą już w r. 1562 pracę filologiczną *M. T. Ciceronis Aratus*, która wyszła jeszcze w tym roku, oraz krzątał się około wydania swoich utworów łacińskich, mających w r. 1580 p. t. *Lyrica* wyjść z oficyny Łazarzowéj. *Aratus* był poświęcony Zamoyskiemu, od którego poeta miał przyrzeczony przywiléj u króla na wydanie *Psałterza*. Przywiléj ten, zabraniający przedruku danéj książki „pod groźbą kary tysiąca grzywien i utraty nakładu”, podpisał Batory w Wilnie d. 8-go października 1579 r., nazajutrz zaś, najwidoczniéj za wstawieniem się kanclerza, usankcyonował nominacyę Kochanowskiego na wojskiego ziemi sandomierskiéj. Lecz nie tu miała się zakończyć łaska królewska! Wiedząc o „szlachetnych przymiotach” poety, o jego „zasługach względem kraju, przezacnych a wybornych zdolnościach, tudzież niezwykłéj nauce” i pragnąc, aby „jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i pożytek, tak nawzajem od niéj zaszczyty i godności odbiérał”, mianował go swoim poetą nadwornym, przyczém mu wyznaczył 1,200 florenów rocznéj pensyi.

Te i tym podobne okoliczności znakomicie poprawiły stan majątkowy poety. Dość powiedziéć, że już w r. 1580 będzie mógł pożyczyć Mikołajowi Firlejowi z Dąbrowicy 7,700 florenów! Świadczyło to, że poeta-humanista miał zmysł i do rzeczywistości (najwidoczniéj odziedziczony po ojcu), że nietylko przestawał z muzami, ale umiał i gospodarować należycie. Coprawda, było o kim myśléć. Wszak był ojcem czterech córek, dla których musiał składać posagi...

Cóżkolwiekbądź, żadnéj z nich nie miłował tak wielce, jak Urszulki. Ale

> Bo téż ledwie się kiedy dziecię urodziło,
> Coby łaski rodziców swych tak godne było.

„Ta dziecina ze złotemi kręcącemi się włoskami, rozwijała się szybko, jak roślinka, wystawiona na słońce pod szklaném nakryciem. To nic, że umiała różne figielki, których nikt jéj nie uczył, ale że przez te duże, błękitne jéj oczęta, patrzące powłóczyście, szeroko, zdawała się przezierać nad wiek rozumna duszyczka, jakby uwięziona w ciałku dziecięcém, w którém jéj było za ciasno.” A kiedy zaczęła chodzić i mówić, wszystkich zastanawiała swą nadzwyczajnością. Nie dość, że była posłuszna i usłużna, wolna od wszelkich grymasów i wad dziecięcych, ale się odznaczała jakimś przedziwnym darem naśladowczym, który jéj pozwalał odtwarzać ukłon każdego, ruchy i postawę, lub powtórzyć usłyszaną piosenkę. Cóż dziwnego tedy, że ojciec, słuchając jéj szczebiotu, widział w niéj „Safonę słowiańską” w przyszłości, że

gwoli téj duszy poetyckiéj, którą, jakby odbicie swéj własnéj, widział w Urszulce, więcéj lgnął do niéj, aniżeli do jéj starszych siostrzyczek. I tamte były miłemi dziewczynkami, ale Urszula miała jakiś szczególny wdzięk, była „najmilszą" ze wszystkich. A gdy jęła zawodzić swe piosenki, „ustek nigdy nie zamykając", to była podobna do „słowiczka w krzaku zielonym, co przez noc całą pieści słuch gardłkiem ucieszném". Ale

Tak wiele cnót jéj młodość i takiéj dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swéj bujności.

Nad wiek rozwinięta, choć z początku była zdrowa, powoli zaczęła jakby niknąć w oczach, słabnąć, szczupléć, aż w końcu stało się widoczném, że była skazana i na śmierć przedwczesną. W przeczuciu jéj, na krótko przed zamknięciem powiek, żegnając matkę, mówiła, że już jéj chyba przyjdzie z domu rodziców precz jechać i nazawsze z nimi się rozstać. Wreszcie umarła...

Jeszcze się zrozpaczony ojciec nie zdołał uspokoić po jéj stracie, gdy nagle zjawił się posłaniec od Zamoyskiego, z natarczywém żądaniem, ażeby poeta czemprędzéj nadesłał parę utworów, któreby, odpowiadając obecnym okolicznościom, we wskazany sposób mogły oddziałać na umysły zebranych posłów: chodziło o to, ażeby w nich rozbudzić zapał dla króla, który wróciwszy zwycięzcą, gdy zwołał sejm do Warszawy, raptem spotkał się z sarkaniem na uciążliwość wojny, które to sarkanie było tylko wyrazem niechęci ku energicznemu władcy, zaczynającemu budzić obawy wśród szlachty, czy nie zechce ukrócić jéj samowoli. Poruszywszy wszystkie sprężyny, ażeby zażegnać grożącą burzę, Zamoyski napisał do Kochanowskiego, jako oficyalnego poety, ażeby przysłał utwór, w którymby wojenne czyny Batorego ukazały się oczom narodu w całym blasku. Poeta jednak, złamany boleścią po stracie Urszuli, nie miał „aspektu" do pisania, więc tylko rozszerzył trochę napisaną już *Pieśń o wzięciu Połocka* i pieśń tę, wraz z dwoma innemi wierszami, z wierszem *O statecznym słudze Rzeczypospolitéj*, na który się zdobył z wielkim wysiłkiem, i wierszem *O uczciwéj małżonce*, którym uczcił Dorotę, posłał Zamoyskiemu, dołączywszy do nich listowne wytłómaczenie się, czemu nie posyła nic więcéj. „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczéj gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. I jam tegoż mało nie uczynił, wprawdzie nie tak doskonały strzelec, jeno że łaska W. M. droższa u mnie, niż wszystka *poetica*. Jeśli co nie grzeczy, a bodaj nie wszystko, któż winien? Ja naprzód, a W. M. też

po części, *qui scribere cogis*, chociaż zły aspekt. Chcesz li mię W. M. na świecie mieć dłużéj, nie każ mi W. M. teraz nic pisać..."

Nie znaczyło to jednak, ażeby, nie będąc usposobionym do pisania na urząd, nie czuł dusznéj potrzeby dania wyrazu swéj osobistéj boleści po stracie ukochanego dziecięcia, boleści, która mu się raz po raz wyrywała z piersi okrzykiem: „Nie masz cię, Urszulo moja!" To dało początek *Trenom*.

W poemacie tym, pisanym krwią serca ojcowskiego, odbiło się jak w żadnym innym — zdaniem prof. Plenkiewicza — piętno indywidualności autora. Jest to, obok przekładu *Psałterza*, nietylko arcydzieło wieszcza z Czarnolasu, ale i arcydzieło liryki, doskonałe pod względem formy, jakkolwiek pełne reminiscencyi z całego szeregu pisarzy starożytnych. Jako takie, są te nieśmiertelne lamentacye i medytacye, natchnione niepowetowaną stratą dziecka, jakby słupem granicznym, oznaczającym pewien zwrot w twórczości Kochanowskiego. „Po raz pierwszy — powiada Br. Chlebowski — otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzewniające swą szczerością i prostotą. Po raz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mówca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi-ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wiela" nieszczęśliwych. Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam!" tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.

Nietylko do *Werthera* jednak, lecz i do niektórych filozoficznych utworów autora *Fausta* można porównać *Treny* Kochanowskiego, wszystko bowiem, co poeta przemyślał, co stanowiło jego pogląd na życie, na wiedzę ludzką, znalazło swój poetycki wyraz w tém lirycznem *requiem*. Oto, co w téj mierze pisze prof. Plenkiewicz: „Nietylko stoicyzm, na tak wątłéj jak siła woli zbudowany podstawie, ale i wiedza rzeczywista, choćby najgłębiéj pojęta, nie może przynieść w podobnych razach (w cierpieniu) człowiekowi pociechy... To też poeta biada tylko, że téj mądrości żywot swój cały poświęcił, bo dziś, gdy mu całego hartu ducha potrzeba, znalazł się wobec nieszczęścia równie słabym, jak najostatniejszy z prostaczków." Jako dzieło sztuki, są *Treny* jednym z najdoskonalszych utworów Jana, pomimo że może żadne z jego dzieł nie było pisane z tak gorączkowym pośpiechem, jak

one właśnie. Dość powiedzieć, że Urszulka umarła w r. 1579, a w roku 1580 *Treny* były już wydrukowane.

Śmierć atoli, zabrawszy Urszulę, nie poprzestała na niéj jednéj. Wkrótce po niéj, właśnie, gdy poeta „nad dziećmi pióro swe zabawiał”, umarła mu czwarta córka, Hanna. Ledwo zdążył napisać krótkie *Epitaphium* pod wpływem tego nowego ciosu, musiał się zdobyć na napisanie innego, na zgon wojewodziny sandomierskiéj, dla któréj, gdy jeszcze była za Janem Krzysztofem Tarnowskim, tyle żywił uczuć sympatyi. W tymże czasie doszła go z pod Wielkich Łuk, gdzie właśnie Batory gromił wojska moskiewskie, wieść o bohaterskiéj śmierci Piotra Kłoczowskiego, tego samego, którego on niegdyś „do Włoch prowadził”. Wkrótce potém, bo na początku r. 1581, umarł brat poety, Mikołaj, a prawie jednocześnie Dorota utraciła swego starszego brata, Grzegorza.

Przybity tyloma ciosami, nie dziw, że pomimo pomyślnego zakończenia wojny z Moskwą, zakończonéj odzyskaniem Inflant, poeta czuł się wyczerpany i nie skory do pióra. A jednak musiał chwycić za nie znowu! Ledwo się skończył fatalny sejm z r. 1582, jeden z tych licznych sejmów, które zerwano, gdy nadbiegł posłaniec od Zamoyskiego, który, pragnąc w jakikolwiek sposób dać zadosyćuczynienie królowi, „a przedewszystkiém odwołaniem się od sejmu do narodu przywieść do upamiętania obałamucone umysły i zarzutom opozycyi przeciwstawić czyny dokonane w ciągu sześcioletnich rządów Stefana”, znowu się zwrócił do poety, z żądaniem, by napisał coś, coby w całym blasku wojennéj chwały uprzytomniło narodowi panowanie dzielnego króla. Choć i teraz, jak wkrótce po śmierci Urszulki, znajdował się w „złym aspekcie” do pisania, to jednak przezwyciężył się i ułożył długą pieśń zwycięską p. t. *Epinicion*, w któréj znalazło się wszystko, co można zdziałać rutyną i biegłością pisarską, ale téż i nic nadto. Znać na tym wierszu, że autor, gdy pisał te strofy łacińskie, niemało utracił ze swéj duchownéj mocy. Tymczasem, jakby na przekór temu chwilowemu odpływowi poetyckiéj weny, był zniewolony do ciągłego płodzenia nowych utworów, co oczywiście nie wychodziło na ich korzyść. Zaledwo się uporał z *Epinicionem*, musiał zadosyćuczynić nowemu żądaniu Zamoyskiego, który, żeniąc się z Gryzeldą Batorówną, chciał swe wesele uświetnić nietylko odpowiedniém epitalamium łacińskiém (łacińskiém, bo zarówno król, jak i jego synowica, nie rozumieli po polsku), ale gorąco zapraszał poetę, ażeby osobiście przybył na tę uroczystość. Kochanowski spełnił tylko pierwsze życzenie kanclerza, pisząc swój *Epitalamion*, do Krakowa jednak, z powodu „niesposobnego zdrowia”, nie pojechał. Tym sposobem, nie będąc świadkiem wiel-

kich fet na zamku królewskim, nie słyszał, jak Krzysztof Klabon odśpiewał podczas uczty jego pieśń weselną, ani jak tenże nadworny śpiewak, w dniu następnym, gdy młodéj kanclerzynie składano podarunki ślubne, wykonał z towarzyszeniem liry jego *Epinicion* na cześć obecnego króla. Zamoyski jednak, choć w roli pana młodego, nie zapominał o polityce, czego dał dowód wymowny, zwracając się z nowym żądaniem do poety, a mianowicie: żeby nie zwłócząc wziął się do napisania polskiego wiersza, opiewające waleczne czyny Krzysztofa Radziwiłła, który się tak w wojnie ostatniéj odznaczył. Wraz z listem w téj sprawie nadesłał mu dyaryusz ze szczegółowym opisem wszystkich wypadków, w których Radziwiłł brał czynny udział. Widocznie, iż kanclerzowi bardzo zależało na pozyskaniu litewskiego potentata, skoro go sobie kaptował aż poezyami Jana Kochanowskiego... W ten sposób powstala *Jezda do Moskwy*, utwór, który pospołu z dwoma poprzedniemi, miał się złożyć na całkowity obraz wielkiéj wojny północnéj, który przecież, słaby pod względem formy, świadczy nietylko o znużeniu ducha poety, ale i o jego słabnącém poczuciu artystyczném.

III.

Już w Trenie III, gdy pisał, że mu się trzeba gotować w drogę za Urszulą, i w *Epitaphium* na śmierć jéj młodszéj siostrzyczki, gdy mówił, że musi „zaraz odżalować wszystkiego, a na trwalsze rozkosze się chować”, poeta dawał poznać wcale niedwuznacznie, że często myśli o śmierci, że przeczuwa jéj zbliżanie się ku niemu. Jakoż „niesposobne zdrowie”, które mu się psuło coraz bardziéj, upoważniało do tak złowrogich przeczuć.

Poeta jednak, pogodny z natury, i o śmierci myślał z filozoficznym spokojem: tyle tylko, że zaczął więcéj dbać o siebie, że mniéj się wychylał z domu, że unikał męczących podróży. Choć był i drugi powód, dla którego wolał nie ruszać się z Czarnolasu: tym był wzgląd na Dorotę, która, troskliwa o męża, nie lubiła rozstawać się z nim, choćby na krótko.

Ale mię (czego taić zgoła nie mogę),
Niewiasta smutna trzyma: któréj gdy drogę
Wspomionę, wnet twarz blednie, oczy łzy leją,
A mnie patrząc, y serce, y członki mdleją.

A zresztą, po co miał wyjeżdżać, kiedy mu nigdzie — nawet w gościnie u Myszkowskiego — nie było tak dobrze, jak w domu, przy Dorocie, przy dzieciach. Tych miał czworo, bo po śmierci Urszuli i Hanny, je-

szcze mu przybyło dwoje: dwie córki, Halszka i Krystyna. Mimo to nie tracił nadziei, że go w końcu Pan Bóg obdarzy synem. Bo syna chciał mieć koniecznie.

Tymczasem, dopóki mu się rodziły córki, a sił nie przybywało, lecz przeciwnie, ubywało, troszczył się o zabezpieczenie bytu rodzinie, ale myśląc o tych ziemskich sprawach, nie zapominał i o podnioślejszych, bardziéj nieuchwytnych, do których mianowicie należała ojcowska troska o jego dzieci duchowe. „Ponieważ musi zniszczéć ciało, więc trzeba w dziełach trwały ślad zostawić po sobie...“ A że te dzieła mogły mu zapewnić nieśmiertelność, o tém nie potrzebował wątpić; powodzenie, jakiém się już teraz cieszyły wśród społeczeństwa, upoważniało do podobnych nadziei. Na początku r. 1583 wyszły z oficyny Łazarzowéj — sumptem Zamoyskiego — *Epitalamion*, *Epinicion* i *Jezda do Moskwy*, a jednocześnie ukazało się drugie wydanie *Trenów* i *Psałterza*. Świadczyło to, że oba utwory cieszyły się poczytnością, że znalazły odźwięk w duszy narodu. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, można być pewnym, że tak znakomity muzyk, jakim był Mikołaj Gomółka, nie dorobiłby swoich *Melodyi* do *Psałterza*, czém go jeszcze bardziéj spopularyzował. Wszystko to świadczyło o uznaniu, jakiém się cieszyły jego poezye.

A nie brakło i innych dowodów, stwierdzających to wybitne stanowisko, jakie poeta zdobył sobie na Parnasie polskim. Oto Jan Januszowski, księgarz-wydawca, okazał się bardzo skorym do zbiorowego wydania pism Kochanowskiego, a układy, w które z nim wszedł już w r. 1579 po wydrukowaniu *Psałterza* i *Siedmiu psalmów pokutnych*, przybrały tak pomyślny obrót, że wypadło czemprędzéj dostarczyć materyału na tom pierwszy. Poeta zaczął od *Fraszek*. Ale tu zdarzył się szkopuł, który wywołał dość długie pertraktacye pomiędzy autorem a wydawcą. Ten ostatni, otrzymawszy rękopis *Fraszek*, kiedy je przeczytał, zgorszony nieprzyzwoitością niektórych, zaproponował poecie, ażeby je usunąć. Poeta się temu sprzeciwił, a choć uznawał, że ich „pannom czytać się nie godzi“, że je ludzie za wszeteczne uznać będą mieli wszelkie prawo, to jednak oparł się wszelkim opuszczeniom, twierdząc, że mu się to nie zda, „bo to jest jakoby dusza ich“. Skończyło się na tém, że *Fraszki* zostały wydrukowane w całości. Zaraz po nich przystąpiono do druku utworów łacińskich p. t. *Carmina latina*, obejmujących cztery księgi elegii, tudzież *Foricoenia sive Epigrammata*.

I *Fraszki* i *Carmina latina*, w których nie brakło i niemniéj nieprzyzwoitych epigramatów, niż we *Fraszkach*, wyszły na początku r. 1584. Jednocześnie zabrał się poeta do kompletnego wydania swo-

ich utworów polskich... Właśnie przystępował do téj pracy, gdy nagle spadła nań, jak piorun z jasnego nieba, żałobna wieść o śmierci Jakóba Podlodowskiego. Był to najmłodszy z braci Doroty, Beniaminek całéj rodziny. Wkrótce po wstąpieniu na tron Batorego, poeta, korzystając ze swych stosunków z głównymi dygnitarzami Rzeczypospolitéj, umieścił go na dworze królewskim. Późniéj, gdy wybuchła wojna z Moskwą, Jakób podążył do Inflant, przyłączył się do rycerstwa, a w drugiéj wyprawie wsławił się dzielnością pod Toporcem. Po skończonéj wojnie, wrócił na dwór królewski, a niedawno został przez Batorego wyprawiony do Turcyi, w celu zakupu koni do stajni królewskiéj. W czasie przeprawy przez Bałkany, napadnięty przez opryszków, został przez nich dla ograbienia z pieniędzy zamordowany sromotnie. Wiadomość o tém, tém straszniejsza, że niespodziéwana, gdy dotarła do Czarnolasu, mogła się stać przyczyną nowego nieszczęścia, bo właśnie Dorota była w stanie odmiennym... Ale dzielna niewiasta potrafiła zapanować nad wzruszeniem, tak, że zniosła cios spokojnie i z prawdziwie macierzyńskiém bohaterstwem. Poeta jednak, który widział, ile ten pozorny spokój kosztował nieszczęśliwą kobiétę, postanowił upomniéć się o zadosyćuczynienie dla niéj, uważał bowiem, że to zabicie królewskiego wysłańca, dla którego najlepszym glejtem powinien być sam urok potęgi Rzeczypospolitéj, nie mogło ujść bezkarnie, że należało się domagać przykładnego skarcenia Turków, nie przestrzegających najprostszych zasad prawa międzynarodowego. Zabili posła polskiego, a wszak to był wystarczający powód do wypowiedzenia wojny. Ta myśl, że gwoli pomszczenia téj śmierci, tak obrażającéj powagę i majestat Rzeczypospolitéj, król powinien wypowiedziéć wojnę Turcyi, czepiła się poety, jak pijawka, poprostu opętała go. Wmówił w siebie, że Batory powinien wypowiedziéć wojnę, że inaczéj skrzywdzi jego, Kochanowskiego, który mu jako poeta, opiewający jego czyny, służył tak wiernie, że mu się należy to zadosyćuczynienie etc. Tymczasem Batory bawił na Litwie, więc należało czekać, dopóki nie zjedzie bliżéj, na to bowiem, ażeby odbywać daleką podróż do Wilna, poeta czuł się zbyt podkopany na zdrowiu. Na szczęście nie potrzebował czekać długo, ponieważ Batory rozesłał listy do senatorów koronnych, z żądaniem, by na sierpień stawili się do Lublina, gdzie się z nimi w sprawach pierwszorzędnéj wagi porozumiéć pragnął. Było to bardzo Kochanowskiemu na rękę.

Jakoż, z nadejściem sierpnia, wyruszył z domu, pełen otuchy, że król wysłucha jego uzasadnionych pretensyi, a wysłuchawszy, sprawi, aby słuszności stało się zadość. „Król (rozumował sobie poeta) zabezpieczony od północy na przeciąg kilkoletni, miał ręce rozwiązane zu-

pełnie, mógł wszystkie siły przeciwko Islamowi obrócić, zgnieść wroga chrześciaństwa i stąd sobie na sławę nieśmiertelną zarobić. Kto wié, czy go nawet te same myśli nie ożywiają w téj chwili, czy z deliberacyi nad otrzymaniem rozejmu (w któréj to sprawie przybyło do Lublina specyalne poselstwo z Moskwy), nie wyniknie wojna z pohańcem, zwłaszcza, że do niéj nadarza się tak ważna, jak zabicie posła królewskiego, przyczyna." W tém przekonaniu wyjednał sobie audyencyę u króla. Nie przeczuwając zgoła, że wogóle trafia na moment, gdzie Batory z konieczności był daleki od myśli o wojnie z Turcyą, stawił się przed jego obliczem, pewny, że dopnie swego. Stefan jednak, wysłuchawszy wywodów poety, nie podzielał jego zapatrywań. „Sprawa Podlodowskiego nie dawała jeszcze przyczyny do wojny. Nie był on posłem, lecz dworzaninem królewskim, wysłanym prywatnie w celu zakupu koni; zabójstwa na nim nie dopuściła się Porta, lecz nieznani jacyś złoczyńcy; najwyżéj można było żądać wynagrodzenia i ukarania winnych, ale nadto nic więcéj." Powyższe argumenty wszakże, tak przekonywające dla każdego nieuprzedzonego, nie przekonały poety. Opuściwszy komnatę królewską, wzburzony i dotknięty do żywego, że wychodził z niczém, padł nagle, rażony apopleksyą. Stało się to d. 22 sierpnia 1584 roku.

Nagła śmierć poety, tem sensacyjniejsza, iż nastąpiła w komnatach królewskich, obiła się głośném i rzewném echem w sercach całego społeczeństwa. „Na téjże konwokacyi w Lublinie (pisze Joachim Bielski, zapisując pod r. 1584 wiadomość o zjeździe króla z senatorami) umarł Jan Kochanowski, herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się takiego drugiego spodziewać możem." Że tego zdania był nietylko Jan Bielski, ale i naród cały, tego dowodzi chociażby ten fakt, że zaraz po śmierci poety, prawie jednocześnie, a w każdym razie w r. 1585, ukazały się dwa utwory, natchnione wieścią o zgonie Czarnoleskiego wieszcza, utwory, tem godniéjsze uwagi, iż każdy z nich „reprezentuje jeden ze stanów, które lubo pod względem politycznym nie jednakowe miały w Rzeczypospolitéj znaczenie, zawsze przecież pod względem umysłowym przedstawiały godnie u nas wiek XVI, idąc o lepsze na tém polu w zawody". Pierwszy reprezentował Sebastian Fabian Klonowicz, napisawszy *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego;* drugi wyobrażał Kasper Miaskowski jako autor *Lutni Jana Kochanowskiego.* A jeżeli cały naród tak głęboko odczuł stratę autora *Psałterza Dawidowego*, to o ileż głębiéj musiała ją odczuć jego „nieprzepłacona Dorota"! W każdym razie, lubo cios był bardzo ciężki, zniosła go mężnie, tak, iż uratowała życie dziecka, które już nosiła

w swém łonie, a którém miał być syn... Niestety, kiedy się urodził, ojciec się już nim nacieszyć nie mógł... Przez pamięć na swego ukochanego małżonka, Dorota, gdy przyszło do chrzciu jego ostatniego dziecięcia, dała mu na imię Jan, jednocześnie zaś, wybrawszy sobie na opiekunów Jana Podlodowskiego i Piotra Kochanowskiego, oddała się całą duszą wychowaniu dzieci i pielęgnowaniu sławy mężowskiéj, zbierając skrzętnie pozostałe po nim prace i przesyłając je Januszowskiemu do druku. „Jakoż już w grudniu 1585 r. wydaje on dzieła polskie Jana, zarówno ogłaszane drukiem, jak i pozostające dotąd w rękopiśmie, z wyjątkiem *Psałterza* i *Fraszek*, które stanowić miały osobne, po wielekroć powtarzające się wydania. Wreszcie ogłaszając w r. 1590 resztę nie wydanych utworów, objętych tytułem *Fragmenta*, dał narodowi całość dzieł poety, stanowiących artystyczny wieku XVI dorobek”. [1])

Tak się przedstawia całokształt żywota Jana Kochanowskiego, odtworzony z niemałym talentem i olbrzymim nakładem pracy przez prof. Plenkiewicza, który tą monografią wystawił sobie *monumentum aerae perennius*. Jest to nietylko jeden z najlepszych życiorysów, jakiémi się pochlubić może nasza literatura historyczna, ale i jeden z najsumienniéj opracowanych, nie mówiąc o tém, że jest jednym z najsympatyczniejszych dla polskiego czytelnika. Bo nie da się zaprzeczyć, że Kochanowski należy do najpiękniejszych postaci naszéj narodowéj przeszłości. „Wychowaniec wszechnicy krakowskiéj, dość wcześnie odczuwa naukowe jéj braki i szuka podstaw gruntowniéjszéj wiedzy

---

[1]) Dorota, po śmierci męża, odnosiła się z niezwykłą, niemal religijną czcią do wszystkiego, co było pozostałością po nim: tak dalece, iż nawet kopce graniczne, które pokopano za życia poety, chciała widzieć nienaruszone, a gdy je inni zburzyć chcieli ona wyraziła stanowcze życzenie, „iż to wszystko, cokolwiek nieboszczyk pan Jan Kochanowski wykopał, ma w pokoju zostać“ O jéj dalszém życiu wiemy nie wiele. Oddana wychowaniu córek, dwie z nich, Ewę i Poliksenę, jeszcze sama wydała za mąż: pierwszą za Filipa Owadowskiego, drugą za Łukasza Łędzkiego. Przedtém, we dwa lata po śmierci męża, pochowała jego pogrobowego syna, Jana, zmarłego w końcu r. 1586. „Dziecię to poczęte w smutku, oczekiwane wśród najstraszniéjszych katastrof, jakichby nie przeniosło wiele niewiast bez szwanku, i urodzone w sieroctwie, musiało pójść za ojcem niedługo“. W końcu roku 1599 lub na początku 1600 poszła za nim i matka, osierocając swą śmiercią dwie najmłodsze córki. Te w kilka lat po jéj zgonie wyszły za mąż, obie bardzo dobrze: Halszka za Stanisława Witowskiego, dziedzica Jedlińska, z czasem kasztelana Brzezińskiego; Krystyna za Wojciecha Michowskiego, łowczego lubelskiego.

w Wenecyi, w klasycznéj Padwie i starożytnéj Lutecyi. Wreszcie po latach kilku wraca do kraju, jako humanista wykształcony gruntownie, z zadatkami pierwszorzędnego talentu. Wśród swarów politycznych i religijnych rozterków, wśród namiętności targających sercami, stoi on zawsze spokojny, poważny, niekiedy uśmiechnięty z wdziękiem atyckim, niby posąg na niewzruszonéj, granitowéj podstawie, duchem „ponad próżne troski ludzkie" wzniesiony, szybujący myślą w obłokach. I przez pierś jego, zasobną w skarby uczucia, przepływają te same prądy, które w piersiach innych nurtują; ale choć żywo odczuwa i własne bóle i klęski lub tryumfy narodu, nigdy przecież nie daje się porwać wirem wypadków, ani zaprządz w usługi sekty lub politycznego stronnictwa. On nie wniesie, jak tylu innych współczesnych mu pisarzów, do społeczeństwa rozkładowych żywiołów, ale owszem, owe sprzeczności epoki, jak mistrz dysonanse w muzyce, we własném życiu i w pieśni do harmonii sprowadzi. Nie propaganda religijna jego gwiazdą przewodnią, ale idea piękna, zaczerpana ze źródeł greckich i rzymskich, które on po mistrzowsku wcieli w kształty mowy ojczystéj. Słowem, czego wszechnica jagiellońska z posiewu Kazimierza W. nie umiała urzeczywistnić w nauce, tego on świadomie na polu poezyi dokonał". Jako taki, „jest on jednym z najwyższych przedstawicieli cywilizacyi zachodniéj pomiędzy pisarzami XVI stulecia u nas i najdzielniejszym krzewicielem ducha humanitarnego, który był jéj wykwitem". Tak pojmuje Kochanowskiego prof. Plenkiewicz, a zgodzi się chyba każdy, że jest to jedyne stanowisko, jakie zająć się godziło biografowi autora *Trenów*. Prof. Plenkiewicz zajął je, i dlatego wizerunek poety, jaki nam nakreślił w swéj książce, da się porównać do portretu, na którym model występuje jak żywy, ze wszystkiemi swemi cechami charakterystycznemi, uderzająco podobny do siebie, nie pochlebiony i piękniéjszy, niż jest w rzeczywistości, ale prawdziwy. Prof. Plenkiewicz pisał swoją książkę — jak to widać z każdéj jéj karty—z wielkim pietyzmem dla poety, ale ten kult dla Kochanowskiego, nie zaślepiał go, nie zamykał mu oczu na wszystkie rysy charakteru człowieka z krwi i kości, i tém się książka prof. Plenkiewicza zaszczytnie wyróżnia wśród tylu innych monografii o naszych wielkich poetach... Po przeczytaniu tego olbrzymiego tomu o 661 stronach in 4-o, zdaje nam się, że Kochanowskiego jako człowieka i poetę poznaliśmy nawskróś. Prof. Plenkiewicz wtajemnicza nas bardzo subtelnie, a niekiedy i z wielką przenikliwością, w cały mechanizm psychiki czarnoleskiego wieszcza, tak, iż w końcu poufalimy się z jego piękną i niepospolitą duszą, znamy ją, zdajemy sobie sprawę z jéj wszystkich bólów, trosk i radości, wiemy co ją mogło szar-

pać boleśnie, a co przyprawiać o radość. Książka posiada ten rzadki przymiot, iż w niéj Kochanowski żyje, że czuje, cierpi, gniewa się, oburza, bywa dotknięty w swojéj miłości własnéj, lub dręczony obrażoną dumą, ma świadomość swojéj wyższości, zraża się do ludzi, przestaje kochać swoich przyjaciół, myśli o zrobieniu karyery na dworze królewskim, stara się o protekcye możnych, zmienia protektorów, lawiruje pomiędzy obozami, raz trzyma z protestantami, to znowu naraża się na zarzut odstępstwa z ich strony, trzyma się klamki wielkopańskiéj, służy biskupom, działa w ich interesie, choć często powstaje na duchownych, a znany jest ze swéj „wolnomyślności", prowadzi życie rozpustne, upija się, dba o stosunki z możnymi, nie zawsze ma słuszność, nieraz się myli, lub unosi gniewem, ma swoje uprzedzenia: słowem, żyje życiem prawdziwém, rzeczywistém, jak człowiek, który nie jest ani ideałem, ani wcieleniem wszystkich cnót i doskonałości, chociaż jest wielkim poetą. Jednemu z wybitniéjszych biografów Mickiewicza, czyni prof. Tarnowski następujący zarzut: „Jeżeli zaś wolno na ten ciąg dalszy zrobić mu jaką uwagę, to powiedzielibyśmy jedno tylko słowo: strzedz się téj admiracyi bezwzględnéj, która przedmiot swój stawia i widzi tak wysoko, jakby on ludzką istotą już nie był, a przez to w wizerunku jaki z niego robi, znamion indywidualnéj ludzkiej istoty nie zachowuje i nie nadaje". Prof. Plenkiewicz nie zasłużył na ten zarzut, bo choć pełen uwielbienia dla Kochanowskiego, jako człowieka i poety, dbał o prawdziwość wizerunku, nie idealizował go, nie upiększał, nie ubarwiał; przedstawił Kochanowskiego, jakim był [1]); sprawił, że mu czytelnik wierzy, wierząc jednocześnie, że ma dokładne wyobrażenie o Kochanowskim, że poznał jego rzetelny wizerunek. A jak się przedstawia ta podobizna? Kochanowski choć nie pochlebiony, wychodzi na niéj niezmiernie sympatycznie i ujmująco. Po przeczytaniu téj najnowszéj monografii o nim, kocha się go więcéj jeszcze, niż się kochało przedtém; i nic dziwnego, bo zasługą pozostanie na zawsze jego czcigodnego biografa, iż kult, który każdy Polak żywi w duszy dla czarnoleskiego wieszcza, pogłębił, umotywował, że nam pozwolił Kochanowskiego poznać lepiéj i bliżéj, niżeliśmy go znali dotychczas. I poeta nie stracił na tém bliższem poznaniu.

Jako człowiek, niepospolity i szlachetny z gruntu, był wdzięcznym synem, dobrym bratem, czułym i kochającym mężem i ojcem.

---

[1]) „Nie jest on w życiu tak wielkim, jak w swoich utworach (powiada o nim prof. Plenkiewicz) to prawda; ale w każdym razie żywot to czysty, bez skazy, a on sam wielce sympatyczny i godny naszéj czci i miłości."

Rodziców kochał i poważał, zarówno ojca, o którym wspomina w *Muzie*, jak i matkę, którą unieśmiertelnił w *Trenach*; o tém zaś, jak czcił pamięć obojga, świadczy ich nagrobek w Zwoleniu, na którym aż po dziś dzień czytać można między innemi, że „gdy po zgónie dobroczyńców, dla okazania im wdzięczności nader szczupłe pozostały środki, Jan Kochanowki, rodzicom najczulszym ten kamień, długo wylewanemi łzami skropiony, położył.” Jako brat, był zgodny, a choć duchem wyższy od swego rodzeństwa, nie wynoszący się ponad nie. Dość wspomniéć o jego mowie na pogrzebie najstarszego z braci Kacpra, lub o *Dziewosłębie*, rzucającym nie małe światło na jego stosunek do sióstr. Z żoną żył w idealnéj harmonii, a jak ją nietylko kochał, ale czcił i poważał, o tém świadczy jego wiersz *O dobréj żonie*. Ale bo téż i zasługiwała na to! Ona i matka jego, to — według pięknego wyrażenia prof. Plenkiewicza — jakoby dwa białe opiekuńcze anioły, które zlewają ubłogosławienie na jego laurem uwieńczoną głowę. Jedna z zaraniu żywota czuwa nad jego kołyską i pierwsze jego kroki prowadzi, rozbudza w jego duszy drzemiącą iskrę poezyi, a potém wysyła go po wiedzę do zaczarowanych krain południa, by wyrósł jéj na pociechę, a ojczyźnie na chlubę. Wreszcie do lat najpóźniéjszych wpływ nań dobroczynny nawet z za grobu wywiera. Druga, sercem przezeń wybrana, opromienia miłością zachód jego żywota, i duszą jasną, jakby słonecznéj natury, staje się źródłem jego natchnień i głowy poświęconéj koroną. A jak tamta nad kolébką opiekuńcze skrzydła roztacza, tak ona we wdowiéj szacie chyli głowę nad jego mogiłą i po kres żywota przechowuje wiernie pamięć po zmarłym.” Dzieci kochał nadzwyczaj: nie przeszkadzały mu nigdy, nawet wtedy, gdy pisał w cieniu swéj ulubionéj lipy: owszem, widząc je bawiące się nieopodal, odkładał pióro, ażeby się pobawić z niemi, popieścić je, lub używać do drobnych posług. Dla przyjaciół był wylany i szczery, a w przyjaźni stały; jeśli nim być przestał, to wtedy tylko, jeśli swego przyjaciela, jak Nideckiego np. musiał przestać szanować, jeśli go widział sprzeniewierzającego się swoim zasadom lub ideałom, jeśli w nim dostrzegł instynktów, któremi gardził w człowieku wyższym. Uważał, że jeśli się wyznaje pewne *credo* moralne, to winno się postępować tak, ażeby z niém nigdy nie być w rozterce. To była jego zasada, któréj przez całe życie przestrzegał święcie. Jéj zawdzięczając, żył tak skromnie, że, jak sam się wyraził w *Trenach*, ledwie kto wiedział o nim, co—jak słusznie uważa jego biograf — wobec rozwijającego się pieniactwa było niemal wyjątkowém zjawiskiem. A jak był szczerym w przyjaźni, z którą jeszcze łączył tak rzadkie uczucie wdzięczności za wyświadczone przysługi lub do-

brodziejstwa, tak był dobrym sąsiadem: od objęcia Czarnolasu aż po ostatni kres życia nie ma z nikim żadnego zatargu. „W gorączkowym pościgu za fortuną i on z początku szedł za innymi i przyszłość swą budował to na względach możnych, to na łaskach królewskich; w końcu jednak wzgardził tém wszystkiém, skoro przekonał się, że ani fortuny, ani wyższych dostojeństw nie zdobędzie bez poniżenia własnéj godności. Gdy mu wreszcie życie postawiło dylemat: albo dostatki w stanie duchownym bez powołania, albo szczęście rodzinne w ożenieniu się z panną bez posagu: bez wahania wybrał to ostatnie, poprzestając na tych skarbach jedynie, które znalazł w sercu ukochanéj przez się niawiasty.” Wszystko to, razem wzięte, upoważnia do wniosku, do którego w końcu charakterystyki Kochanowskiego dochodzi prof. Plenkiewicz, że jako człowiek stoi on wysoko ponad poziomem moralnym ówczesnego ogółu i wszystkiemi znakomitościami złotego wieku.

A jako poeta? I pod tym względem zdobył sobie pierwsze miejsce pomiędzy współczesnymi, a jedno z najpierwszych w całéj poezyi swego narodu. Przedewszystkiém jest to poeta-artysta w najrozleglejszém znaczeniu tego słowa, poeta, o duszy poetycznéj, wykształcony na wiecznie pięknych wzorach poezyi starożytnéj, a obdarzony poczuczuciem artystyczném, jak nimi było tylko nie wielu po nim. To pierwszy tytuł do jego chwały. Drugim jest niewątpliwie ogromny wpływ, jaki wywarł na dalszy rozwój poezyi swego narodu, poezyi, któréj słusznie może być nazwany ojcem. Bo nie należy zapominać, a godzi się podkréślić, że nietylko poeci XVI i XVII stulecia, tacy, jak Górnicki, Miaskowski, Szymonowicz, Zimorowicz i wielu innych, ale i wszyscy poeci XIX wieku, poczynając od Brodzińskiego, a kończąc na Mickiewiczu i Słowackim, kształcili się na utworach autora *Trenów*, czerpiąc z dzieł jego, niby z przebogatéj skarbnicy, mnóstwo pereł swego poetycznego języka. Wszystkie rodzaje i gatunki poezyi greckiéj i rzymskiéj, a nadto włoski sonet i canzonę on mowie polskiéj przyswoił, na jéj jałowy grunt z obcych niw przeszczepił, a jeśli się zważy ówczesny stan poezyi czystopolskiéj, która do jego wystąpienia chlubiła się jedynie Rejem i Trzecieskim, to bardzo łatwo jest się gotowym podpisać pod pytaniem prof. Plenkiewicza, zali Kochanowski nie dokonał większego przewrotu w poezyi ojczystéj, niż romantyzm XIX wieku. „Ten przynajmniéj miał bogate zadatki z przeszłości: język wyrobiony przez pisarzów XVI i XVIII stulecia, no, i jakby zaczątki nowego zwrotu w poezyach Karpińskiego i Kniaźnina. Do czasów zaś Kochanowskiego nie było nawet języka, któryby godnie mową bogów przemawiał. On to wszystko, co istotę poezyi stanowi, albo

wysnuł z własnego ducha, albo z pod nieb obcych sprowadził.” Ale choć można powiedzieć o Kochanowskim, że stworzył język poetycki polski, język, który aż po dziś dzień, po trzech wiekach, nie traci swéj piękności i woni, to jednak nie tu kończą się niespożyte zasługi jego, jako poety. Bo zaprzeczyć się nie da, że wcale niemniejszą rolę, niż ta, jaką gra w dziejach naszéj poezyi, gra on i w dziejach naszéj narodowéj cywilizacyi. „Jak Kopernik dowiódł, że nie słońce około ziemi się obraca, ale ona jego prawom podlega, tak Kochanowski, stając na gruncie wszechświatowym, wytknął dla poezyi polskiéj nieomylne drogi dalszego jéj rozwoju. Zamiast zasklepiać się wyłącznie w narodowym partykularyzmie, ma ona ciążyć ku słońcu cywilizacyi powszechnéj i od niego, dla rozwinięcia w pełni swych czysto swojskich pierwiastków, przejmować ciepło i życie.” To piętno europejskości, które Kochanowski wycisnął na wszystkich swoich utworach, to jedna z jego największych zasług: on pierwszy wprowadził „młodą muzę słowiańską” na europejski Parnas, a uczyniwszy to, nie należy wyłącznie do polskiéj poezyi jedynie. Jakie jest jego stanowisko w poezyi wszechświatowéj? Zdaniem prof. Plenkiewicza, „nie zajmuje on w literaturze powszechnéj stanowiska, jakie się gieniuszom należy; owszem, jest ono skromne, co najwyżéj środkujące pomiędzy Horacym a Ronsardem, boć i oni urośli przyswajaniem obcych pierwiastków, każdy dla poezyi swego narodu; ale pomimo to, jest on wielki w tych ograniczonych dążeniach, bo co zamierzył, na wielką stopę dokonał: stąd wart *czegoś więcéj* nad skromny pomnik w kaplicy kościoła parafialnego w Zwoleniu.”

Tém „czémś więcéj” jest — jak na teraz — *Wydanie pomnikowe* jego dzieł, oraz pomnikowa monografia o nim, skréślona przez Romana Plenkiewicza.

Ferdynand Hoesick.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ks. Karol Niedziałkowski. „Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi świętéj". Z licznemi ilustracyami w tekście. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898 r.

„Księżyc wzniósł się już wysoko i zlewał światło tak silne, że ledwo większe gwiazdy widać było na niebie. Na ziemi zaś popielate, bezdrzewne góry szerokim pierścieniem legły dokoła i szarzały smutnie w błyszczącéj jasności. Wśród nich, otoczona murami, strzeżona licznemi basztami, leżała Jerozolima senna, cicha, spokojna. Leżała jakby jakaś szara granitowa masa, z któréj tu i owdzie podnosiły się większe budynki, strzelały w górę wieże, baszty, minarety: tu oto kościół patryarchatu łacińskiego o łukach i szczytach gotyckich; wprost na południe cytadela ze swojemi staremi wieżami, a za nią Syon; w dole kopuła kościoła Grobu Pańskiego; wyżéj znowu, na tle góry Oliwnéj, inna kopuła meczetu Omara... Ileż to setek tysięcy pielgrzymów stało tak samo o zmroku, albo w ciszy nocnéj — opartych o obwarowanie tarasu, zapatrzonych w dal szarą! Przed oczyma ich duszy przechodziły zapewne postacie wielkie, potężne, grzeszne i straszliwe,—widzieli w tajemniczym mroku przesuwających się proroków, królów, apostołów, biskupów, patrzyli na oblężenia, szturmy, na pałace, twierdze, wspaniałe gmachy, na ich pożary, burzenie, ruiny, widzieli zapewne krzyż tam w dole i miotające się koło niego tłumy, i walkę straszną, i wszystkie okropności oblężenia, i ucisk, jakiego nie było i nie będzie... Wszystko to teraz przeszło. Przeminęły dnie chwały, przebrzmiały jęki rospaczy

oddawna pod murami Jerozolimy nie słychać chrzęstu broni nieprzyjacielskiéj, a nad miastem spokojnie panuje półksiężyc turecki, niedołężny i ospały. Cicho dziś w Jerozolimie, tylko u stóp murów dawnéj świątyni płaczą czasami resztki odrzuconego narodu, tylko w jasną noc księżycową w grotach podziemnych płoną tajemniczo lampy złociste, a dusze pobożne ślą ciche westchnienia ze wzruszonéj piersi"...

Rzewny, smętny, uroczy ten obrazek z „Pielgrzymki do ziemi świętéj" ks. Karola Niedziałkowskiego doraźnie a mimo naszéj woli chwyta i pociąga myśl i wyobraźnię naszą na szlaki, któremi przed kilkudziesięciu laty przebiegała tęskna, poetycka, rozmarzona, rozmodlona dusza księdza Ignacego Hołowińskiego. Poznajemy tu, w odwzorze wiotkim i skróconym, wykwintny styl tłómacza Szekspira i Petrarki, gorące tchnienie twórcy epopei „Dzieciątka Jezus", roziskrzony ponurém na tle sposób obrazowania autora najgłośniejszéj w swoim czasie a i podziśdzień wycieczki — ku miejscom, gdzie się spełnił radośny cud odkupienia rodzaju ludzkiego, gdzie się odbyła największa, najgłębsza i najpłodniejsza rewolucya spraw i przeznaczeń człowieka. Istotnie przemierzając oczyma tę luźną, ze środka książki ks. Niedziałkowskiego wyrwaną kartkę, doznajemy złudzenia, żeśmy na ustęp z dzieła ks. Hołowińskiego trafili, że własne jego słowa słyszymy: „Jest to prawdziwe Jeruzalem, czyli widzenie pokoju grobowego, pokoju śmierci... Zdaje się, że śmierć Zbawiciela rzuciła wieczną żałobę na to miasto"...

Podobieństw zresztą — oczywiście nader zaszczytnych zarówno dla wzoru jak i dla odwzoru — wyszukaćby można poczet niemały nawet w architektonice „wrażeń" ks. Niedziałkowskiego. Uderzają one głównie w nieustającém przeciwstawieniu o p i s ó w teraźniejszości, tego co się widzi i co pozostało w Palestynie z tém, co się zaledwie utrzymało w tradycyi, legendzie lub przypomnieniu biblijném. U Hołowińskiego płynęły te antytezy pełnemi rzekami, u ks. Niedziałkowskiego — zaledwie strumykami chudemi, ale spotykamy je wszędzie. Nie dopłynął jeszcze podróżnik do brzegu, nie dotknął się stopą stałego lądu, z oddalenia dopiéro spostrzega Jaffę,— a już erudycya święta zasłania przed nim widnokrąg rzeczywistości i zachęca do o d g a d y w a n i a faktów istniejących ze zdarzeń minionych, a nawet z odgłosów przebrzmiałych. Mam przed sobą — pisze z pokładu statku — „miasto n a j s t a r s z e na świecie, b o p o d a n i e u t r z y m u j e, że Noe tutaj budował arkę i że J a f e t wzniósł na nowo zburzone przez potop miasto. Trwając tak długo, ma ono o c z y w i ś c i e nader bogatą historyę". Bardzo być może, że bogactwo to nie jest urojone, przypuśćmy jednak na chwilę, że Jaffa nie ma wcale przeszłości

dziejowéj: czyliż bylibyśmy w takim razie zupełnie pewni, że nikomu nie przyszłoby do głowy stwarzać ją *ad hoc*, dla ocalenia lub poparcia podania o arce Noego i Jafecie? Przecież sam hr. Stanisław Tarnowski otwarcie wyznał w swoich „Wakacyach", że podobne miraże, bibliotecznego przeważnie autoramentu, napastowały go wszędzie, pod Gdańskiem, w Warmii, na ulicach Kijowa, przed bramami Wilna, wśród bezleśnéj już prawie, gościńcami pociętéj kowieńskiéj doliny Mickiewicza. A cóż dopiéro, gdy do współki z mirażami występują jeszcze takie przygody osobiste, jak ta, która właśnie w porcie Jaffy nawiedziła autora. Nietylko, niestety, nie zdołał on przypomnieć sobie bogatéj historyi miasta, lecz nawet nie zdążył popatrzéć na nie. „Nabrawszy bowiem otuchy — opowiada on, — że oto w końcu jesteśmy u celu, wstałem z mego łoża, niekoniecznie wygodnego (była to ogrodowa ławka z grubych prętów) i po herbacie wyszedłem na pokład: tu znowu spotkałem się z morską chorobą. Siedziałem więc zbiedzony na ławce, wyglądając co czas pewien ku morzu; i tak mnie nic nie obchodziło, że gdybym był wówczas zobaczył, jak Perseusz leci wyzwalać Andromedę (co tu miało się stać), tobym obojętnie machnął ręką — a niech sobie leci, kiedy mu pilno"...

Trzeba wszelakoż wyznać, że się tym razem sprawdziło przysłowie: nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Uwydatnienie licznych przykrości spotkanych — i w ogólności tak często spotykanych w podróży, znacznie, jak przypuszczamy, przyczynić się musiało do uszczuplenia w „Pielgrzymce" ks. Niedziałkowskiego najrozmaitszego rodzaju uwag i zastanowień scientyficznych, — obyczajowych, dogmatycznych, geograficznych, starożytniczych i t. d., przeciążających „Pielgrzymkę" ks. Hołowińskiego. Archeologia np., zagarniająca w pięciotomowéj pracy Hołowińskiego część przynajmniéj siódmą lub ósmą, sprowadzoną została u ks. Niedziałkowskiego do kilkunastu co najwyżéj kartek, na ogólną liczbę stronic 514-tu; nowoczesny nasz podróżnik poprzestaje zazwyczaj na krótkich w tym zakresie zaznaczeniach encyklopedycznych, téj oto osnowy: „Lydda (Dispolis, dawniéj Lod) odgrywająca pewną rolę w historyi kościelnéj, że tu św. Piotr uzdrowił paralityka Eneasza i że tu w r. 404 miały być pochowane zwłoki patrona Wschodu św. Jerzego, umęczonego za Dyoklecyana w Nikomedyi". „Ramleh, dawna Arymatea, skąd pochodził Józef i Nikodem". „Aakir, dawne Akkaron, niegdyś stolica jednéj z pięciu satrapii filistyńskich; tu niegdyś była wyrocznia, do któréj Ochozyasz, król izraelski posyłał z zapytaniem, czy wyjdzie z choroby". Wszystkie te miejscowości położone są przy drodze żelaznéj z Jaffy do Jerozolimy i ogląda się je albo z okna wagonu albo oczyma duszy. W saméj Jerozoli-

mie, następnie zaś w Betlejemie i Nazarecie, autor znacznie więcéj miejsca poświęca zabytkom przeszłości, chociaż i tu doskonałe nieraz usługi wyświadcza formuła stereotypowa: „można wiele ciekawych opowiadań czytać w kronikach, pomijam je jednak, bo nie piszę historyi tego kraju" (str. 158).

Za to w ustępach polemicznych ks. Niedziałkowski bynajmniéj już i w niczém nie ustępuje znakomitemu swojemu poprzednikowi. Nie broni wprawdzie przy lada sposobności, jak ks. Hołowiński, nauk kościoła o odpustach, nie usiłuje wykazywać dobroczynnego wpływu dogmatów na moralność, nie przekonywa o niezbędności postów i fizycznych umartwień ciała z powodu wypadków tak nieskończenie błogich i zbawiennych dla ludzkości, jak Narodzenie lub Zmartwychwstanie Chrystusa. Wzrastający sceptycyzm wieku, coraz bardziéj usuwa na plan dalszy zagadnienia téj kategoryi obrzędowéj, upodrzędniając je i lekceważąc. Co innego w punktach bezpośrednio się wiążących z kanonicznemi podstawami wiary. Kto w Hołowińskim zapamiętał ostrą krytykę katolickich poglądów Poujoulat'a, nie zdziwisię téż i w Niedziałkowskim surowości tonu, z jakim np. potraktowane zostało protestanckie dzieło Ebersa i Guthego „*Palästina in Bild und Wort*". „Czytając powyższe dzieło — powiada autor — miałem próbkę postępowania protestanckich ortodoksów, za jakich obaj ci uczeni chcą uchodzić. Oto najpierw dość było, żeby napotkali jakiekolwiek podanie, przywiązane do pewnego miejsca czy budynku, żeby wszelkich używać starań do obalenia go, chociaż najczęściéj nic pewnego natomiast podać nie umieli. Taki to już protestancki duch przeczenia i przekory. Jeszcze gorszy sposób ich postępowania względem Jezusa Chrystusa. Okazują mu w słowach najwyższą cześć i stale nazywają Zbawicielem (*unser Heiland*), tymczasem również stale starają się wszystkie Jego cuda tłumaczyć sposobami naturalnemi, stawiając go w alternatywie, że albo nie wiedział co robił, albo udawał dla dobra ludzkości. To pewna, że taką samą cześć oddawali Zbawicielowi żołnierze, którzy przed nim klękali i bili trzciną po głowie, wołając: witaj królu żydowski."

Ze swojéj strony, ks. Niedziałkowski, dla uzasadnienia cudu, cudowności, posługuje się metodami, których miano przynajmniéj, jeśli nie rzecz, przed sześćdziesięciu laty nie mogło być znane ks. Hołowińskiemu. Są to metody pozytywne, pozytywistyczne, wychodzące zawsze, jak wiadomo, z przysłowiowego niemal założenia: niech starczy fakt za racyę. Faktem jest — zapewnia np. ks. Niedziałkowski, że w d. 10 maja 1291 r. mieszkańcy dalmatyńskiego miasta Tersatu, leżącego w pobliżu Fiumy, tuż za miastem, na stoku małego wzgórza „spostrzegli stojący domek, którego tu pierwéj nie było... Była to

czworograniasta budowla bez fundamentów, jedném tylko zaopatrzona oknem i jednemi drzwiami. Ściany, wzniesione z czerwonego kamienia, mieściły wewnątrz malowidła, przedstawiające sceny z życia Najśw. Panny, mianowicie tajemnicę Zwiastowania, podczas gdy sufit na tle niebieskiém ozdobiony był gwiazdami. W jednym rogu znajdował się ołtarz kamienny, a nad nim malowany obraz Ukrzyżowanego; po prawéj stronie ołtarza stała we framudze statua z drzewa cedrowego, przedstawiająca Najśw. Pannę z Dzieciątkiem na ręku, a tuż obok szafka z naczyniami" (str. 404). Faktem jest również, że we trzy lata i siedm miesięcy późniéj, a mianowicie 10 grudnia 1294 r. „domek ów podniósł się w górę i zniknął z oczu zasmuconych mieszkańców Tersatu, a przeniesiony po nad morzem rękami aniołów, osiadł we Włoszech, najpierw w lasku wawrzynowym przy Rekanati, a wkrótce potém na najbliższém wzgórzu, wreszcie w Lorecie, gdzie się téż do dziś dnia znajduje". A ponieważ: 1-o, w Nazarecie, na miejscu, gdzie się dziś wznosi kościół Zwiastowania, znajdowało się w dniach Odkupienia mieszkanie Najśw. Panny, złożone „z dwóch grot i dwóch przyległych murowanych pokoików" (9 metrów 55 centymetrów długości i 4 metry 9 centym. szerokości) — i tu właśnie „odbyła się tajemnica Zwiastowania" (str. 403); ponieważ 2-o, w dniu ukazania się domku w dalmatyńskim Tersacie miejscowy proboszcz, Aleksander Giorgio, oświadczył, iż miał widzenie, jakoby to był ten sam przybytek, „w którym Słowo stało się ciałem", oraz, „że ten ołtarz postawił św. Piotr i Ofiarę św. na nim sprawował, że wreszcie krucyfiks i statua są dziełem św. Łukasza"; ponieważ 3-o, wysłani na razie, z rozkazu cesarza Rudolfa I, delegaci stwierdzili w Nazarecie, „że domek Najśw. Panny został oddzielony od fundamentów i że fundamenta, które jeszcze istniały, zupełnie się zgadzają z domkiem znalezionym w Tersacie", — przeto, niech tam sobie ludzie, uważający się za należących do „postępowéj inteligencyi", uśmiechają się z politowaniem i twierdzą, że cud jest niemożliwym... „Odpowiem im na to,—pisze podróżnik—że widocznie jest możliwym, skoro był, bo fakt spełniony jest najlepszym dowodem, że mógł się spełnić; takim faktem jest znajdowanie się domku nazareteńskiego w Lorecie" (406).

Po za tém,—to jest po za wytknięciem logicznych trybów dowodzenia myśliciela-kapłana należałoby jeszcze podnieść główne cechy odtwórczego talentu artysty, zwłaszcza jako malarza krajobrazów, które w literaturze podróżniczéj stawiane są zazwyczaj na naczelném miejscu. Pod tym względem, oprócz przytoczonego księżycowego pejzażyku Jerozolimy, paralela z ks. Hołowińskim wykazałaby same już tylko niemal różnice. Pomimo reminiscencyi i metafor poetyckich

z cmentarnego, umarłego świata, pomimo mistycyzmu i fantasmagoryi legendowych, odgrywających rolę obłoków na nużąco jednostajném tle przezroczystego nieba palestyńskiego, jest Hołowiński wszędzie, bez przerwy prawie, wzruszonym, rozmarzonym, zachwyconym, podnieconym na widok skał i piasków, których się dotykały stopy Jezusa. Wyobraźnia ks. Niedziałkowskiego zrywa się do lotu wtedy tylko, kiedy refleksya poda jéj skrzydła. Rzetelne, formalnie w Piśmie Ś-em zaznaczone ślady promiennych lub łzawych i krwawych początków Chrystyanizmu gorąco przemawiają do jego pobożnéj, uroczyście nastrojonéj duszy. . Co by się jednak tyczyło materyalnego otoczenia wspaniałéj i wiekopomnéj téj akcyi...—ba! przemówiłoby i ono, gdyby się zjawił św. Jan Chrzciciel, lub choćby tylko św. Tomasz niewierny i zaświadczył gestem, skinieniem głowy, że z tego powietrza, którém Chrystus oddychał, z téj wody, którą grzechy świata obmywał, istotnie zachowała się po dziś dzień bodaj jedna autentyczna kropla. Ale, że cuda takie, jakkolwiek zawsze możliwe, coraz rzadziéj za dni naszych się zdarzają, przeto i wędrówka bez nich, wśród najpiękniejszych nawet okolic, ciągnie się oschle, leniwo, ospale, zahaczając nieustannie zapał i natchnienie pątnika o jakieś prozaiczne „albowiem", „ponieważ", „dla tego"... „Wyjechaliśmy w góry; są one bardzo różne od wszystkich, jakie widziałem; zwykle bowiem góry są spiczaste, tutaj zaś przeważa forma bardzo długich, ogromnych wałów kamiennych; ostre szczyty są rzadkie. Wydały mi się one lepiéj, niż sądziłem. Prawda, że są to skały, ale nie tak zupełnie nagie, jak się spodziewałem; tu i owdzie czepiają się ich krzaczki dębiny karłowatéj; dość często można spotkać drzewa oliwne, rosnące, nie wiem jakim sposobem, na skalistym gruncie, czasem nawet widać całe ogrody oliwne. Niestety i ta skromna roślinność coraz bardziéj znika, bo mieszkańcy wyrywają drobne drzewka z korzeniem i wiozą do Jerozolimy na opał"...

Na téj szaréj i pod względem obrazowości pustynnéj równinie konsyderacyi opisowych zamigoce niekiedy jaskrawsza plamka *genre*'u—anegdotka, żart, scena drażliwsza; ale i ona natychmiast idzi. do torebki, przeznaczonéj wyłącznie na obrok duchowny dla czytelnika „Nim zasnąłem, wysłuchałem koncertu i to jednego z najosobliwszych; niedaleko od mojéj celi musiał być jakiś klub niemiecki, czy sala dla śpiewów, bo właśnie z niéj dochodził mnie bardzo wyraźnie śpiew ze dwudziestu dobranych męzkich głosów, śpiewających *unisono* zdaje się po niemiecku. Melodya i sposób śpiewania były tak szczególne, że nic podobnego nigdy nie słyszałem, nie potrafię też powiedzieć, co by to być mogło, bo rodzaj zupełnie mi nieznany, ale że ładny, więc mi przykrości nie sprawił, owszem — słuchałem z zajęciem i przyjemno-

ścią... A może to masoni, których tu (w Egipcie) jest kilka lóż, śpiewali hymny na cześć swego boga — Lucyfera lub szatana?" (str. 477).

Dodajmy w końcu, jako ważną okoliczność łagodzącą, że najsłynniejszych, najbardziéj malowniczych zakątków Palestyny ks. Niedziałkowski nie zwiedził. Koléj żelazna sprawiła, że w drodze z Jerozolimy do Nazaretu pominąć wypadło czarujące pobrzeża jeziora Genezaretu, nad którém urosła chwała Jezusa, jako mędrca, proroka, opiekuna dziatwy, pocieszyciela ubogich, uzdrowiciela dotkniętych niemocą śmiertelną, gdzie Święta Rodzina często szukała przytułku w swych wycieczkach paschalnych. Nie wstępował też nasz podróżnik na wspaniałą górę Przemienienia — na Tabor i słusznie dziś czyni, gdy próbuje zażegnać nasz żal z tego powodu, — powiadając: „Jeśli pielgrzym nie mógł się pomodlić na świętém miejscu, to turysta pocieszał się, że przykrość ze względu na piękność natury nie była znowu tak wielką. Tabor stracił w większéj już części zieloną szatę, jaką miał dawniéj. Pozostało jeszcze trochę dębów tkwiących co kilkadziesiąt kroków w spalonym i szarym gruncie, na szczycie rosną tylko dzikie krzaki i karłowate drzewka. Nie ma już rozłożystych i cienistych drzew, które ks. Hołowiński wspomina" (414). *I. T. Hodi.*

Ignacy Matuszewski.—„Swoi i obcy" (pokrewieństwa i różnice). Zarysy literacko-estetyczne.—Warszawa. Gebethner i Wolf. 1878. In 8 o Str. 512.

Krytyczne prace Ignacego Matuszewskiego, pomieszczane w warszawskich pismach peryodycznych, a wyróżniające się zawsze wielką barwnością słowa i bezstronnością, budziły żal w uważniejszych czytelnikach, jako skazane na pogrzebanie w dziennikarskiéj bibule. Autor uchronił je od zagłady, zebrawszy w książkę wybór i dopełniwszy go w miarę potrzeby. Matuszewski jest jednym z niewielu naszych krytyków interesujących się dziejami literatury, powszechnéj i niepowszednio w tym przedmiocie oczytanych; poszukiwania, w tym kierunku przedsiębrane, wyrobiły w nim niepospolite znawstwo obcych piśmiennictw, gruntowność i dojrzałość sądu, chroniąc zarazem od jednostronności, tak często spotykanéj u naszych domorosłych krytyków. Jedną z najbardziéj charakterystycznych cech Matuszewskiego jest również w wysokim stopniu rozwinięta umiejętność przejmowania się współczesnemi mu prądami myśli ludzkiéj; najlepszy dowód tego stanowi jego praca: „Czarnoksięstwo i mediumizm" (1896), poważny wyraz zapatrywań naszego uczonego na sprawę, która w swoim czasie zajmowała wszystkie wybitniejsze umysły europejskie.

Zebrane w harmonijną całość „zarysy literacko-artystyczne" są właściwie w przeważnéj części wyczerpującemi przedmiot studyami, zaznaczającemi „pokrewieństwa i różnice" pomiędzy arcydziełami obcéj i swojskiéj literatury. Obok Byrona, Shelley'a i Alfreda de Vigny, stają Mickiewicz i Słowacki... Poglądy Taine'a, Guyau, Verona i Hennequina na subiektywizm w sztuce bywają zestawiane z cytatami z Mickiewicza i Krasińskiego... w charakterystyce Prusa znajdujemy porównania naszego powieściopisarza z Balzakiem i Dickensem.

Rozpoczyna książkę studyum p. t. „Subiektywizm w krytyce". Jest to „wyznanie wiary" Matuszewskiego — wykład jego poglądów na sztukę i krytykę. Położywszy nacisk na to, że subiektywizm i obiektywizm są to pojęcia względne, autor określa, czém jest w procesie twórczym podmiotowość, któréj rola, upośledzana w czasach stosowania teoryi Horacego, Arystoteles'a i Boileau, odzyskała po ich zbankrutowaniu należne sobie względy. Naturalnie, że i zadanie krytyki stało się wtedy inne – jako rezultat subiektywnéj pracy, wzniosła się ona na wyżyny sztuki. Tylko nieporozumienie powodować może spór o subiektywizm, albo obiektywizm, ponieważ niezależnie od subiektywnéj, estetycznemi, względami powodującéj się krytyki, zabiera głos krytyka obiektywna, naukowa lub moralna, zastanawiająca się nad stosunkiem dzieła do materyału i ważąca etyczne oraz społeczne jego znaczenie. Że zaś oba te rodzaje krytyki przeplatają się ustawicznie ze sobą, więc—jak słusznie twierdzi autor – nawet najwraźliwszemu i najzdolniejszemu krytykowi, nie wolno być nieukiem.

Bolesławem Prusem i Henrykiem Sienkiewiczem zajmuje się Matuszewski w trzech dużych studyach, z których naczelne rozpada się na dwie części: Prus „jako artysta i filozof" (z powodu powieści „Emancypantki") i „zwrot w jego twórczości" (z powodu powieści „Faraon"). Pierwsza z nich daje nam wyczerpującą charakterystykę twórczości znakomitego powieściopisarza, drugą zaś — szczegółowy rozbiór Faraona, z naukowego i estetycznego punktu widzenia. W ślad za tém idzie analiza krytyczna dwu ostatnich utworów Henryka Sienkiewicza: „Rodziny Połanieckich" i „Quo Vadis", traktowana porównawczo i dająca doskonałą charakterystykę autora. Cykl krytyczny, poświęcony Dioskurom naszego powieściopisarstwa, zamyka paralela—„Prus i Sienkiewicz", napisana nie dla wykazania wyższości którego z nich, lecz dla uwydatnienia ich odrębności. Zastrzegając się we wstępie, że „dla pewnych grup i jednostek zawsze wyższym będzie jeden, dla innych — drugi", Matuszewski dochodzi do następującéj konkluzyi: „Sienkiewicz i Prus — to talenty wielkie, lecz różnorodne w typie, dążeniach i formie. Obaj są poetami pierwszéj wody, ale kiedy Sienkiewicz idea-

lizuje świat zmysłowy, wykazując ile w nim jest ładu, składu i piękna, Prus, mniéj nieco czuły na harmonię zewnętrzną, stara się natomiast uchylić rąbek zasłony, skrywającéj wewnętrzny porządek istnienia".

Idące z kolei trzy studya są poświęcone Słowackiemu. W pierwszém z nich „Słowacki i Shelley" zestawia Matuszewski obu poetów, opiérając się na ich utworach, osnutych na jednéj i téj saméj kanwie, a tak odmiennie przeprowadzanych. Sz. krytyk, wbrew przypuszczeniom p. Tadeusza Pini'ego (patrz „Ateneum", maj 1897), twierdzi, że Słowacki, tworząc „Beatryks Cenci", nie znał „Rodziny Cencich" Shelleya. W następném studyum „Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu" krytyk, opiérając się na głównych zasadach jednych i drugich, roztrząsa ich podobieństwo i wykazuje potrzebę badania dotychczas zaniedbywanych dzieł Słowackiego z mesyanistycznego okresu, z pomocą klucza, znajdującego się w filozoficznych pismach poety. W ostatnim z tego cyklu studyum, p. t. „Geneza i znaczenie Eloi Słowackiego", dowiódł Matuszewski, że powiewna ta postać z poematu „Anhelli" przejętą została przez naszego poetę z poematu Alfreda de Vigny „Eloa".

Mówiąc o Słowackim, trudno było przemilczéć o Byronie, któremu téż z kolei poświęca Matuszewski obszerne studyum, p. t. „Lord Byron i wpływ jego na literaturę polską". W pierwszych dwu częściach daje nam autor szczegółowy życiorys, doskonałą charakterystykę tego „największego po Szekspirze wieszcza Brytanii" i wyczerpującą analizę jego utworów, nietylko wybitniejszych, lecz i tych, które dotychczas mniéj zaszczycane były uwagą krytyki; w trzeciéj części pracy swéj, dla nas najciekawszéj, wykazuje wpływ Byrona na Malczewskiego, Mickiewicza (prawie że wyłącznie „Wallenrod"), Krasińskiego, Słowackiego (wpływ najsilniejszy: w szeregu młodzieńczych utworów, w „Arabie" — „przebajronizowanie Byrona, w „Wacławie", „Kordyanie", w dźwięcznych sekstynach, „Podróży na Wschód" i w cudnych oktawach „Beniowskiego"), a także i na mniéj wybitnych poetów, jak: Korsak, Witwicki, Garczyński, Olizarowski, Zmorski, Żeligowski, Żmichowska, Norwid, Wolski, Korzeniowski, Miron, Berwiński. W studyum poświęconém Byronowi, znajdujemy nieliczne wprawdzie, lecz odznaczające się wiernością przekłady z tego poety, dokonane przez Matuszewskiego, a dowodzące, że jest on nietylko wybitnym krytykiem, lecz zarazem sumiennym i uzdolnionym tłómaczem.

Przedmiotem dla naszego piśmiennictwa zupełnie nowym, a niepospolicie ciekawym, zajmuje się Matuszewski w studyum „Ideał bohatértwa w dramacie staroindyjskim". Znajdujemy tu zestawienie idealnego typu bohatéra staroindyjskiego, króla Hariczandry, z boha-

térem chrześciańskim kalderonowskim „Księciem Niezłomnym”, które to dzieło Słowacki tak świetnie na nasz język przełożył; podobieństwo losu i charakterów kalderonowskiego infanta, Don Fernanda, i króla Hariczandry istotnie jest uderzające bez względu na czas powstania i miejsce akcyi.

Również dla nas nowy, a nie mniéj ciekawy przedmiot porusza Matuszewski w pracy swéj „Bohatérowie Jasełek”, poświęconéj stałym typom teatru ludowego w Europie. Rzecz ta, drukowana niedawno w „Tygodniku Ilustrowanym”, jest lepiéj znana niż inne prace sz. krytyka, zaznaczamy ją więc tylko z obowiązku sprawozdawczego, aczkolwiek zasługuje na szersze omówienie, jako studyum, wyczerpujące przedmiot i zawierające, zdaje się, że pierwszą w naszém piśmiennictwie obszerniejszą wiadomość o dziejach naszéj szopki i rozmaitych jéj typach.

Zamyka książkę dział zatytułowany „Drobiazgi i szkice krytyczne”, rozpoczynający się doskonałym szkicem o Torkwacie Tassie, w którym czytelnik znajduje gorącą zachętę do czytania „Jerozolimy Wyzwolonéj” w przekładzie Piotra Kochanowskiego. W „Liczmanach myśli i mowy” roztrząsa autor banalne, wszędzie powtarzane ogólniki i dowodzi, że te oklepane frazesy naszych upodobań powstały dzięki bezmyślnemu rozciągnięciu znaczenia pewnych twierdzeń, skądinąd posiadających nawet wartość w zakresie swoim. Rozprawa „Estetyka i publiczność” daje autorowi sposobność do wypowiedzenia gorzkich *Verba veritatis* naszym salonom i naszym pięknym paniom, napozór namiętnie, w istocie zaś chorobliwie zajętym pięknem, lecz tylko tém, które jest w modzie. Słusznie nazywa Matuszewski: aktualność, felietonowość, bezmyślność i modę czterema banalnemi obliczami estetyki popularnéj końca XIX wieku. Wogóle charakteryzuje on te sfery tak dobitnie i trafnie, że trudno się powstrzymać od przytoczenia zdań paru: „tonąc po uszy w lekkich szumowinach fałszywie pojętego modernizmu, ignoruje się rzeczy prawdziwie nowe i dobre, oraz całą potężną, spiżową twórczość przeszłości, chyba, że jakiś szczególny wypadek (rocznica i t. p.) zwraca na chwilę w tym kierunku uwagę. Poezya i sztuka są najczęściéj dla ich licznych czcicielek środkiem, nie celem,—efektem kokieteryjnym, nie przedmiotem kultu. Pozuje się na zwolenników piękna dlatego, żeby się wyróżnić z szaréj masy, ale w gruncie rzeczy owo piękno mniéj ma znaczenia, niż eleganckie portyery, meble i tapety. Prawdziwego głębokiego poczucia, bezinteresownego zamiłowania i istotnéj znajomości sztuki i literatury nie ma po za kołami specyalistów prawie wcale, — i na tym punkcie koniec XIX-go wieku

stoi znacznie niżéj od innych okresów dziejowych, kiedy to nie liczba, lecz jakość głosów decydowała o losach twórczości artystycznéj."

Książka Matuszewskiego, choćby ze względu na samą śmiałość i niezależność sądu, pomijając już inne jéj zalety z samém nazwiskiem autora związane, jest jedném z najpożyteczniejszych i najbardziéj sympatycznych wydawnictw, jakie się w ostatnim czasie pojawiły.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *A. K. Puzyrewski.* **Wojna polsko-ruska 1831 r.**, wydanie przerobione, poprawione i uzupełnione. Warszawa, 1897—98. — Książka, któréj przekładu podjęła się wielce dawniéj ruchliwa firma M. Orgelbranda, powstała na tle ściśle pedagogiczném, jako zcalenie prelekcyi wykładanych przed laty w petersburskiéj akademii wojskowéj,—i charakter ten zachowała w edycyi drugiéj, pomimo uzupełnień, zwiększających jéj objętość wdwójnasób. Widać tę specyalność szczególnie w aneksach, obejmujących najprzód mapy i plany bitew, następnie obszerny memoryał generała Prądzyńskiego, skréślony nazajutrz po wypadkach z polecenia cesarza Mikołaja I-go. Tekst, jakkolwiek zupełnie popularny, dostępny każdemu średnio wykształconemu umysłowi, nosi na sobie cechy szkolnéj genezy dzieła: ścisłość, zwięzłość, dokładność, — przedewszystkiém zaś bezstronność, nie ukrywającą nigdzie ani zalet przeciwnika, ani usterek lub błędów własnych. Dla dania niejakiego wyobrażenia o stylu autora i sposobie przedstawiania wypadków, przytoczymy choć parę wierszy z ostatniego, dotąd wydanego zeszytu. „Pod koniec bitwy pod Grochowem, Chłopicki spodziéwał się, że mu się uda jeszcze zmienić obrót sprawy na swoją korzyść; w tym celu kazał Krukowieckiemu zwrócić się ku laskowi, a Łubieńskiemu z jazdą poprzéć zamierzony atak; ale ten ostatni nie uważał się za obowiązanego do posłuszeństwa i nie spełnił rozkazu, znajdując, że miejscowość nie nadaje się do działania jazdy, przyczém oświadczył, że spełni jedynie formalny rozkaz naczelnego wodza (którym nominalnie był książę Radziwiłł). Wtedy Chłopicki udał się do Radziwiłła z prośbą o zmuszenie Łubieńskiego do posłuszeństwa. Wracając stamtąd, był raniony odłamem granatu i uniesiony z pola bitwy, zachowując przez cały czas zupełny spokój ducha, zagrzewając po drodze żołnierzy i dając ostatnie rozkazy Prądzyńskiemu... Od chwili téj schodzi Chłopicki z widowni dziejowéj. Oddalenie jego z pola bitwy miało dla Polaków bardzo smutne następstwa; wszystko się rozprzęgło; znikło jednolite dowódz-

two; Radziwiłł stracił głowę całkowicie, szeptał po cichu pacierze, a na pytania odpowiadał wersetami z Pisma św.; bojaźliwy Szembek płakał; Umiński sprzeczał się z Krukowieckim, a ze starszych dowódzców frontowych jeden Skrzynecki zachował zupełną przytomność ducha i wydał rozkazy, które przyczyniły się do podtrzymania pewnego porządku w zachwianém wojsku." Poglądów natury politycznéj lub prawno-społecznéj nie ma w dziele zupełnie, — z wyjątkiem kilku niezbędnych uwag w rozdziałach wstępnych, uwydatniających ówczesną sytuacyę Królestwa kongresowego i powody zatargu; szerzéj natomiast uwzględnione zostały nieodłączne od przedmiotu dane ze statystyki administracyjnéj, ekonomicznéj, topograficznéj, wojskowéj i t. d. Zasługuje na zaznaczenie literatura wypadków. Jest ona pokaźna, bogata. Autor nie pominął nawet broszur polemicznych, o ile one rzucić mogły najdrobniejsze bodaj światełko na przebieg i rozwój straszliwego dramatu. Z prac poważniejszych nie zdołalibyśmy wykazać ani jednego zamilczenia lub pominięcia. Oprócz wyczerpującego spisu źródeł i zwięzłéj krytycznéj ich oceny na początku książki, każde przytoczenie w toku opowiadania, każde odwołanie się do zdania świadków, lub uczestników wielkiego procesu dziejowego, ma swój osobny odsyłacz, swoje wymotywowanie bibliograficzne. Najczęściéj — naturalnie — cytuje autor Prądzyńskiego; mniéj zdaje się ufać Mochnackiemu i jego kontynuatorowi Mierosławskiemu; Dębiński i Dwernicki traktowani bez uprzedzenia, Chrzanowski bez szczególnéj predylekcyi. Barzykowski, jako zajęty przeważnie wewnętrzną, to jest organizacyjną i rządową stroną akcyi, nie mógł liczyć na większą wziętość. W ogólności, generał Puzyrewski wszędzie oddaje pierwszeństwo świadectwu pamiętnikarza przed wyrokiem historyka, ferowanym *post factum*, wszelkie zaś relacye urzędowe (raporta, rozkazy dzienne etc.) poddaje bardzo nieraz surowéj kontroli — logicznéj i faktycznéj. *H.*

— **Dla sierot**. Książka zbiorowa, wydana staraniem Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa, 1897, str. 161 in 8-o. Czysty dochód z téj ładnéj, ładnie wydanéj książki przeznaczony został na budowę domu dla „Sali sierot" w Lublinie. Roztoczony nad nią tym sposobem patronat miłosierdzia i dobroczynności nie wymaga osobnego poparcia recenzenta, ale téż po bliższém wejrzeniu w szereg prac, składających się na całość ofiarną,—nie tak znowu bardzo jego krytyki się lęka. Wybór zrobiono dobry, bez zbytniego upędzania się za podpisami powag i imion głośniejszych. Nie brak atoli i pisarzy, znanych szerszemu ogółowi. Julian Ochorowicz wystąpił z treściwém studyum, p. t. „Co to jest suggestya?" Zofia Kowerska zamieściła nowelkę

„W Busku“, Arnsztajnowa dała kilka drobnych poezyi „Z kart notatnika”,—na temat odpowiadający przeznaczeniu: — „Wy mi nie mówcie, że pieśń zapadnie w bezduszną głąb... Choć kamień dawno spoczął na dnie, drga fali zrąb. Wy mi nie mówcie, że pieśń—sierota... O nie, o nie! Jest w każdém sercu struna złota, — trąć ją, a drgnie”. Większość artykułów wysnuta z lokalnych wątków, więc się czyta z zajęciem i wybitnie występuje nad poziom ogólnikowych tematów; wymieniamy niektóre: „Rzut oka na stan rolnictwa w gub. Lubelskiéj w ostatnich latach 25 ciu“ Maksymiljana Dobrskiego z Chmielnika, „Towarzystwo kredytowe miasta Lublina” W. Karwowskiego, „Towarzystwo lekarskie lubelskie” J. Klarnera, „Przyczynek do dziejów wodociągu w mieście Lublinie” prof. Hieronima Łopacińskiego, „Trybunał Lubelski” Władysława Modrzewskiego, „Z dziejów Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności” W. Polkowskiego, „Własność ziemska w Lubelskiem dawniéj i dzisiaj” Henryka Wiercieńskiego etc. Jędrny plastycznie skreślony traktat Wład. Kudelskiego, p. t. „Współzawodnictwo jako jedna z przyczyn braku przedsiębiorczości u nas”, pociąga ku sobie oryginalnością pomysłu i wytrawném wysłowieniem, lecz nie przekonywa. Autor wyznaje, że bez współzawodnictwa „nie byłoby postępu, że ono jedno nie dopuszcza do wytwarzania się monopolów”; a jednak, w konkluzyi kilku zjawisk społecznych, całkiem przygodnych, empirycznych, utrzymuje, że „n a d m i e r n e współzawodnictwo nie tylko tamuje przedsiębiorczość, nie tylko przemysłowi szkodzi, ale i dla publiczności jest szkodliwe,—bo oczywiście, utrzymanie czterech zakładów drożéj kosztuje, aniżeli dwóch, gdy więc zamiast dwóch cztery zaspakajać będą też same potrzeby, publiczność za otrzymane usługi drożéj płacić będzie musiała...” Rachuba byłaby zapewne bez zarzutu, gdyby się dało okazać, że to, co się nazywa „potrzebą” publiczności, nie rozwija się, nie wzrasta w miarę ułatwionéj i rozszerzającéj się przez współzawodnictwo podaży... Skądinąd zgodzić się trzeba, że szereg przesłanek p. W. Kudelskiego zaczerpnięty został z życia, z obserwacyi bezpośredniéj: „Sklepów spożywczych namnożyło się tak wiele, że same spożywać się muszą; niech kto szuwaks lub musztardę wyrabiać zacznie, zaraz znajdą się pomocnicy w produkcyi towaru w takichże opakowaniach; nie można ucznia w handlu lub rzemiośle wypromować na subiekta lub czeladnika, bo zaraz otworzy on obok sklep lub warsztat podobny”... Do wdzięcznych, balastem erudycyjnym nie przeciążonych rozprawek naukowych należy d-ra Wł. Olechnowicza „Część światła w dziejach przedhistorycznych Lubelskiego”, — ale ręczyć można, że spory zastęp czytelniczek, na które książka zbiorowa o celu dobroczynnym liczyć ma prawo więcéj niżli na czytelników,—za-

stęp ten zajrzy do traktatu p. Olechnowicza dopiéro za drugiém lub trzeciém przerzuceniem kartek; pierwsze, najbardziéj zainteresowane i interesujące spojrzenia pięknéj połowy naszego rodzaju posypią się najniechybniéj w kierunku p. Józefa Wołowskiego i jego „kilku spostrzeżeń o kobiécie". I słusznie. Kto zdoła lub zechce zaprzeczyć trafności takim np. zdaniom uroczym: „Im hojniéj od natury obdarzona kobiéta, tém bardziéj potrzebuje odpowiedniego otoczenia." „Dla kobiéty prawdziwém nieszczęściem jest jedynie zawód serca." „Miłość posiada swój oddzielny kodeks, — w stosunku między zakochanymi każde uchybienie przeciw dobréj wierze, każda przebiegłość, każdy fałsz przybiéra rozmiary zbrodni." „Serca oschłe większy wstręt obudzają, niżli mózgi puste." Nie wspomnieliśmy jeszcze o doktorze Gustawie Dolińskim, który pod hasłem „uczmy pożytecznie pracować dzieci, dajmy chléb w ręce siérotom" wziął na siebie trud zjednania tylu autorów, ogłoszenia ich prac drukiem i skréślił rozumne uwagi „Zamiast przedmowy". *An. P.*

== *Felix Laudowicz.* „**Wesen und Ursprung** der Lehre von der Präexistenz der Seele und von der Seelenwanderung in der griechischen Philosophie." Berlin, Selbstverlage des Verfassers (bez daty). — W rozprawie téj, prawdopodobnie doktoryzacyjnéj, nadesłanéj redakcyi „Ateneum" w początkach roku bieżącego, — przedstawiono w rozwinięciu historyczném stan wyobrażeń starożytnych Greków o istnieniu duszy p r z e d jéj objawem cielesnym i o możliwych jéj przemianach w wędrówce po przez czasy i przestrzenie. Jest to dział tak zwanéj „Psychologii metafizycznéj", — zaniedbany lub zaniechany dziś zupełnie w poszukiwaniach filozoficznych. Dogmatycznie kwestya praistnienia duszy nie może mieć umiejętnego, n a u k o w e g o rozwiązania; jako zaś jedno ze szczegółowych zagadnień idealizmu spirytualistycznego, posiada w dziejach filozofii dawnéj, abstrakcyami przepełnionéj, sporo zapisanych kartek. P. Feliks Laudowicz umiał przecież przedmiot ten, czczy i jałowy teoretycznie, odświeżyć i ożywić wyśmienitém zużytkowaniem materyału erudycyjnego, na który, oprócz dzieł Platona, Arystotelesa, Philona, Oryginesa i t. d., złożyły się pisma celniejszych komentatorów nowoczesnych, Zellera, Rittera, Ueberwega, Wuttkego etc., że już pominiemy przytoczenia uzupełniające z Kartezyusza, Leibniza, Kanta, Wundta i t. d. Dochodzenie zyskało jeszcze przez to, że autor rozszerzył nieco ramy tematu w dwu kierunkach: zasadniczym i historycznym. Zasadniczo rozszerzyła się idea „przedistnienia" duszy, wskutek przestawienia jéj na grunt powszechniejszego i dostępniejszego postulatu o n i e ś m i e r t e l n o ś c i duszy („*Der Praeexistenz-*

begriff ist ein zwar nicht absolut nötiges, aber doch sehr naheliegendes Korrelat des Begriffs der Unsterblichkeit"); historycznie, przewód cały przybrał charakter wypełnionego okresu ewolucyjnego, przez zestawienie rozwiniętéj już umysłowości greckiéj (w danym zakresie) z pokrewną umysłowością Hindusów i Irańczyków, — wcześniejszą znacznie i mniéj rozwiniętą — o ile o téj drugiéj pozostały odpowiednie świadectwa w aryjskich hymnach Rigwedy i Zendawesty. Wszystko to razem pozwoliło nader dokładnie i wypukle uwydatnić charakter, doniosłość i właściwości dwu doktryn, o które w danym razie chodziło: doktrynę o praistnieniu duszy i doktrynę o wędrówce dusz. Obie one wyrosły z napół politeistycznego i napół panteistycznego pnia wierzeń Aryów pierwotnych, praojców całego plemienia indo-europejskiego; obie téż traciły na genezyjnéj swéj rozciągłości, w prostym stosunku do wzrastającego zasobu doświadczeń życiowych plemienia, rozbitego kolejami przejść przedhistorycznych na pojedyńcze szczepy czyli rody (Hindusów, Greków, Celtów, Słowian etc.) i wypartego z siedlisk swych kolébczanych na miejsca obecnego (mniéj więcéj) zamieszkania. U Greków, którymi rozprawa p. Laudowicza specyalnie się zajmuje, obiedwie nauki (preegzystencya i transmigracya) doznały większego może uszczuplenia, niż u innych rodów, wskutek głównie całkowitego niemal tryumfu politeizmu (wielobóstwa) nad panteizmem (jednobóstwem w rozcieńczeniu); wszędzie bowiem i po wszystkie czasy pojęcie człowieka o własnéj jaźni (duszy) kształciło się i postępowało równolegle do jego pojęć o swych bogach i bóstwach. W każdym razie to niezawodne, że panteistyczne zabarwienie wyobrażeń greckich o przedistnieniu dusz blakło i zanikało u Greków najściśléj w miarę, jak wyobrażenie o „człowieku" stawało się dokładniejszém, konkretniejszém, bardziéj „osobowém", — czyli w miarę, jak człowiek wyrastał w ich oczach na coś ważniejszego i poważniejszego, niźli u Hindusów, — na indywidualność rzeczywistą, faktyczną, tworzącą w sobie i w sobie skupiającą swój świat moralny. Również i nauka o wędrówce dusz nie dała się ani zlać, ani pogodzić z silnie i szybko wyrabiającém się u Greków poczuciem osobowości bogów i ludzi. Chwiejny, powiewny i rozpłynięty „zaświat" prastarych Aryów nie mógł się na żaden sposób pomieścić w skrojonéj po fidyaszowsku piersi greckiéj, — za ciasno stało się mu w ostro i twardo zemkniętych ścianach Partenonu.

St. Fiat.

= **Nasza literatura dramatyczna** (Szkice nakréślone przez *Piotra Chmielowskiego.* Tomów dwa. Petersburg, nakładem księgarni Grendyszyńskiego, str. 521 i 536). — Autor, który przez szereg lat

wzbogaca historyę literatury naszéj cennemi dziełami, który rozrzuca promienie wiedzy, owoce pracy swéj i w drobnych szkicach, — gromadzi materyał obfity, a pisma w różnych czasach i okolicznościach powstałe złożyć się mogą na całość książkową. W ten sposób powstały szkice, p. t. „Nasza literatura dramatyczna". I chociaż p. Chmielowski w przedmowie pierwszego tomu tłómaczy, że praca jego nie jest historyą naszego dramatu, to jednak biorąc początek w dyalogach, przeprowadza czytelnika aż do autorów współczesnych, dając tém samém ogólny obraz literatury dramatycznéj. Nie zatrzymując się zbytnio nad okresem wspomnianych dyalogów, przechodzi autor do „Żywota Józefa" przez Mikołaja Reja. Po tym rozbiorze następuje wiek XVI-ty, w którym historya zapisała chlubnie „Odprawę posłów". Po Kochanowskim — Szymonowicz. Daléj następują studya obszerniejsze, mianowicie o „komedyi w drugiéj połowie XVIII-go wieku": Zabłocki, Bogusławski, Niemcewicz. Tragedya pseudo-klasyczna (A. Feliński), przejście do wieku XIX-go, a z nim: Aleksander hr. Fredro, Korzeniowski, Słowacki, Szujski i Bełcikowski. Ta potężna grupa zamyka tom I szy. — I zmuszony jestem nadmienić, że daję tylko sprawozdanie z dzieła, nie rozbiór jego, który ze względu na obfity materyał urósłby do znaczniejszych rozmiarów, a takiego traktowania przedmiotu może podejmie się który z historyków literatury. Ja w drobnych ramach pragnę tylko podać szerszemu gronu wiadomość o cennéj pracy zasłużonego autora, pracy, któréj ułamki mieliśmy już możność poznania w „Ateneum". Do nich należy znaczna część tomu II, mianowicie: „O początkach naszéj komedyi społecznéj" („Ateneum", marzec, 1897), która, po Józefie Narzymskim, mając mniéj lub więcéj utalentowanych przedstawicieli (Lubowski, Zalewski, Sarnecki, Koziebrodzki, Bliziński, Bałucki) i z różnem powodzeniem żyje śród nas. Ten rozdział zamknął autor pracą, p. t. „Udział kobiét w literaturze dramatycznéj", krótkie wzmianki poświęciwszy Julii Tuszowskiéj (Juljan Moers z Poradowa) i Zofii Mellerowéj, dłużéj zatrzymując się nad „Zmarnowaném życiem" Laudynowéj („Ateneum", czerwiec, 1896). — Na tych zaznaczeniach poprzestając, powtarzam, że szkice, w których żaden okres nie został pominięty, a skréślony stosownie do swéj doniosłości, gdzie ważniejsze i mniéj ważne utwory ocenę swą znalazły, szkice takie musiały się stać pracą wartościową, ważnym przyczynkiem do studyów nad naszą literaturą dramatyczną. Nie różnica poglądów, lecz sposób opracowania pojedyńczych studyów jest odmienny, a na tém zbiór nie ucierpiał. *L. R.*

= *Stanisław Bełza.* **W kraju tysiąca jezior.** Z podróży i przechadzek po Finlandyi. Wydanie drugie. Warszawa i Kraków, Gebethner i Wolff, 1897, str. 227. — Literatura nasza, tak zasobna w powieści, prawie że nie posiada działu podróżniczego, i wydawcy do niedawna zmuszeni byli dawać przekłady z obcych języków pragnącym téj karmi czytelnikom, którzy nie wiele jeszcze na tém tracili, otrzymując np. przekłady z Taine'a lub de Amicisa. Ile wszakże pomiędzy przekładami z zagranicznych autorów znajdowało się tandety! Dzięki p. Bełzie, taki stan rzeczy poczyna zmieniać się na lepsze. Umié on zawsze wynaléść w Europie kraj mniéj u nas znany i mniéj opisywany i, wydając tom za tomem, opowiada barwnie, przystępnie i zajmująco swoje wrażenia podróżnicze. O poczytności jego książek świadczy choćby to, że prawie wszystkie ukazują się w powtórnych wydaniach. Opis podróży po Finlandyi, który mamy właśnie przed sobą, również w drugiém wyszedł wydaniu—i przyznać należy, że zupełnie na to zasługuje. P. Bełza nietylko kreśli przed naszemi oczami obrazy uroczéj natury „kraju tysiąca jezior", lecz zapoznaje nas z przeszłością Finlandyi, z jéj obyczajami, handlem, przemysłem, a nawet i literaturą. Dziełko przez nas omawiane wydaje nam się najlepszém z dotychczasowych prac p. Bełzy, posiada bowiem wszystkie zalety jego pióra, brak mu zaś rozwlekłości, która stanowiła ujemną stronę dawniejszéj piśmienniczéj działalności tego autora. *Kimont.*

= *Wacław Pomian.* **Sonata wiosenna.** Warszawa, 1897, in 12-o, str. 13. — Już od lat dwudziestu paru spotykaliśmy się w pismach warszawskich z poezyami zmarłego przed niedawnym czasem Pomiana, odznaczającemi się zawsze pięknym językiem i świetną formą, wszakże poetycki dorobek jego nie jest, zdaje się, zbyt obfity, — może dlatego, że drukował on tylko rzeczy doskonałe. Szczupły zaledwie tomik dałby się złożyć z jego liryków, tu i owdzie po pismach rozrzuconych, z fragmentów poematu „Herkules i Omfala" w „Bibliotece Warszawskiéj" drukowanych, wreszcie z paru przekładów z Goethego i innych poetów niemieckich. Jeżeli wszakże nie ilościowo, to jakościowo dorobek ten pokaźnie się przedstawia; żałować wszakże należy, że poeta i tym razem jeszcze nie zapoznaje z nim czytającego ogółu, dając mu tylko przedsmak w świeżo wydanéj „Sonacie wiosennéj", cyklu złożonym z dziewięciu sonetów. Sam już tytuł tego zbioru jest zapowiedzią jego treści. Z wschodzącą wiosną budzi się w sercu pieśniarza miłość, któréj dzieje opowiada nam w szeregu sonetów. Spragniony „jedynego z ust jéj słowa", już je miał usłyszéć, gdy wtém jastrząb ścigający czyżyka spłoszył je, „może na zawsze". „Z duszą troskami

omgloną" błąka się poeta o świcie, marząc o ukochanéj. Chroni się z nią przed burzą w szałasie... o zmroku, gdy „księżyc wytrąca zwolna słońcu berło złote", wzywa ją na „słodką miłości biesiadę", w oczekiwaniu, „chcąc zgasić rozpacze, wypija z sokiem tajemnicę drzewa", — aż wreszcie w noc, „co pragnień ziściła zabiegi," słyszy z jéj ust „najsłodsze wyznanie". W chwilę po szczęściu zostaje mu wszakże jedna tylko radość, „że przez chwilę nie był nicością". — Sonetem władał Pomian po mistrzowsku — silny, metaliczny wiersz płynie w nim jak kaskada; trudno przytém oprzéć się urokowi iście wiosennéj świéżości poetyckich obrazów, rozsianych w téj „Sonacie", jak cenne klejnoty w szczerozłotéj oprawie. Wszystkie sonety są piękne, najwyżéj jednak co do polotu fantazyi, barwności i wdzięku obrazów stoją dwa: „Przed burzą" i „O zmroku". — Książeczkę tę, któréj samo wydanie znamionuje już wytworny smak poety, zamykamy ze szczerym żalem, że jest to jedyny zbiór utworów zmarłego. Stanowisko zajmowane przez Pomiana na współczesnym parnasie polskim obowiązuje wydawców do zgromadzenia wszystkich jego utworów, —uważamy téż „Sonatę" za zapowiedź zupełnego ich zbioru. *Ar. Les.*

= **Stanze o pieśni**. Kraków, 1897, str. 35. — Jest to bezimiennie wydany poemacik, napisany, o ile z formy domyślić się można, przez jednego z najmłodszych, współczesnych poetów, zabiérającego głos nie po raz pierwszy. Wzywa on w podniosłych strofach braci-pieśniarzy do przejęcia się ideą, która we wszystkich nurtuje sercach, i nastrojenia lutni na odmienny, bardziéj ogólny ton, wskazując im drogi, któremi w czasach romantyzmu kroczyli wielcy poeci nasi. Na dzisiejsze pokolenie pieśniarzy, tworzące „piosnki maleńkie, jak kwiaty", miota on gromy potępienia i zarzuca mu opiewanie własnych zwątpień i boleści, w ślad za czém nastąpić może uznanie za marne mamidła wszystkich porywów wielkich dusz. Jeżeli tą drogą daléj pójdziecie — mówi poeta — „jutro was zapomni". Poemat, kréślony piękną oktawą, porywa czytelnika szczerością, orlim polotem i młodzieńczą siłą. Czegóż więcéj od poezyi wymagać można? Nie chcąc być bezwzględnym jego chwalcą, dodaję, że jest może zbyt rozwlekły i że w niektórych oktawach wiersz się łamie, szkodząc ich potoczystości. Kto tak panuje nad formą, jak twórca „Stanzy o Pieśni", ten nie powinien znieść żadnéj skazy na wiersza swojego krysztale.

= **Wszyscy za jednego**. Fraszka. Napisał *Włodzimierz Wysocki*. Wydanie czwarte. Kijów, nakładem księgarni Leona Idzikowskiego, 1898, in 12-o, str. 61. — Utwory poetyczne przedwcześnie zgasłego

Włodzimierza Wysockiego cieszą się niezwykłą, jak na nasze stosunki, poczytnością. „Las", „Zaklęte łzy" i „Nowe dziady" wyszły w dwu wydaniach, „Laszka" doczekała się trzech wydań, największe wszakże powodzenie przypadło w udziale fraszce „Wszyscy za jednego", ukazującéj się właśnie w czwartéj edycyi. Z prawdziwą przyjemnością bierzemy do ręki dobrze znaną nam książeczkę... Podziwiamy spryt Elka Zusmana, współczujemy tarapatom dziedzica Obij-boków i słuchamy tyrad panów braci. Powodzenie jéj łatwo można wytłómaczyć: oto słońce prawdziwéj poezyi i szczery, iście staropolski humor opromienia tę, nieraz bardzo gorzką satyrę. *Ar. Les.*

= **Jan Iwański.**—*Poezye.* Warszawa 1897. Str. 142. — „Ja mam już dość tych ckliwych tonów lutni, co mi fałszywie w uszach brzmią"— śpiewa młody poeta na 103 str. swych „poezyi" i my za nim tylko to niestety powtórzyć możemy, zamykając zbiorek jego utworów. Składają się nań cztery części, a mianowicie: „Z wiejskiego ustronia", „Erotyki", „Ze szczytów" i „Wiersze różne", niczém wszakże nie różniące się od siebie. Wprawdzie w poezyach p. Iwańskiego rzadko spotykać się daje fałszywy ton. przeciwnie, wiersze jego są rozpaczliwie gładkie, ta „gładkość jednak, nieurozmaicona żadnym zgrzytem, graniczy z ckliwością i nie pozwala korzystnie rokować na przyszłość. Młody poeta nie ma najmniejszego poczucia formy i nigdy prawie nie może wyszukać odpowiedniéj sukienki dla myśli swych, które same przez się nic nowego nie przynoszą. Z tego powodu czytanie jego poezyi wprost nuży, a po zamknięciu książki nic nam w pamięci nie pozostaje, żaden wiersz w uchu nie dzwoni. Pierwszy zaraz utwór „Cisza", czytany głośno, jest wprost nieznośny dla ucha, ze względu na fatalną kombinacyę rymów drugiéj strofy. Cykl „Z wiejskiego ustronia" nie zawiera ani jednéj szczeréj, odczutéj strofy — składa się nań szereg bladych, wytartych frazesów; chwilami nam się zdaje, że p. Iwański nigdy na wsi nie był, a wrażenia swe bierze z drugiéj ręki. Większą szczerością odznacza się cykl „Erotyki", tu znowu jednak bruźdżą p. Iwańskiemu reminiscencye z rozmaitych poetów: „Zeszła ku mnie" (Asnyk), „Wyśniłem Cię" (Tetmajer), „Jam Cię ukochał" (Lange). W tym ostatnim np. wierszu, wzorowanym na prześlicznym erotyku Langego: „Ja Cię kocham całą mą istotą", nie ma nic z owéj siły i szczerości, tętniącéj w każdém słowie wzoru. U p. Iwańskiego wiersz ten jest wprost ślamazarną rymowaną prozą, i to rymowaną bardzo słabo. Już to wogóle nie rymuje on zbyt wytwornie: polały—zapłakały, tony—korony, ocknęła—płynęła, konarami—łzami; mimo to, porywa się nietylko na sonety i tryolety, lecz nawet i na ronda, niepomny tego, że

„wprzód niż latać, trzeba nauczyć się chodzić". Lange jest widać umiłowanym poetą p. Iwańskiego, cytuje go bowiem częściéj, niż innych— ba! wziął nawet za *motto* jednego ze swych erotyków jego dwuwiersz „Jeżeli kochać, to kochać namiętnie, Nie rozważając, jak ogień wytryska", solidaryzując się zapewne z tym poglądem na miłość—tymczasem erotyki p. I. nic wspólnego z namiętnością nie mają; są to piosenki na gitarę, i nie dziwilibyśmy się wcale, jeżeliby jego ukochanéj nie wzruszyły, bo i nas nie wzruszają bynajmniéj. W cyklu „Ze zgrzytów" ani jednego nie znajdujemy zgrzytu, za to do znudzenia karmi nas p. Iwański wziętym z „Preludyi" Tetmajera pesymizmem, który wszakże w jego rozpaczliwie monotonnych strofach jest tylko jedną pozą więcéj. W cyklu „Wiersze różne" nie znajdujemy również żadnego listka, od którego możnaby począć wić wieniec uznania dla młodego aspiranta do laurów poetyckich. Jak w całym zresztą zbiorku, niema tam ani jednego nowego obrazu, ani jednego oryginalnego zwrotu. Przytém p. Iwański rozporządza bardzo ubogiém słownictwem, niektóre zaś epitety tak ukochał, że je do znudzenia powtarza, — żaden np. wiersz z cyklu „Z wiejskiego ustronia" nie obywa się bez wyrazów „cisza" i „cichy". Na każdéj stronie, a jest ich w cyklu tym 34, spotykamy ową „cichość" niejednokrotnie po dwa razy. Już ta sama „cichość" zapowiada, że p. Iwański nigdy „głośnym" nie będzie. Jéj téż przedewszystkiém powinien pozbyć się młody poeta, jeżeli kiedyś „głośnym zostać zamierza. *Ar. Les.*

= **Biblioteca Gallega** —*Fugaces par Sofia Casanova.* La Coruña. Andrés Martinez editor, 1898, in 12-o, str. 160.—Rzadki gość zawitał do naszéj redakcyi. Przysłano nam z Coruñy tom poezyi p. Zofii Casanova, małżonki, zaszczytnie w naszéj literaturze znanego z prac filozoficznych, p. Wincentego Lutosławskiego, którego nazwisko nie jest obce przedewszystkiém czytelnikom „Ateneum". Książka, złożona z utworów przeważnie lirycznych, rozpada się na dwie części i obejmuje przeciąg lat piętnastu. Cykl pierwszy, zatytułowany „*Juveniles*" zawiera, jak sam tytuł wskazuje, młodzieńcze wrażenia poetki. Już tu wszakże nie brak utworów bardzo pięknych, jak np. „*Nieblas del Norte*", owiany rzewną zadumą, „*Ni en la muerta*", wyróżniający się śpiewnością i piękną formą wiersza, „*Drama vulgar*" — wyrazistością obrazowania, zwłaszcza w pentynach drugiéj części (*Lucnor*) „*Arte y Amor*—kunsztowną budową i melodyjnością strofy, wreszcie „*Sacrilegio*"—siłą wiersza i ekspresyą. Cykl drugi, zatytułowany: *Ansencia*, składa się z utworów bardziéj jednolitych i skrystalizowanych i ze względu na treść swoją bliżéj nas obchodzących. Zasługują w nim na

wyróżnienie: naczelny sonet „*Drozdowo*" i „*Vixian*". Poetka odczuwa i umié oddać czar przyrody drugiéj swéj ojczyzny. Poezye, składające się na tomik, powstawały w rozmaitych, nieraz bardzo od siebie odległych miejscowościach, co nawet poniekąd daje się uczuć w ich kolorycie: Madryd i Kazań, San Sebastian i Moskwa, Drozdów i Londyn, Petersburg i Playa de Mere — powtarzają się na przemiany. Pani Zofia Casanova zajmuje niewątpliwie jedno z poczesniejszych miejsc we współczesnéj poezyi hiszpańskiéj; utwory jéj cechują: szczerość, głębokość myśli, szlachetność i barwność słowa, iście poetycki polot, wreszcie wysoko rozwinięte poczucie piękna przyrody, które to przymioty w połączeniu z prostotą a zarazem i kunsztownością melodyjnego jéj wiersza sprawiają, że nie znajdujemy w tomiku ani jednéj słabéj, banalnéj rzeczy. Niektóre z utworów p. Casanova, zwłaszcza z drugiéj części, zasługują na polski przekład.

— **Petőfi Aleksander.** Król poetów węgierskich w życiu i poezyi. Przez *Plato v. Reussnera*. Warszawa, nakład własny, in 8-to, str. 100, z dwoma portretami, 1898. — Genialny poeta węgierski, zbyt mało znany w naszéj literaturze, bezwarunkowo zasługiwał na monografię, traktującą popularnie życie jego i dzieła. Zadanie to spełnił bez zarzutu dr. Albert Zipper w dziełku, p. t. „Lutnia i Miecz", wydaném nakładem złoczowskiéj biblioteczki Zukerkandla. Praca p. Reussnera zasługiwałaby więc na uznanie, gdyby stała wyżéj od poprzedniego studyum lub gdyby przynajmniéj dawała trochę nowych szczegółów. Tak jednak nie jest. Książka p. Reussnera zasługuje jedynie na miano nieudolnéj kompilacyi, opartéj na jakiéjś niemieckiéj książczynie o Petőfim, równéj, co i kopia, wartości, — przytém spotykamy w niéj takie kwiatki, świadczące o zupełnéj nieznajomości literatury przedmiotu: „Pieśni Petőfiego, rozrzucone, rozstrzelone po różnych czasopismach węgierskich, nie tak łatwo zebrać w całość." Jest to fałsz, ponieważ Węgrzy oddawna posiadają zupełne, doskonałe wydania dzieł Petőfiego, poczynając od najtańszych, a kończąc na wykwintnych, ozdobionych ilustracyami. Jeżeli już o tém mowa, dodać należy, że i p. Reussner zaopatrzył swą książkę w ilustracye, wzięte z „Historyi Węgier" Boldenyi'a, lecz wykonanie takowych nie odpowiada pojęciu ozdoby. Pisząc w języku polskim, p. Reussner nie interesował się bynajmniéj tém, kto i kiedy przekładał, w naszéj literaturze Petőfiego. Mówi o pięćdziesięciu niemieckich tłómaczach poety, wylicza większą ich liczbę, daje nawet dwanaście nieudolnych tłómaczeń niepowołanych przerabiaczy niemieckich przekładów Petőfiego, natomiast ani słowa nie mówi o doskonałych polskich tłómaczeniach: Władysława

Sabowskiego, Seweryny Duchińskiéj, Stanisława Rossowskiego i Antoniego Langego. Język i styl pracy p. Reussnera do złudzenia przypomina rozmówki z jego samouczków. Jako *curiosum* tego stylu i pojęć (?) p. Reussnera cytujemy parę wierszy: „Mickiewicz, polski wieszcz, nierównież wiele polskich pieśni śpiewał narodowi, jak Petöfi narodowi węgierskiemu, a jednakże Polacy nie mogą się zdecydować i zdobyć na to, aby nareszcie uczcić pamięć swego wieszcza wzniesieniem mu pomnika. Węgrzy nie debatowali, nie namyślali się długo, nie sprzeczali się o pierwszeństwo, kto ma dawać mniejsze lub większe składki na pomnik. Nie rozpisywano się ani setn części tyle po gazetach węgierskich, co w gazetach polskich o pomniku Mickiewicza, ale jednozgodnie, jednomyślnie każdy Węgier dawał to, co mógł, i w przeciągu krótkiego czasu zebrano potrzebną sumę na postawienie pomnika Petöfiemu. Czy i kiedy doczeka się Mickiewicz pomnika, to jeszcze wielkie pytanie, bo tu się wiele, zbyt wiele mówi, kombinuje, ale mało, albo się wcale nic nie robi" (str. 69—70).

I Petöfi i Mickiewicz i przypadkowi takich wywodów czytelnicy bardzo by zapewne byli wdzięczni p. Reussnerowi, jeżeli by nadal wyłącznie pozostał przy samych „Najłatwiejszych Metodach" i „Samouczkach". *Ar. Les.*

= **Pląty przyczynek do nauki o zboczeniach mowy**, przez d-ra *Władysława Ołtuszewskiego*, stanowi sprawozdanie rozumowane z działalności zakładu autora dla osób dotkniętych zboczeniami mowy za rok 1896/97. Przytaczamy z niego następujące dane. — Ogólna liczba osób dotkniętych zboczeniami mowy, które się zgłosiły od lipca 1892 do lipca 1897 roku, wynosiła 880 przypadków. Na 173 przypadki niemoty leczyło się 9 osób i wszystkie odzyskały mowę (3 dorosłych, 6 dzieci). Na 191 przypadków bełkotania łącznie z wadliwém wymawianiem leczyło się 44 osób z zupełnie dobrym wynikiem. Z 48 spostrzeganych przypadków mowy nosowéj poddało się leczeniu 8 osób i wszystkie osiągnęły zamierzony rezultat. Nakoniec z 460 osób, podlegających jąkaniu, przebyło cały kurs leczniczy 95 osób, z których 87 zupełnie się wyleczyło, a 8 doznało znacznéj poprawy.—Z zestawienia ubiegłych 5 lat wynika, że, lubo zwolna, liczba zarówno zgłaszających, jako téż i leczących się osób corocznie się zwiększa, stwierdzając, że zakład dla zboczeń mowy u nas ma wszelką racyę bytu. O ile jednak możność leczenia w Warszawie jąkania lub wadliwego wymawiania dostatecznie jest już rozpowszechniona, o tyle wiadomość, że w zakładzie znajdują odpowiednią opiekę i leczenie dzieci osłabionej pod względem umysłowym, u których właśnie najczęściej przytrafiają

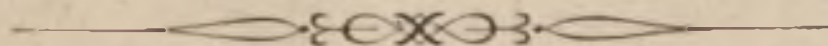
się zboczenia mowy, jak przedewszystkiém wszelkiego rodzaju niemoty, bardzo powoli przenika do naszego ogółu. Sądzimy, że wiadomość ta, wobec braku jakiegokolwiek zakładu dla téj kategoryi dzieci, winna zainteresować rodziców i wychowawców.

— **Rosyjski przegląd ekonomiczny**, pod red. *M. M. Fiodorowa.* Petersburg. 1897 r., Maj—Grudzień, zesz. 8.—Zasobna w siły naukowe i środki materyalne redakcya urzędowych organów ministeryum finansów. „Gońca Finansów" i „Gazety Handlowo-Przemysłowéj", od maja przeszłego roku wydaje miesięcznik poświęcony przedewszystkiém rozbiorowi bieżących spraw krajowych ekonomicznych i finansowych ze stanowiska więcéj naukowego, aniżeli to w codziennném lub tygodniowém wydawnictwie byłoby możliwe. Do pracy powołano nie tylko siły miejscowe, ale i zagraniczne. Spotykamy więc w wydanych w 1897 r. 8 zeszytach artykuły: Levasseur'a „o instytucie statystyki międzynarodowéj" (którego kongres odbył się w Petersburgu w pierwszych dniach września ubiegłego roku), Ottomara Haupta o cyrkulacyi pieniężnéj i statystyce monetarnéj, Kramarza—o reformie monetarnéj w Austryi, i drobne artykuły Art. Raffalowicza i Alfr. Neumarka. Sprawy bieżące finansowe znalazły uwzględnienie w szeregu artykułów omawiających projekta do praw, mających wkrótce być wydanemi. Do takich należą: obszerny bardzo artykuł L. Pietrażyckiego „o spodziewanéj reformie prawodawstwa akcyjnego w Rosyi", zawierający w sobie dużo nowych poglądów na sprawy towarzystw akcyjnych,—N. Brzeskiego niedokończony jeszcze artykuł „gmina włościańska wedle najnowszych danych",—Fedorowicza „sposoby zapewnienia wymienności biletów kredytowych",—Biełocwietowa „reforma konieczna w ubezpieczeniach od ognia". Dla nas specyalny interes posiadają artykuły Zagorskiego: „Wpływ frachtów na ceny zboża" i Fortunatowa (prof. Inst. Rol. w Nowéj Aleksandryi): „Przyczynki do statystyki rolnéj 10 gubernii Królestwa Polskiego". Bardzo ciekawe są „Listy z Belgii" (G. G.) wyjaśniające drogi, któremi kapitały belgijskie szukają pomieszczenia w przemyśle rosyjskim. Prócz takich artykułów ściśle naukowych, każdy numer zawiera „przegląd wewnętrzny" i „przegląd zagraniczny", poświęcone sprawom bieżącym, i bardzo obfity dział krytyczny, rozbierający nie tylko najnowsze wydawnictwa krajowe i zagraniczne, ale i pojedyńcze artykuły ekonomiczne, które drukowane zostały w miesięcznikach rosyjskich. Dla interesujących się sprawami ekonomicznemi i finansowemi całego państwa miesięcznik ten zawiera dużo cennego i ściśle naukowo obrobionego materyału—bez żadnéj domieszki narodowościowych antypatyi i niechęci. *St. P.*

= **Komitet zarządzający Kasą Pomocy** dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra J. Mianowskiego—ma zaszczyt do powszechnéj podać wiadomości, iż zmarły d. 9 Listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popiéranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tém polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa Pomocy właściwe zezwolenie władzy rządowéj uzyskała, Komitet zarządzający Kasą, oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżéj wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebném i możliwém. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałéj N. 7, lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.—Prezes Komitetu: *H. Struve.* Członek Komitetu sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*



OGŁOSZENIE.

Wydział medycyny Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu, stosownie do § 8 warunków ogłoszenia konkursu i przyznania nagrody imienia Adama Chojnackiego, niniejszém zawiadamia osoby zainteresowane, iż termin przedstawienia dzieła konkursowego z zakresu medycyny popularnéj, dla pozyskania wspomnianéj nagrody, kończy się d. 1 (13) kwietnia 1898 roku.

Nowe książki nadesłane do Redakcyi „Ateneum".

1. *Havelock Ellis.* **Mężczyzna i kobieta.** Badania nad drugorzędnemi cechami płciowemi człowieka. Z angielskiego przełożył *Feliks Wermiński.* Warsz.,nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1898, 8-vo, 468 i IX.
2. *Wincenty Zakrzewski.* **Historya starożytna** w zarysie. Wydanie nowe. Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. X i 272.
3. *Wincenty Zakrzewski.* **Historya wieków średnich** w zarysie. Wydanie drugie, poprawione. Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. IX i 243.
4. Dr. *Antoni Karbowiak.* **Dzieje** wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich. Część pierwsza od 966 do 1363 roku. Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1898, 8-vo, str. VIII i 339.
5. *Plato v. Reussnera* **Samouczek polsko-angielski.** Wyd. 7. Warsz., nakł. autora, 1898, 8-vo, str. 152.
6. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zeszyt 72 i 73. Warsz., 1898 (str. 673—761).
7. *Adventius.* **Zgasła...** Poemat liryczny. Z ilustracyami *Jana Wasilewskiego.* Warsz., skład głów. w księg. Centnerszwera, 1898, 8 vo, str. 25.
8. *S. Orgelbranda.* **Encyklopedya powszechna** z ilustracyami i mapami. Zeszyt XV—XXI (cena kop. 20).
9. **Wykaz znaków wodnych** z XV stulecia przez d-ra *Franciszka Piekosińskiego* (Dodatek do czasopisma „Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne"). Zeszyt I. Kraków, nakł. Towarzystwa Numizmatyczno-Archeologicznego, 1896, 4-to, str. 19 i tabl. 34.
10. **Mapa Królestwa Polskiego,** ułożona przez *Marcelego Gotz.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa.
11. *Eliza Orzeszkowa.* **Iskry.** Nowela. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 279.
12. *Józef Weyssenhoff.* **Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.** Warsz, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 377.
13. *Teodor Tomasz Jeż.* **Którędy do szczęścia?** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, str. 207.
14. **Encyklopedya ilustrowana** wiadomości pożytecznych. Zesz. 25, 26 i 27. Warsz., nakł. Michała Arcta (cena zeszytu 25 kop.).
15. **Zionisten-Congress** in Basel. Officielles Protocoli. Wien, 1898. Verlag des Vereines „Erez Israel", 8-vo, s. 200.
16. **Wodurch übt die Abschlussprüfung** einen bedenklichen Einfluss auf unseren Unterrichtsbetrieb? Von prof. *A. Chudzinski* (odbitka z „Pädagogisches Archiv", 1898), kart 5.
17. **Obraz literatury polskiej** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach ułożył *Piotr Chmielowski.* Warsz., nakładem Gebethnera i Wolffa, 1898, 8-vo, zesz. 7 — 9 (str. 486 — 560).
18. *Kazimierz Rojan.* **Szczęście.** Powieść w dwu tomach. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1898, 8-vo, str. 199 i 202.
19. **Milion toastów** gwoli zabawie zebrał *Barnaba Bibosz.* Warsz., nakł. autora, 1898, str. 170 (cena kop. 36).
20. **Dzieje powszechne ilustrowane.** Nakładem Franciszka Bondy, skład gł. w Warsz. w księgarni Centnerszwera. Zeszyty 205—212.
21. *Kazimierz Przerwa-Tetmajer.* **Poezye.** III. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 222.
22. *Olbrychta Strumińskiego.* **O sprawie, sypaniu,** wymierzaniu i rybieniu stawów, 1573. Wydał *Feliks Kucharzewski* („Biblioteka pisarzów polskich"). Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1897, str. V i 87.
23. **Wesen und Ursprung der Lehre** von der Präexistenz der Seele... in der griechischen Philosopie. Von *Felix Laudowicz.* Berlin, nakł. autora (1898), 8-vo, str. 113.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.